

John Steinbeck

Pastwiska Niebieskie

The Pastures of Heaven

Tłumaczył Andrzej Nowicki

1

Gdy około roku 1776 budowano misyjny kościół w Carmel, w Alta California, dwudziestu nawróconych Indian porzuciło w ciągu jednej nocy świeżo przyjętą wiarę i rano już ich szafasy były puste. Poza tym, że stanowiło to zły precedens, ta mała schizma opóźniła pracę przy wydobywaniu gliny, z której lepiono suszoną w słońcu cegłę.

W wyniku krótkiej narady miejscowych władz kościelnych i świeckich, wysłano pod dowództwem hiszpańskiego kaprała oddział jezdnych z zadaniem przywrócenia zbłąkanych owieczek na łono Matki Kościoła. Niełatwa to była sprawa; należało przetrząsnąć całą dolinę Carmel i leżące na jej krańcu wzgórze. Zbiegli dysydenci okazali się mistrzami diabelskiej sztuki zwodzenia i mylenia śladów. Dopiero po tygodniu poszukiwań znaleziono ich w porośłym paprocią kanionie, na którego dnie płynął strumień. Dwudziestu zbiegłych heretyków oddawało się niezwykle gorszącemu zajęciu: spali głęboko, w pozycjach niedbałych, jakby nic ich na świecie nie obchodziło.

Łatwo dali się schwytać rozwścieczonym żołnierzom, którzy, nie zwracając uwagi na ich wycia, powiązali zbiegów długim łańcuchem. I cała kolumna zawróciła w kierunku Carmel, aby dać nieszczęsnym neofitom możliwość odbycia pokuty w kopalni gliny.

Któregoś popołudnia, w czasie drogi powrotnej, mała sarenka wyrwała się nagle spod końskich kopyt i znikła za grzbietem wzgórza. Dowodzący wyprawą kapral puścił się za nią w pogoń. Jego ciężki koń, potykając się i ześlizgując, z trudem wspinał się po stromym stoku wzgórza. Krzaki manzanity sięgały ostrymi pazurami do twarzy kaprała, ale on parł naprzód w pogoni za swoim obiadem. W kilka minut był już na szczycie wzgórza i tam wstrzymał nagle konia porażony pięknem tego, co zobaczył: u jego stóp leżała długa dolina wyścielona zielonym pastwiskiem, na którym stadko sarn spokojnie skubało trawę. Wspaniałe dęby wyrastały prosto w niebo z jej pięknych łąk, ze wszystkich stron otulały ją wzgórze, kryjąc zazdrośnie i chroniąc przed mgłą i deszczem.

Srogi, służbisty kapral poczuł się mały i słaby wobec tak niepokalanego piękna. On, którego bicz nieraz smagał brązowe plecy Indian, którego drapieżna męskość tworzyła nową w Kalifornii rasę, ten brodaty barbarzyński wysłannik cywilizacji zsunął się z siodła i zdjął stalowy hełm.

– Matko Najświętsza! – wyszeptał. – Toż to Pastwiska Niebieskie, do których nas wiedzie nasz Pan!

Jego potomkowie są już teraz prawie biali. Możemy jedynie odtworzyć sobie święte wzruszenie odkrywców, jakie nim wówczas owładnęło, ale do dziś przetrwała nazwa, którą nadał owej pełnej słodyczy, ukrytej wśród wzgórz dolinie. Do dziś miejsce to znane jest jako Las Pasturas del Cielo.

Przez jakieś niedopatrzenie na dworze królewskim ten skrawek ziemi nigdy nie był przedmiotem aktu darowizny. Żaden hiszpański szlachcic nie stał się jego właścicielem, w zamian za pożyczanie swych pieniędzy lub żony. Przez długi czas leżał zapomniany wśród obejmujących go wzgórz. Ów hiszpański kapral zamierzał tam wrócić. Jak wielu gwałtownych ludzi, marzył w momentach sentymentalnej zadumy, aby zaznać przed śmiercią trochę spokoju, tęsknił do stojącego nad strumieniem domu z niewypalanej cegły, o który ocierałoby się nocą jego własne stado.

Jakaś Indianka obdarzyła go ospą i gdy twarz pokryły mu wrzody, koledzy zamknęli go w starej stodole, aby zapobiec szerzeniu się zarazy, i tam umarł w spokoju, bo ospa, choć

odrażająca dla oka, nie jest złym towarzyszem temu, kogo dotknie.

Upłynęło dużo czasu, nim kilka rodzin osiedliło się na Pastwiskach Niebieskich, zaczęło stawiać graniczne płoty i sadzić owocowe drzewa. A że była to ziemia niczyja, więc kłócono się o jej posiadanie. Po stu latach żyło tam dwadzieścia rodzin na dwudziestu małych farmach. W środku stanął sklep i poczta, a nad strumieniem, o pół mili dalej – grubo ciosany i upstrzony inicjałami budynek szkolny.

Ludzie żyli tu w pokoju i zamożności. Ziemia była bogata, łatwa do uprawy, owoce z ich sadów najlepsze spośród wszystkich, jakie dojrzewały w centralnej Kalifornii.

2

Ludzie z Pastwisk uważali, że farma Battle'ow jest przeklęta, a dzieci – że tam straszy. Jej ziemia była żyzna i nawodniona, ale nikogo w dolinie to nie kusiło, nikt nie chciał zamieszkać w domu, bo ziemia i domy, o które ktoś kiedyś dbał, których doglądał i kochał, a w końcu opuścił, zawsze wydają się nasiąkłe smutkiem i grozą. Ciemniejsze są drzewa rosnące przy opuszczonym domostwie i tajemniczy jest kształt cienia, jaki rzucają na ziemię.

Już pięć lat farma Battle'ow stała pusta. Nieposkromione, pełne energii chwasty, nie bojąc się motyki, wyrosły silne jak małe drzewka. W sadzie drzewa owocowe splatały się gałęziami ze sobą, stały się mocne i sękaty. I rodziły więcej niż dawniej owoców, tylko że drobniejszych. Gąszcz głogów obrósł ich wystające korzenie i połykał strącony wiatrem owoc.

Sam dom – kwadratowy, mocno zbudowany, piętrowy – był ładny i wyglądał godnie, dopóki go stale bielono, ale jego późniejsze, niezwykle dzieje nadały mu piętno trudnej do zniesienia samotności. Krzewiące się zielsko wypaczyło deski ganków, ściany zmurszały od słońca. Mali chłopcy, ci chorążowie czasu w jego wojennej kampanii przeciw dziełom rąk ludzkich, wytknęli wszystkie szyby i wyciągnęli z wnętrza to, co mogli. Chłopcy zawsze uważają, że wszystko, co tylko da się poruszyć i nie stanowi niczyjej własności, może się przydać do jakiegoś radosnego celu. Wypatroszyli wnętrze domu, wypełnili studnie różnymi odpadkami i całkiem niechcący spalili do cna stodołę, na której strychu kurzyli w sekrecie tytoń. Pożar przypisano włóczącym się po okolicy trampom.

Opuszczona farma znajdowała się prawie w samym środku wąskiej doliny. Przylegały do niej najlepsze i najzamożniejsze gospodarstwa w całych Pastwiskach. Była ciemną, porośłą zielskiem plamą pośród starannie uprawianych, zadowolonych ze swego losu kawałków gruntu. Mieszkańcy doliny uważali opuszczoną farmę za siedlisko niepokojącego zła, gdyż miały tam miejsce dwa wydarzenia: jedno straszne, a drugie owiane nieprzeniknioną tajemnicą.

Na farmie przeżyły dwa pokolenia Battle'ow. George Battle wyruszył na Zachód ze stanu New York w roku 1863; kiedy osiedlił się tutaj, był jeszcze całkiem młody, w wieku poborowym. Matka zaopatrzyła go w pieniądze na kupno farmy i na budowę tego dużego kwadratowego domu, a gdy dom był gotów, George Battle chciał ją sprowadzić, żeby z nim zamieszkała. Staruszka, która całe życie wyobrażała sobie, że wszechświat kończy się dziesięć mil za jej wioską, ruszyła w daleką podróż. Po drodze widziała wiele mitycznych miejsc: New York, Rio i Buenos Aires. Umarła na morzu niedaleko wybrzeży Patagonii. Marynarze pogrzebali ją w szarym oceanie, w trumnie z żaglowego płótna, z trzema ogniwami kotwicznego łańcucha między stopami. A tak pragnęła licznego towarzystwa na swym wiejskim cmentarzyku!

George Battle zaczął oglądać się za kobietą, która stanowiłaby dobrą lokatę dla jego majątku. Znalazł sobie w Salinas Myrtle Cameron, trzydziestopięcioletnią starą pannę z niewielkim kapitalikiem. Myrtle uchowała się w stanie panieńskim, gdyż objawiała pewne skłonności do epilepsji, choroby zwanej podówczas drgawkami i ogólnie przypisywanej niechęci ze strony Boga do osoby nią dotkniętej. George'owi nie przeszkadzała epilepsja. Wiedział, że człowiek nie zawsze może mieć wszystko, co chce. Myrtle została jego żoną, urodziła mu syna i potem dwukrotnie usiłowała podpalić mężowski dom, więc zamknięto ją w małym prywatnym więzieniu w San Jose, zwanym Sanatorium Lippmana. Resztę swej egzystencji spędziła na wyszywaniu bawełną scen z życia Chrystusa.

Później w obszernym domu na farmie Battle'ow zarządzało po kolei kilka skwaszonych gospodyń w rodzaju tych, jakie ogłaszają się w gazetach: „Wdowa, 45, szuka pracy jako

gospodyni na farmie. Dobrze gotuje. Cel matr." Nastawały jedna po drugiej, zrazu pełne słodczy i smutku, póki nie zwietrzyły istnienia Myrtle. Wówczas czuły się jakby zgwałcone, miotały się po całym domu i rzucały wściekłe spojrzenia.

George Battle, gdy miał pięćdziesiąt lat, był już starcem; przygarbiony pracą, gardził przyjemnościami i stale chodził ponury. Nie odrywał oczu od ziemi, którą tak cierpliwie uprawiał. Miał dłonie twarde, szerniałe i spękane jak stopy niedźwiedzia. Lecz jego farma była piękna. Drzewa w sadzie, jedno w drugie, zadbane i wypieszczone. Warzywa, w równych pod sznurek grządkach, zawsze świeże i zielone. George dbał o swój dom i założył przed nim kwiatowy ogródek. Górne piętro nigdy nie było zamieszkałe. Farma ta była poematem prostego człowieka. Cierpliwie szykował wszystko na zjawienie się swojej Julii. I chociaż Julia nigdy nie przyszła, dla niej pielęgnował swój ogród i na nią czekał.

Jego syn dorastał, ale George mało mu poświęcał uwagi w ciągu tych lat. Ważne były tylko drzewa i grządki. I kiedy John odjechał krytym wozem na pracę misyjną, George niemal tego nie zauważył. Harował dalej, z każdym rokiem bardziej pochylony ku swojej ziemi. Sąsiedzi rzadko z nim rozmawiali, bo nie słuchał tego, co mówią. Palce jego dłoni były zawsze zagięte, stały się imadłami, do których szczerlnie pasowały trzony narzędzi rolniczych. Umarł mając sześćdziesiąt pięć lat, ze starości i kaszlu.

John Battle wrócił swym wozem, by objąć w posiadanie ojcowską farmę. Po matce odziedziczył zarówno epilepsję, jak i obłęd religijny. Życie swoje poświęcił walce z diabłem. Jeździł po religijnych zebraniach, miotał się, wymachiwał rękoma, przyzywał diabły, potem je przeklinał i egzorcyzmował, gromiąc wcielone zło. Gdy wrócił do domu, dalej z nimi walczył. Równe grządki warzyw przez jakiś czas same się rozsiewały, jeszcze parę razy z własnej woli obrodziły i wreszcie poddały się chwastom. Farma ustępowała placu naturze, złe duchy stawały się coraz mocniejsze i coraz bardziej dokuczliwe.

John Battle, żeby się bronić przed nimi, ponaszywał białą nicią małe krzyżyki na swym ubraniu i kapeluszu; tak opancerzony ruszał w bój z czarnym legionem. O zmierzchu myszkował po farmie uzbrojony w ciężki kij. Szarżował na zarośla, grzmocił je, złorzeczył, dopóki nie wygnał demonów z kryjówek. W nocy czołgał się przez gąszcza, w których czaiły się całe parafie diabłów, nieustraszenie nacierał na nie bijąc kijem, gdzie popadło. Gdy wstawał świt, szedł do domu i kładł się spać, bo diabły nie działają w świetle dnia.

Pewnego razu, gdy zmierzch już zaczynał gęstnieć, John skradał się do krzaku bzu, który rósł w jego obejściu. Wiedział, że tam właśnie odbywa się tajne zebranie złych duchów. Kiedy już był tak blisko, że nie mogły mu się wymknąć, skoczył nagle tłukąc kijem i miotając przekleństwa. Zbudzony uderzeniami kija wąż zagrzechotał sennie i uniósł płaski, mocny łeb. John opuścił kij i zadrżał, bo przerażający jest suchy i ostry, ostrzegawczy syk jadowitego węża. Padł na kolana i modlił się przez chwilę. Nagle otrząsnął się i wykrzyknął: – To jest piekielny wąż! Precz, zły duchu! – skoczył na niego i chwycił palcami. Wąż ukąsił go trzykrotnie w gardło, którego nie chroniły białe krzyżyki. John przestał walczyć i w kilka minut umarł.

Sąsiedzi znaleźli go dopiero, gdy zaczęły zlatywać się sępy, a to, co ujrzeli, nappełniło ich lękiem i odrazą do tego miejsca.

Przez dziesięć lat farma Battle'ow leżała odłogiem. Dzieci mówiły, że tam straszy, i nocą zakradały się do opuszczonego domu, by zaznać uczucia lęku. Budził grozę ten stary, opuszczony dom z pustymi oknami. Biała farba długimi płatami odpadała ze ścian, gonty na dachu wypaczyły się i zmierzwiły, ziemia zdziczała. Farma przeszła w ręce dalekiego krewnego Battle'ow, który nigdy się na niej nie zjawił.

W roku 1921 stała się własnością Mustrowiczów. Ich przybycie było nagłe i tajemnicze. Po prostu zjawili się pewnego ranka – stary człowiek i jego żona, dwa szkielety obciążone żółtą,

błyszczącą skórą, ciasno przylegającą do szeroko rozstawionych kości policzkowych. Nie umieli po angielsku, tylko ich syn mógł porozumieć się z resztą mieszkańców doliny. Był wysoki, miał także szerokie kości policzkowe, jego szorstkie, przycięte krótko czarne włosy zarastały niskie czoło, ciemne łagodne oczy patrzyły ponuro. Mówił po angielsku z obcym akcentem i odzywał się tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebował.

Ludzie w sklepie delikatnie go wypytywali, ale niewiele mogli wskórać.

– Zawsze zdawało nam się, że tam straszy na waszej farmie. Widzieliście już jakie duchy? – pytał Allen, właściciel sklepu.

– Nie – rzekł młody Mustrowicz.

– To dobra farma. Tylko trzeba wypielić chwasty.

Mustrowicz odwrócił się i wyszedł ze sklepu.

– Coś w tym jest – zauważył Allen. – Każdy, kto tam mieszka, jest taki małowówny.

Rzadko widywano starych Mustrowiczów, ale młody pracował na farmie cały boży dzień. Sam, własnymi rękoma oczyścił ziemię z zielska i obsiał ją, poprzycinał drzewa owocowe i skropił je wapnem. Pracował z gorączkowym pośpiechem, robota mu się w rękę paliła; na twarzy zawsze miał jakby wyraz nadziei, że może czas się zatrzyma, nim przyjdzie pora zbiorów.

Cała rodzina mieszkała i spała w kuchni. Pokoje stały puste i zamknięte, nie wstawili szyb. Szpary w oknach kuchni zalepili lepem na muchy. Nie pomalowali murów, nie dbali o stary dom, ale zapamiętały trud młodego Mustrowicza nie poszedł na marne, gleba znowu pięknie rodziła. Całe dwa lata pracował jak niewolnik. O szarym świcie wychodził z domu i wracał, gdy gęstniał już wieczorny mrok.

Pewnego ranka Pat Humbert zauważył po drodze do sklepu, że z komina domu Battle'ow nie unosi się dym.

– To miejsce wygląda jak opuszczone – rzekł do Allena. – Co prawda nigdy tam nie było widać nikogo prócz tego młodego, ale coś w tym jest. Jakby znowu tam nikt nie mieszkał.

Przez trzy dni sąsiedzi patrzyli na komin z ukrytym lękiem. Nie chcieli bliżej zbadać, co się stało, bo mogliby się tylko wygłupić. Jednak czwartego dnia Pat Humbert, Allen i John Whiteside wybrali się na farmę. Ich krok szeleścił w ciszy. John Whiteside zapukał do kuchennych drzwi. Nikt się wewnątrz nie poruszył i nie odezwał, więc nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się. Kuchnia była sprzątnięta i czysta, stół nakryty; stały na nim miski z owsianką, smażone jajka na talerzach, pokrajany na kromki chleb. Jedzenie pokryte już było lekką pleśnią. Kilka much latało leniwie w słońcu wchodzącym przez otwarte drzwi. Pat Humbert zawołał; – Jest tu kto? – i poczuł się głupio.

Przeszukali cały dom; był pusty. Nie było w nim nawet mebli, tyle co w Kuchni. Na całej farmie nie znaleźli nikogo – opuszczono ją nagle, w jednej chwili.

Zawiadomili szeryfa, ale i on niczego nie wykrył. Mustrowicze kupili farmę za gotówkę. Opuścili ją nie zostawiając żadnego śladu. Nikt nie widział, jak odjeżdżali, nikt już ich nigdy nie spotkał. W okolicy nie popełniono w tym czasie żadnej zbrodni, w którą mogliby być zamieszani. Po prostu pewnego ranka, gdy właśnie zabierali się do śniadania, nagle znikli. Wiele, wiele razy omawiano w sklepie ten wypadek, ale nikt nie był w stanie wytłumaczyć, co się wtedy mogło stać.

Ziemia na farmie znowu zarosła chwastami, dzikie wino znów oplótło gałęzie owocowych drzew. Farma dziczała szybko, jakby sobie dobrze przyswoiła poprzednie doświadczenia. Kupiła ją Spółka Ziemska w Monterey za sumę równą zaległym podatkom, a ludzie z Pastwisk Niebieskich, choć nie zawsze się do tego przyznawali, byli przekonani, że nad farmą Battle'ow ciąży jakaś klątwa.

– Dobra tam ziemia – mówiono – ale nie chciałbym jej mieć, choćby darmo dawali. Nie

wiem co, ale coś dziwnego jest w tej farmie. Gdyby ktoś twierdził, że tam straszy, to można by nawet uwierzyć.

Przyjemnym dreszczykiem sensacji powitano w Pastwiskach wieść, że na starej farmie Battle'ow znowu ktoś się zamierza osiedlić. Plotkę tę przyniósł do sklepu Pat Humbert, który widział samochody stojące przed opuszczonym domem, Allen zaś szeroko rozgłosił całą historię. Allen wyimaginował sobie, jak musiały wyglądać okoliczności zakupu farmy przez nowych właścicieli, i zwierzał się z tego swoim klientom, zawsze zaczynając od słowa „powiadają”.

– Powiadają – mówił – że gość, który kupił farmę Battle'ow, to taki, co specjalnie szuka duchów, żeby o nich pisać.

Owo „powiadają” chroniło Allena przed odpowiedzialnością. Używał tego słowa, jak dziennikarze używają zwrotu „rzekomo”.

Zanim Bert Munro objął w posiadanie swój nowy nabytek, już kursowało o nim w Pastwiskach mnóstwo różnych opowieści. Zaraz po przybyciu zorientował się, że jego nowi sąsiedzi bacznie go obserwują, ale nigdy nie mógł ich na tym przyłapać. Skryte podpatrywanie innych jest sztuką wysoko rozwiniętą wśród wiejskich ludzi. Widzą dokładnie najdrobniejsze szczegóły i fotografują w pamięci ubiór, kolor oczu, kształt nosa, aby w końcu sprowadzić wszystko, co zaobserwują, do trzech czy czterech przymiotników; a cały czas człowiek żyje w złudzeniu, że w ogóle nie zauważyli jego obecności.

Bert Munro, zaraz po nabyciu farmy Battle'ow, zabrał się do roboty w jej zachwaszczonym obejściu, podczas gdy stolarze i cieśle szykowali mu stary dom. Wyciągnięto na podwórze i spalono meble. Burzono wewnętrzne ściany i ustawiano nowe. Wszystkie pokoje wylepiono świeżą tapetą, ułożono dach z azbestowej dachówki. W końcu cały dom wymalowano na jasnożółty kolor.

Bert własnymi rękoma ściął dzikie wino i drzewa rosnące na podwórzu, żeby dopuścić trochę więcej światła. W ciągu trzech tygodni dom stracił wszelkie cechy opuszczenia i zaniedbania, przestał być stary i nawiedzany przez duchy. Szereg genialnych posunięć nowego właściciela sprawił, że stał się podobny do tysięcy innych wiejskich domów na Zachodzie.

Gdy tylko wyschła farba, przywieziono nowe meble – głębokie miękkie fotele, sofę, emaliowany piec i żelazne łóżka pomalowane tak, żeby wyglądały jak z drzewa, i kupione z gwarancją, że miękkość ich materacy obliczono z matematyczną ścisłością. Przywieziono lustra w ozdobnych ramach, fabryczne dywany imitujące wschodnie i reprodukcje obrazów nowoczesnego malarza, który spopularyzował kolor niebieski.

Razem z meblami przybyła pani Munro i troje młodych Munrów. Pani Munro była pulchną kobietą; nosiła pince-nez na długiej, wąskiej wstążeczce. Była dobrą panią domu. Długo kazała przestawiać meble, ale jak już raz który stanął, gdzie trzeba, jak już raz dobrze mu się przyjrzała skupionym wzrokiem i pochyliła z uznaniem głowę, to wiadomo było, że mebel ten będzie zawsze stał w tym samym miejscu i że się go nie ruszy – chyba tylko przy sprzątanii.

Jej córka Mae była ładną dziewczyną o świeżych ustach i krągłych, gładkich policzkach. Miała kształtną figurę, ale pod brodą rysowała się już łagodnie wygięta linia zapowiadająca, że w przyszłości będzie pulchna jak matka. Oczy Mae patrzyły szczerze i przyjaźnie, były niezbyt inteligentne, ale i nie bezmyślne. Nie ulegało wątpliwości, że Mae niedostrzegalnie stanie się z czasem sobowtórem matki – dobrą gospodynią, matką zdrowych dzieci, wierną żoną, nie skarżącą się na los.

W swym nowym, panieńskim pokoiku Mae zatknęła karnety balowe za ramę lustra, na ścianach powiesiła oprawne fotografie przyjaciółek z Monterey, a na nocnym stoliku położyła album ze zdjęciami i zamykany na kłódkę dzienniczek. W tym dzienniczku, który starannie chroniła przed niepowołanymi oczami, prowadziła nieciekawie zapiski z tańców i zabaw,

notowała przepisy na robienie cukierków i imiona chłopców, dla których miała uczucia nieco żywsze niż dla innych. Sama wybrała materiał i sama uszyła firanki z bladuróżowej gazy, które łagodziły światło, oraz lambrekin z kwiecistego kretonu. Łóżko nakryła kapą z przymarszczonego atłasu i starannie ułożyła na nim w niedbały sposób pięć buduarowych poduszek, o które opierała się długonoga francuska lalka z krótko obciętymi blond włosami i ze zwisającym ze znużonych ust skrzyconym z materiału papierosem. Mae uważała, że lalka ta dowodzi szerokości jej poglądów i tolerancji wobec spraw, które sama nie całkowicie aprobuje.

Lubiła przyjaciółki „z przeszłością”, bo słuchając ich zwierzeń przestawała żałować, że się tak nienagannie prowadzi. Miała dziewiętnaście lat i często, bardzo często myślała o małżeństwie. Kiedy szła gdzieś z chłopcami, mówiła z przejęciem o ideałach. Nie bardzo wiedziała, co to takiego, ale czuła, że właśnie w imię ideałów może przyjmować pocałunki wracając z tańców do domu.

Jim Munro miał siedemnaście lat, właśnie skończył szkołę i był szalenie cyniczny, a w obecności rodziców skryty i ponury. Uważał, że człowiek, posiadający tak wielką znajomość świata jak on, nie może zwierzać się rodzicom, bo go nie rozumieją. Rodzice należą do pokolenia, które nie zna ani grzechu, ani bohaterstwa. Jego niezłomne postanowienie, że odrzuci wszelką uczuciowość i złoży życie na ołtarzu nauki, nie zostałoby przez nich przyjęte z należyty entuzjazmem. Na pojęcie nauki składały się według Jima: radio, archeologia i aeroplany. Nieraz widział siebie, jak wykopuje złote wazy w Peru. Marzył, by zamknąć się w jakiejś pracowni, niby w celi klasztornej, i po latach trudu i rozczarowań wyłonić się stamtąd z nowym modelem samolotu o rewelacyjnej konstrukcji i zawrotnej szybkości.

Pokój Jima w nowym domu stał się od razu bezładnym składem wszelkiego rodzaju przyrządów i mechanizmów. Było tam radio kryształkowe ze słuchawkami, ręcznie obracane dynamo, które zasilalo prądem brzęczyk telegrafu, mosiężny teleskop i nieskończona ilość rozmaitych rozłożonych na części maszynek. Jim też miał swoją tajną skrytkę – dębowe pudło zamykane na masywną kłódkę. W pudle tym znajdowały się następujące przedmioty: pół puszki kapiszonów, stary rewolwer, paczka papierosów „Melachrino”, trzy sztuczki magiczne zwane „Wesoła wdówka”, flaszeczka brzoskwiniówki, nóż do papieru w kształcie sztyletu, cztery paczki listów od czterech różnych dziewczyn, szesnaście pomadek do ust ukradzionych partnerkom na tańcach, małe pudełeczko pamiątek po kolejnych miłościach – zaschłe kwiaty, chusteczki i guziki – i coś, co było najbardziej cenne: okrągła podwiązka, obszyta czarną koronką. Jim już nie bardzo pamiętał, jak ją zdobył. W każdym razie to, co mu w pamięci zostało, było szalenie przyjemne. Zawsze, gdy miał otworzyć swoje pudło, zamykał drzwi na klucz.

Gdy Jim był w szkole, rekord jego grzeszków inni koledzy z łatwością wyrównywali, a niektórzy nawet bili bez specjalnego wysiłku. Lecz wkrótce po przybyciu do Pastwisk Niebieskich Jim doszedł do wniosku, że jednak nieprzeciętne były jego dawne niegodziwości. Uważał się teraz za nawróconego rozpustnika, ale nie lak bezpowrotnie nawróconego, żeby nie mógł jeszcze kiedy zejść z drogi cnoty. Zaznał pełni prawdziwego życia i to mu dawało ogromną przewagę nad młodszymi od niego dziewczętami. Jim był ładny, szczupły i dobrze zbudowany, miał ciemne włosy i oczy.

Jego młodszy brat, siedmioletni Manfred, zwany na co dzień Manny, był poważnym dzieckiem, o twarzyczce bladej i chudej z powodu adenoidów. Rodzice wiedzieli, że należałoby je kiedyś wyciąć. Manny bał się tego, więc matka straszyla go operacją, kiedy był niegrzeczny. Po jakimś czasie osiągnęła to, że na samo wspomnienie o wycięciu adenoidów Manny dostawał z przerażenia hysterii. Państwo Munro uważali go za poważne, myślące dziecko, które, kto wie, może jest nawet geniuszem. Zwykle bawił się sam lub siedział godzinami patrząc nieruchomo przed siebie, „marząc”, jak mawiała jego matka. Przez wiele lat rodzice nie zdawali sobie

sprawy, że Manny nie jest normalny, że adenoidy hamują jego rozwój umysłowy. Ale na ogół był dobrym dzieckiem, łatwym do prowadzenia i łatwo dawał się nastraszyć, gdy był nieposłuszny, tylko że jak się zanadto przeląkł, dostawał ataków hysterii. Tracił panowanie nad sobą, opuszczał go nawet instynkt samozachowawczy. Zdarzało się, że tłukł głową o podłogę, aż krew nabiegała mu do oczu.

Bert Munro osiedlił się w Pastwiskach, bo zmęczyła go już walka z przeznaczeniem, które nieodmiennie odnosiło nad nim zwycięstwo. Angażował się w rozmaite przedsięwzięcia i każde go zawsze zawodziło; nie z jego winy, tak się jakoś po prostu składało. Każda porażka z osobna wynikała z nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, ale Bert widział je wszystkie razem i wydawało mu się, że los uwziął się na niego i nie daje mu niczego w życiu osiągnąć. Zniechęciła go walka z czymś nieuchwytnym, co zagradzało mu drogę do sukcesu. Miał dopiero pięćdziesiąt pięć lat, ale pragnął już wypocząć; był niemal przekonany, że ciąży nad nim jakieś przekleństwo.

Przed kilku laty założył garaż na przedmieściu Monterey. Interes szedł dobrze; zgarniał pieniądze. Gdy myślał, że już jest całkowicie zabezpieczony, otwarto nową autostradę biegnącą przez inną ulicę. Stracił klientów, skończyły się dobre czasy. Po roku sprzedał garaż i otworzył sklep kolonialny. Znowu mu się zrazu powiodło. Spłacił długi, zaczął składać w banku pieniądze. Szło mu dobrze, dopóki nie przycisnęły go wielkie sklepy spożywcze, które, obniżając ceny, w końcu zmusiły go do likwidacji. Bert był człowiekiem wrażliwym. Podobne wypadki powtarzały się już wiele razy. Ilekroć bliski był sukcesu, zaraz dawało o sobie znać wiszące nad nim przekleństwo. Zaczął tracić wiarę w siebie. Gdy wybuchła wojna, już nie miał dawnej energii. Wiedział, że można nieźle zarobić na dostawach dla wojska, ale bał się ryzyka, zbyt często ponosił klęskę.

Długo się wahał, nim zdecydował się zawrzeć pierwszy kontrakt na dostawę fasoli. W pierwszym roku zarobił pięćdziesiąt tysięcy dolarów, w drugim dwieście tysięcy. W trzecim roku zakontraktował niezliczone akry fasoli, zanim jeszcze została zasiana, gwarantując, że będzie płacił dziesięć centów za funt. Mógł sprzedać każdą ilość po osiemnaście centów. W listopadzie wojna się skończyła i sprzedawał funt fasoli po cztery centy. Zostało mu jeszcze mniej pieniędzy, niż miał na początku.

Teraz już pewien był, że ciąży nad nim jakieś przekleństwo. Załamał się, prawie nie wychodził z domu. Całymi dniami pracował w ogródku hodując trochę warzyw i rozmyślał nad wrogością losu. Mijały lata beczynności, a w nim narastała tęsknota za ziemią. Zdawało mu się, że jedynie praca na farmie da mu siłę do walki ze złym losem. Myślał, że może na własnym kawałku ziemi znajdzie spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Spółka Ziemska w Monterey wystawiła farmę Battle'ow na sprzedaż. Bert obejrzał farmę, zastanawiał się nad zmianami, jakie trzeba by wprowadzić, i kupił ją. Z początku cała rodzina była przeciwna jego planom, ale gdy oczyścił obejście, założył elektryczność i telefon i zapełnił dom nowymi, wygodnymi meblami, ich początkowa niechęć przemieniła się w entuzjazm. Pani Munro uważała, że wszystko jest dobre, co tylko zdoła przerwać jego beczynność i jałowe rozpamiętywania.

Bert od momentu, w którym kupił farmę, poczuł się wolnym człowiekiem. Wiedział, że nie grozi mu już przekleństwo losu. Jego przygarbione plecy wyprostowały się, zniknął z twarzy wyraz przygnębienia. Stał się zapalonym farmerem, czytał mnóstwo rolniczych książek, przyjął pomocnika, pracował od świtu do nocy. Każdy dzień przynosił świeże wzruszenia. Każde kielkujące ziarno zdawało – się zapewniać, że znikąd już nie zagraża mu nic złego. Był szczęśliwy, odzyskał pewność siebie, przyjaźnił się z sąsiadami i zdobywał coraz większe poważanie w dolinie.

Nie jest łatwo wkupić się w wiejską społeczność; wymaga to wiele taktu i delikatności.

Mieszkańcy doliny obserwowali przybycie rodziny Munrów z pewną wrogością. Farma Battle'ow była nawiedzana przez duchy i ciążyła nad nią klątwa. To już od dawna ustalono, tak wszyscy uważali, nawet ci, co z tego głośno szydzili. I oto zjawił się ktoś, kto dowiódł, że wcale tak nie jest. Co więcej, zmienił miejscowy krajobraz, bo przeistoczył to wyklęte miejsce w przyjemne i bogate gospodarstwo. Ludzie przywykli do farmy Battle'ow takiej, jaką była od lat. Skrycie żałowali zmiany.

Bert przełamał ich wrogość i to było jego wielkie osiągnięcie. W ciągu trzech miesięcy stał się częścią tej doliny, solidnym Człowiekiem, sąsiadem. Pożyczał narzędzia innym i od innych. Po sześciu miesiącach wybrano go do Rady Szkolnej. Biło od niego szczęście i zadowolenie, że wreszcie wyzwolił się od ciężącej nad nim klątwy, i w dużej mierze ta jego radość sprawiała, że ludzie go lubili. Był przy tym z natury uczynny; cieszyło go, gdy mógł się komuś przysłużyć i, co ważniejsze, sam nie wahał się prosić o przysługi.

Opowiadał swe dzieje farmerom zbierającym się w sklepie i podbiła ich szczerłość jego wynurzeń. Wkrótce po osiedleniu się Berta w dolinie Allen zadał mu swoje zwykłe pytanie:

– Zawsze myśleliśmy, że to miejsce jest przeklęte. Mnóstwo dziwnych rzeczy tam się zdarzyło. Widziałeś już jakiego ducha?

Bert roześmiał się tylko.

– Jak wynieść z domu wszystko, co jest do zjedzenia, szczury same go opuszczą – powiedział. – Wygnałem stamtąd to, co stare i złe. Bo duchy tym się tylko karmią.

– Ładnieś tam wszystko urządził, trzeba przyznać – zgodził się Allen. – Jak dobrze o nią zadbać, to nie znajdziesz lepszej farmy w całych Pastwiskach.

Bert zmarszczył czoło. Zamyślił się nad czymś.

– Nie szczęściło mi się dotąd – powiedział. – Różnych się rzeczy miałem, ale wszystko obracało się przeciw mnie. Zanim tu przybyłem, zdawało mi się, że jakieś przekleństwo nade mną ciąży. – Zaśmiał się nagle, ubawiony myślą, która przyszła mu właśnie do głowy. – I com zrobić? Ni z tego, ni z owego kupiłem farmę, nad którą też podobno wisi przekleństwo! Pomyślałem sobie, że może to moje przekleństwo i to przekleństwo farmy wezmą się za łby i zniszczą się nawzajem! Teraz już wiem na mur, że tak właśnie się stało!

Mężczyźni roześmieli się. Allen aż walił pięścią w kontuar.

– Udał ci się kawał! – zaśmiewał się. – Ale ja mam lepszy! Może twoja klątwa i klątwa tej farmy poszły sobie w krzaczki jak parka grzechotników. I może niedługo w całych Pastwiskach zamrowi się od małych, raczkujących klątewek. I co wtedy?

Wszyscy ryknęli śmiechem i Allen szybko zanotował w pamięci całą tę scenę, żeby móc ją później innym opowiadać. „Zupełnie jak kawałek ze sztuki w teatrze” – pomyślał.

3

Edward Wicks mieszkał w ponurym domu u skraju drogi idącej przez I Pastwiska Niebieskie. Za domem miał sad brzoskwiniowy i duży ogród warzywny. Edward Wicks zajmował się sadem, jego żona i piękna córka – ogrodem warzywnym, w którym hodowały groch, fasolę strączkową i wczesne truskawki. Wszystko to przeznaczone było na sprzedaż w Monterey.

Edward Wicks miał tępą, ciemną twarz i małe zimne oczka prawie bez rzęs. Był znany jako najprzebieglejszy człowiek w dolinie. Targował się zajadle i największą radość odczuwał, gdy udało mu się wydusić za swoje brzoskwinie kilka centów więcej niż sąsiad. Czasem, jak mógł, to i trochę oszukiwał, ale w granicach przyzwoitości. Jego handlowy spryt zyskał mu uznanie wśród miejscowych ludzi, ale nie wiadomo dlaczego, jakoś się nie bogacił. Niemniej jednak udawał, że lokuje poważne sumy w papierach wartościowych. Na zebraniach Rady Szkolnej często pytał innych członków, jakie akcje stoją najlepiej. Wywoływał w ten sposób wrażenie, że rozporządza znacznymi oszczędnościami. Ludzie w dolinie nazywali go Rekinem.

– Rekin? – mówili. – Ho, ho, na pewno ma ze dwadzieścia tysięcy, jeśli nie więcej. Jest kuty na cztery nogi!

A w rzeczywistości Rekin nigdy nie miał więcej jak pięćset dolarów.

Sprawiało mu to wielką przyjemność, że uważano go za bogacza. Tak wielką, że sam w to uwierzył. Ustalił wysokość swego wymaganego kapitału na pięćdziesiąt tysięcy dolarów i założył księgę buchalteryjną, w której notował wymyślone transakcje i dochody. Te manipulacje stanowiły największą radość jego życia.

W Salinas powstała spółka naftowa w celu dowiercenia się ropy w południowej części okręgu Monterey. Rekin dowiedział się o tym i pewnego dnia poszedł do Johna Whiteside'a, żeby pogadać z nim na ten temat.

– Zastanawiam się właśnie nad tą nową Południową Spółką Naftową – powiedział.

– Raporty geologów są dobre – rzekł John Whiteside. – Od dawna już słyszałem, że tam jest ropa. – Często radzono się Johna w podobnych kwestiach. – Naturalnie za dużo bym w to nie pakował – dodał.

Rekin ścisnął palcami dolną wargę i chwilę rozmyślał.

– Właśnie zastanawiam się – powiedział. – Wygląda to na dobry interes. Mam akurat wolne dziesięć tysięcy, które nie przynoszą mi tyle, co powinny. Będę musiał zbadać bliżej, jak to wygląda, i ostrożnie wszystko rozpatrzyć. Chciałem tylko wiedzieć, co o tym sądzisz.

Ale już był zdecydowany. Wrócił do domu, wyciągnął swoją księgę buchalteryjną i wycofał dziesięć tysięcy dolarów z wymaganego rachunku bankowego. Potem dopisał do listy swoich papierów wartościowych tysiąc akcji Południowej Spółki Naftowej. Od tego czasu z gorączkową ciekawością sprawdzał codzienne notowania giełdowe. Gdy akcje szły nieco w górę, pogwizdywał z zadowoleniem monotonne melodyjki, kiedy spadały – gardło mu się ścisnęło. A gdy raz gwałtownie skoczyły, tak się ucieszył, że poszedł do sklepu i kupił czarny marmurowy zegar na kominek, z onyksowymi kolumnkami po obu stronach cyferblatu, i konia z brązu, żeby ustawić na zegarze. Mężczyźni w sklepie dobrze wiedzieli, co to znaczy; szeptali między sobą, że Rekin lada dzień zrobi prawdziwą fortunę.

W tydzień później akcje spadły gwałtownie i Południowa Spółka Naftowa w Ogóle przestała istnieć. Jak tylko się Rekin o tym dowiedział, otworzył swoją księgę i odnotował w niej sprzedaż akcji na dzień przed ich spadkiem z zyskiem w wysokości dwóch tysięcy dolarów.

Pat Humbert, który wracał właśnie z Monterey, zatrzymał samochód przed domem Rekina.

– Słyszałem – zagał – żeś wpadł na tych naftowych akcjach?

Rekin uśmiechnął się tylko, zadowolony z siebie.

– Za kogo mnie masz? Sprzedałem je dwa dni temu. Powinieneś wiedzieć, jak i każdy, że nie jestem małym dzieckiem. Od razu zważałem, że te akcje są do chrzantu i tylko na razie pójdą w górę, bo założyciele spółki muszą na nich zarobić. Pozbyłem się ich, kiedy i oni.

– A niech cię wszyscy diabli! – rzekł Pat z podziwem. I jak tylko poszedł do sklepu, przekazał dalej, co usłyszał. Mężczyźni pokiwali z uznaniem głowami i zaczęli zgadywać, ile Rekin na tym zarobił. Mówili, że za nic by nie chcieli naciąć się na niego w interesach.

On zaś pożyczył z banku w Monterey czterysta dolarów i kupił używany traktor Fordsona.

Stopniowo pozyskał reputację tak mądrego i przewidującego człowieka interesów, że nikt w całych Pastwiskach nie odważyłby się ulokować pieniędzy, kupić kawałka gruntu czy choćby konia bez uprzedniego zasięgnięcia jego opinii. Rekin z każdym ze swych wielbicieli szczegółowo rozpatrywał całą sprawę i zawsze zadziwiająco dobrze radził.

W ciągu kilku lat, jak wykazała jego księga buchalteryjna, zgromadził sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów dzięki swym przemyślnym transakcjom.

Sąsiedzi widzieli, że żyje skromnie, jak człowiek ubogi, i jeszcze bardziej go szanowali, bo bogactwo nie przewróciło mu w głowie. Tak, jest kuty na cztery nogi! Jego żona i piękna córka dalej hodowały warzywa i posyłały je na sprzedaż do Monterey; a on dalej pracował ciężko w swoim sadzie.

Rekin nigdy nie przeżył tego, co się nazywa romansem. Kiedy miał dziewiętnaście lat, trzy razy zaprosił Katarzynę Mullock na tańce, dlatego że była wolna. To poruszyło cały mechanizm precedensów i w końcu ożenił się z nią, bo jej rodzina i wszyscy sąsiedzi tego oczekiwali. Katarzyna nie była ładna, ale miała świeżość młodej rośliny i trzymany w cuglach wigor młodej klaczy. Po małżeństwie straciła i wigor, i świeżość, niby kwiat, biodra poszerzyły się i zaczął się drugi okres jej życiowego przeznaczenia – okres pracy.

Rekin nie był dla niej ani zbyt czuły, ani zbyt surowy. Rządził nią z tą samą łagodną nieugiętością, z jaką kielznał konie. Okrucieństwo uważałby za coś równie głupiego, jak pobbłażanie. Nigdy nie rozmawiał z żoną jak człowiek z człowiekiem, nie dzielił się z nią nadziejami czy niepowodzeniami, nie mówił jej o swym papierowym bogactwie czy o zbiorach brzoskwiń. Katarzyna zdziwiłaby się i zaniepokoiła, gdyby to kiedy zrobił. Jej własne życie było i tak trudne, bez dodatkowego balastu cudzych myśli i trosk.

Ich brunatny dom był jedynym brzydkim miejscem na farmie. Odpadki i śmieci, które pozostawiła po sobie natura, już po roku stają się glebą, ale odpadki i śmieci pozostawione przez człowieka są znacznie trwalsze. Obejście było zawałone starymi workami, papierzyskami, stłuczonym szkłem i splątanymi zwojami drutu. Jedynym miejscem na farmie, gdzie nawet trawa nie chciała rosnąć, było właśnie to zaniedbane podwórze, zaśmiecone i jałowe, na które wciąż wylewano balie brudnych mydlin. Rekin nawadniał swój sad jak należy, ale nie widział powodu, dla którego miałby marnować świeżą wodę na oczyszczenie podwórza.

Kiedy urodziła się Alicja, do domu Rekina zbiegło się całe stado kobiet, już składających usta do głośnego okrzyku: „Jakie piękne dziecko!” Ale gdy ujrzały, że dziecko jest naprawdę piękne, nie wiedziały, co powiedzieć. Te kobiece okrzyki zachwyty mają na celu przekonanie młodych matek, że ohydne płazy, które tulą w swych ramionach, są, mimo wszystko, istotami ludzkimi i nie wyrosną na potwory; w tym jednym wypadku te okrzyki straciły swą rację. Na domiar Katarzyna spoglądała na swoje dziecko bez tego sztucznego zachwyty, jakim większość,

młodych matek łagodzi rozczarowanie. Gdy zobaczyła, że dziecko jest piękne, przełękała się i zaniepokoiła. Bała się, że za piękność Alicji trzeba będzie w przyszłości zapłacić. Ładne niemowlęta, twierdziła Katarzyna, zwykle wyrastają na brzydkich ludzi. Mówiła tak, by zażegnać swój własny niepokój, jakby przejrzała złośliwości Przeznaczenia i tym samym mogła im zapobiec.

Tego pierwszego dnia Rekin słyszał, jak jedna z kobiet mówiła ze zdumieniem do drugiej: – Ależ to naprawdę piękne dziecko! I co pani na to? Jak to się mogło stać, że jest takie śliczne?

Rekin wszedł do sypialni i przyglądał się swojej córeczce. Później, w brzoskwiniowym sadzie, długo nad tym rozmyślał. Dziecko było rzeczywiście piękne. Szaleństwem byłoby sądzić, że to po nim albo po Katarzynie, albo po którymś z przodków odziedziczyło urodę, bo w jego rodzinie i w rodzinie Katarzyny wszyscy byli raczej brzydki. Widocznie został obdarzony czymś niezwykle cennym, a ponieważ rzeczy cenne wzbudzają pożądanie, Alicji należy strzec. Rekin wierzył w Boga – oczywiście tylko wtedy, gdy o tym myślał – a wyobrażał Go sobie jako mglistą, nieokreśloną istotę, za której sprawą dzieje się to wszystko, czego nie można pojąć.

Alicja rosła i piękniała. Skórę miała przejrzystą i lśniąca jak płatki białych maków, czarne włosy miękkie i puszyste jak młoda paproć, a oczy jej były mglistym niebem obietnic. Patrząc w poważne oczy tego dziecka, niejednen człowiek myślał: „Jest w nich coś, co znam dobrze, a czego nie mogę sobie przypomnieć. Może właśnie tego szukałem całe życie? – Alicja nagle odwracała głowę. – Boże! Toż to przecież tylko śliczna mała dziewczynka!”

Rekin u wielu dostrzegał to olśnienie. Widział mężczyzn, którzy czerwienili się patrząc na Alicję, i małych chłopców walczących ze sobą jak lwy, gdy tylko się pojawiała.

Zdawało mu się, że w każdej męskiej twarzy czyta pożądanie. Często, kiedy pracował w sadzie, zadreślał się wyobrażając sobie, że Cyganie porywają jego małą córeczkę. Każdego dnia dziesiątki razy przestrzegał ją przed najrozmaitszymi niebezpieczeństwami. Mówił jej o koniach, które kopią, o wysokich płotach i głębokich rowach, i o istnym samobójstwie, jakim jest przechodzenie przez drogę nie upewniwszy się, czy nie nadjeżdża samochód. Każdy sąsiad, każdy domokrażca, a zwłaszcza każdy obcy był w jego oczach potencjalnym porywaczem dzieci. Kiedy dowiedział się, że w okolicy Pastwisk pojawili się włóczędzy, nie pozwolił Alicji oddalać się na krok od siebie. Wycieczkowiczów piknikujących na jego polu zaskakiwała wściekłość, z jaką ich przepędzał.

Katarzynę zaś coraz bardziej przerażał fakt, że córka jej z dnia na dzień pięknieje. Zdawało jej się, że Przeznaczenie na razie zwleka, jakby zbierając siły do zadania tym mocniejszego ciosu. Katarzyna stała się niewolnicą swej córki, nieustannie krążyła blisko niej, obsługując ją, jak się obsługuje obłożnie chorego, który ma niebawem umrzeć.

Mimo całego uwielbienia dla Alicji, mimo ciągłego o nią lęku i mimo owego zazdrosnego zachwyty dla jej urody, Rekin i jego żona w pełni zdawali sobie sprawę, że ich śliczna córka jest niewiarogodnie głupia i cofnięta w rozwoju. Świadomość ta zwiększała obawy Rekina, bo rozumiał, że Alicja jest bezbronna w swojej naiwności i może stać się dla każdego łatwą zdobyczą. Katarzynę raczej cieszyła głupota Alicji, bo dawało to jej sposobność otaczania stale córki matczyną opieką. Pomagając jej Katarzyna uświadamiała sobie własną wyższość, co w pewnej mierze niwelowało różnicę między nią a córką. Dlatego też Katarzyna była zadowolona z każdej słabości Alicji, gdyż to zbliżało ją do córki, dając jednocześnie poczucie własnej wartości.

Gdy Alicja skończyła czternaście lat, jeszcze jedna obawa zaczęła dręczyć jej ojca. Dotychczas bał się, że może ją samą stracić lub że Alicja straci urodę. Teraz prześladowała go myśl, że jego córka może przestać być dziewczyną. Wiele nad tym rozmyślał i stopniowo ta nowa

obawa przestroniła dawne. Doszło do tego, że uważałyby utratę cnoty przez Alicję za rzecz równoznaczną z utratą jej samej i z jej oszpecceniem. Odtąd, ilekroć jakiś młody mężczyzna czy młody chłopak znalazł się w pobliżu farmy, był niespokojny i podejrzliwy. To stało się jego zmorą. Wciąż i wciąż ostrzegał żonę, żeby nie spuszczała Alicji z oka.

– Nie można przewidzieć, co się zdarzy – powtarzał, a jego wyblakłe oczy rozpalala podejrzliwość. – Nie można przewidzieć, co się zdarzy.

Upośledzenie umysłowe córki jeszcze bardziej zwiększyło jego lęk. „Każdy – myślał – może ją zniszczyć. Każdy, kto znajdzie się z nią sam na sam, może ją skrzywdzić. Nie będzie się umiała bronić, jest za głupia”. Nikt nigdy nie strzegł tak swej pokazowej klaczy w okresie rui, jak Rekin swej córki.

Z czasem doszło do tego, że wymagał ciągłych zapewnień i dowodów jej niewinności. Co miesiąc zamęczał żonę pytaniami. Pamiętał daty lepiej niż ona.

– Czy wszystko w porządku? – pytał podejrzliwie.

Katarzyna odpowiadała lekceważąco:

– Jeszcze nie wiem.

W parę godzin znowu: – Czy wszystko w porządku?

I tak w kółko, póki nie usłyszał: – Naturalnie, że wszystko w porządku. A coś ty sobie myślał?

Taka odpowiedź starczała mu na miesiąc, ale to wcale nie zmniejszało jego ustawicznej czujności. Cnota Alicji była nie naruszona, zatem wciąż należało jej strzec.

Rekin wiedział, że nadejdzie czas, gdy Alicja zechce wyjść za mąż. Ale odsuwał od siebie tę myśl i odnosił się do sprawy jej małżeństwa z taką samą wrogością, z jaką traktował możliwość jej uwiedzenia. Była czymś niezwykle drogocennym, czego trzeba strzec, co należy zachować nietkniętym. Był to dla niego problem nie tyle moralny, co estetyczny. Gdy Alicja raz utraci cnotę, przestanie być tym drogocennym przedmiotem, który on tak pieczołowicie chroni i przechowuje. Nie kochał jej miłością ojca do dziecka. Raczej strzegł, jak strzeże się czegoś, co się posiada, a co jest niezwykle rzadkie i cenne. I stopniowo, gdy miesiąc po miesiącu zadawał pytania: – Czy wszystko w porządku? – cnota Alicji stawała się symbolem jej urody, jej zdrowia i nietykalności.

Pewnego dnia, gdy Alicja miała już szesnaście lat, Rekin wszedł do pokoju żony zdradzając żywe zaniepokojenie.

– Nie możemy wiedzieć, czy wszystko jest w porządku, znaczy, nie możemy być pewni, póki nie zaprowadzimy jej do lekarza – oświadczył.

Przez chwilę Katarzyna spoglądała na niego starając się zrozumieć znaczenie tych słów. I po raz pierwszy w życiu nie wytrzymała.

– Jesteś plugawy i podły! – krzyknęła. – Wynoś się stąd! I jeśli jeszcze raz o tym choć wspomnisz, to... to ja się stąd zabiorę!

Jej wybuch zdziwił Rekina, ale go nie przestraszył. Tyle, że zaniechał swego pomysłu i zadowolął się jedynie comiesięcznymi indagacjami.

Tymczasem fortuna Rekina rosła w jego księdze buchalteryjnej. Co noc, gdy Katarzyna i Alicja szły spać, wyjmował swój gruby foliał i przerzucał strony w świetle wiszącej lampy. Jego wyblakłe oczy zwięzały się, tępa twarz nabierała wyrazu chytryści, gdy obmyślał nowe transakcje i obliczał dochody. Nieznacznie poruszał ustami: oto rozmawia przez telefon wydając swemu maklerowi polecenie zakupu pakietu akcji. Twarz mu poważniała i smutniał nieco, gdy musiał zabrać czyjąś dobrą farmę w zamian za niespłaconą hipotekę.

– Zdaje pan sobie sprawę – mówił – jak trudno mi się na to zdecydować, ale interes jest interesem.

Maczał pióro w kałamarzu i wprowadzał do księgi tę transakcję.

– Sałata – dumał. – Wszyscy inwestują w sałacie. Rynek będzie zarzucony sałatą. Zdaje się, że najlepiej zrobię, jeśli postawię na ziemniaki. To dobry grunt pod ziemniaki.

I odnotowywał obsadzenie trzystu akrów ziemniakami. Jego oczy błędziły po zapisanych liniijkach. Trzydzieści tysięcy dolarów leżało w banku przynosząc tylko zwykły bankowy procent. Po prostu skandal. I żaden dochód. Zmarszczka zarysowała się na jego czole. Zastanawiał się, jak stoją na giełdzie akcje Towarzystwa Budowlano-Pożyczkowego w San Jose. Płacili sześć procent. Tylko nie trzeba na ślepo, bez bliższego wglądu. Zamykając grubą księgę postanowił, że musi pogadać z Johnem Whiteside'em na ten temat. Zdarzało się, że takie towarzystwa nagle bankrutują, a ich założyciele rozplývają się we mgle.

Rekin na długo już przed przybyciem rodziny Munrów podejrzewał wszystkich tutejszych mężczyzn i młodzieńców o złe względem Alicji zamiary, ale gdy ujrzał Jima Munro, wszystkie jego obawy i podejrzewania skupiły się na tym trochę zmanierowanym chłopcu. Jim był smukły i przystojny, miał zmysłowe usta, a w oczach drażniącą zadziorność właściwą sztubakom. Mówiono o nim, że pije dżin; ubierał się z miejska, nigdy nie nosił roboczej bluzy i spodni. Miał lśniące pomadą włosy, a jego wyzywająca wesołość pobudzała dziewczyny z Pastwisk do chichotów, pisków zachwytu i zakłopotania. Jim przyglądał się tutejszym dziewczętom spokojnym, cynicznym wzrokiem i starał się udawać, że jest bardzo zepsuty. Wiedział, że dziewczynom szalenie imponują młodzieńcy „z przeszłością”. A Jim miał przeszłość. Kilka razy upił się na dansingu w Monterey, całował się przynajmniej ze stu dziewczynami i miał trzy grzeszne przygody w trzcinach nad rzeką Salinas. Robił, co mógł, aby jego twarz zdradzała zepsucie, ale bojąc się, że to nie wystarczy, puścił kilka skandalicznych historyjek na swój temat, które obieżyły Pastwiska ze schlebiającą mu szybkością.

Plotki te doszły do Rekina. Jeszcze bardziej wzmogły rosnącą w nim nienawiść do Jima Munro, nienawiść zrodzoną z niepokoju, jaki budziło jego zachowanie się wobec dziewcząt. „Jaką szansę – myślał – może mieć piękna i głupia Alicja u tego doświadczonego życiowo chłopca?”

Zanim jeszcze Alicja zdążyła ujrzeć Jima, już Rekin zabronił jej chociażby popatrzeć w jego stronę. Był tak wzburzony, gdy jej o tym mówił, że mimo woli wzbudził zainteresowanie w jałowym umyśle dziewczyny.

– Żebyś cię tylko nie przychwycił na rozmowie z Jimem Munro – powiedział. – Zakazuję ci odzywać się do niego.

– A kto to jest Jim Munro, papo?

– Wszystko jedno kto. Zakazuję ci odzywać się do niego. Słyszysz? Skórę ci złoję, gdybyś kiedy na niego spojrziała!

Rekin nigdy by nie uderzył Alicji, jak nigdy nie ośmieliłby się dotknąć pięknej drezdeńskiej wazy. Bał się nawet ją pogłaskać, żeby nie uszkodzić. Ale też i nie było potrzeby jej karać. Krnąbrność i upór rodzą się z jakiejś myśli, z jakiejś ambicji. Oba te doznania były Alicji całkiem obce.

Po pewnym czasie znowu ją spytał:

– Nie rozmawiałaś przypadkiem z Jimem Munro?

– Nie, papo.

– Pamiętaj! Żebyś cię tylko z nim nie przyłapał!

Po tych ciągłych przestrożach do zasklepionych komórek mózgowych Alicji zaczęła przenikać myśl, że bardzo by chciała zobaczyć Jima Munro. Nawet śnił jej się kiedyś, co dowodzi, jak bardzo głęboko to w niej utkwilo. Alicja rzadko miewała sny. Tym razem ukazał jej się mężczyzna, który wyglądał jak Indianin ze ściennego kalendarza i który miał na imię Jim.

Zajechał przed dom lśniącym samochodem i ofiarował jej soczystą brzoskwinie, którą ugryzła i sok spłynął jej po brodzie. W tym momencie matka obudziła ją, bo zaczęła chrapać. Katarzynę cieszyło, że córka chrapie. Była to jeszcze jedna wyrównująca skaza. Ale z drugiej strony nie było to zbyt wytworne.

Pewnego dnia Rekin dostał telegram: „Ciotka Nellie wczoraj umarła. Pogrzeb w sobotę”. Wsiadł więc do swojego Forda i podjechał do Johna Whiteside'a powiedzieć mu, że nie przyjdzie na zebranie Rady Szkolnej. Nim od niego wyszedł, zatrzymał się chwilę w drzwiach, jakby czymś zafrasowany, wreszcie powiedział:

– Chciałbym cię zapytać, co myślisz o tym Towarzystwie Budowlano-Pożyczkowym w San Jose?

John Whiteside uśmiechnął się.

– Niewiele o nim wiem – powiedział.

– Mam trzydzieści tysięcy leżących odłogiem w banku, co mi daje tylko trzy procent. Myślę, że mógłbym wyciągnąć więcej, gdybym się dobrze rozejrzył.

John Whiteside wyduł wargi i uderzając lekko palcem po ustach wypuścił powietrze.

– Zdaje się, że nie byłoby to zbyt wielkie ryzyko.

– O, ja nie robię ryzykownych interesów. Idę na pewniaka – przerwał mu Rekin. – Nie zaczynam, jak nie widzę pewnego dochodu. Ludzie za dużo ryzykują.

– Prawdę mówiąc to nie ma tu żadnego ryzyka. Mało które towarzystwo budowlane plajtuje. A płacą dobry procent.

– W każdym razie zastanowię się nad tym – zdecydował Rekin. – Jadę właśnie do Oakland na pogrzeb ciotki Nellie. Będę parę godzin w San Jose i dowiem się, jak oni stoją.

W sklepie u Allena wiele na ten temat mówiono tego wieczoru i znów spierano się zgadując, ile też może wynosić majątek Rekina.

– Jedno jest pewne – stwierdził Allen. – Rekin jest kuty na cztery nogi. Owszem, lubi się radzić, ale nic nie robi, póki sam wszystkiego dokładnie nie zbada.

– Tak, jest kuty na cztery nogi – zgodzili się wszyscy.

W sobotę rano Rekin pojechał do Oakland zostawiając po raz pierwszy w życiu żonę i córkę same. Wieczorem tego dnia zaszedł na farmę Tom Breman proponując, że zabierze Katarzynę i Alicję na tańce w szkole.

– Och, nie wiem, co by na to mój mąż powiedział – wzbraniała się trochę wystraszona Katarzyna.

– A mówił wam, że nie możecie iść?

– Nie. Ale nigdy jeszcze nie zostawaliśmy same. Chyba nie byłby z tego zadowolony.

– Chodźmy, mamie – wtrąciła Alicja.

Tak, jej córce łatwo się zdecydować. Jest za głupia na to, żeby się bać. Nie zdaje sobie sprawy z następstw. A Katarzyna nie mogła nawet myśleć o tych dręczących rozmowach, do których Rekin będzie powracał całymi tygodniami. Już niemal słyszała, jak mówi: „Nie rozumiem, dlaczego poszłyście tam, właśnie jak mnie nie było. Myślałam wyjeżdżając, że zajmiecie się farmą, a wy, pierwsza rzecz, poleciałyście na tańce!” A potem te ciągle pytania: „Kto z nią tańczył? Co do niej mówił? Dlaczego nie słyszałaś? Powinnaś słyszeć!” Nie wpadnie w złość, nie zrobi awantury. Tylko całymi tygodniami będzie o tym mówił i mówił – aż Katarzyna zniechęci samą myśl o tych tańcach. I kiedy przyjdzie na Alicję czas jej miesięcznej słabości, pytania będą brzęczeć w powietrzu jak komary, póki się nie upewni, że wszystko w porządku, że Alicja nie spodziewa się dziecka.

Katarzyna uważała, że nie ma co chodzić na tańce, jeśli potem trzeba przejść przez to

wszystko.

– Pójdźmy, mamó – błagała Alicja. – Jeszcze nigdy nie wychodziłyśmy same.

Współczucie zalało serce Katarzyny. Biedna dziewczyna nie miała własnego życia. Nigdy nie rozmawiała swobodnie, żartując z chłopcami, zawsze gdzieś w pobliżu był ojciec, który wszystko mógł słyszeć.

– Dobrze – zgodziła się. – Jeśli pan Breman zechce «poczekać, aż się przeberzemy, to możemy pójść. – Uważała się za bardzo odważną podejmując tę decyzję.

Zbyt wielka uroda jest dla wiejskiej dziewczyny równym utrapieniem jak brzydota. Gdy chłopcy z Pastwisk patrzyli na Alicję, w gardłach im wysychało, nogi i ręce zaczynały drżeć i stawały się nagle zbyt duże i niezdarne, karki im czerwieniały. Za nic w świecie żaden z nich nie odezwałby się do Alicji, a co dopiero poprosił do tańca. Za to hasali zapamiętali z brzydszymi dziewczętami, stawali się głośni i popisywali się jak dzieci, pokrywając tym swą nieśmiałość. Gdy Alicja odwracała głowę, rzucali na nią ukradkowe spojrzenia, a gdy patrzyła w ich stronę, udawali, że w ogóle jej nie widzą. Alicja, traktowana w ten sposób od najmłodszych lat, nie była w pełni świadoma swej urody. Uważała za rzecz naturalną, że podpira ścianę.

Gdy Katarzyna z Alicją wchodziły na salę, Jim Munro stał oparty z nonszalancką elegancją o drzwi. Cała jego postać wyrażała wspaniałą nudę. Spodnie miał niebywale szerokie, lakierki kwadratowe jak cegły. Czarna „jazzowa” muszka trzepotała u kołnierzyka śnieżnobiałej, jedwabnej koszuli, błyszczały wypomadowane włosy. Jim był „miastowym” chłopakiem. Spadł na swą zdobycz niby leniwy jastrząb; Alicja nie zdążyła nawet zdjąć płaszcza, gdy już był przy niej. Znużonym, wystudiowanym głosem zapytał:

– Zatańczysz, mała?

– Eeee? – rzekła Alicja.

– Chciałabyś ze mną zatańczyć?

– Zatańczyć? – zapytała i zwróciła na niego swoje przydymione, pełne obietnic oczy; i jej głupie pytanie stało się od razu interesujące i urocze, a jednocześnie lekko zahaczało o jeszcze coś innego, co poruszyło nawet cynicznego Jima.

„Powiedziała: zatańczyć? – myślał. – Czy znaczyło to: tylko zatańczyć?” I mimo całego treningu, jaki przeszedł w mieście, poczuł suchość w gardle, ręce i nogi zaczęły mu nerwowo drżeć, krew uderzyła do twarzy.

Alicja zwróciła się do matki, która rozmawiała z panią Breman na tematy kulinarne.

– Mamó – spytała – mogę zatańczyć?

– Możesz – powiedziała Katarzyna. – Zabaw się choć raz.

Jim stwierdził, że Alicja źle tańczy. Gdy muzyka przestała grać, powiedział:

– Gorąco tu, prawda? Chodźmy się trochę przejść. – I zaprowadził ją pod rosnące na szkolnym dziedzińcu wierzby.

Kobieta, która stała na ganku, weszła na salę i szepnęła coś Katarzynie. Katarzyna szybko wybiegła.

– Alicjo! – wołała rozpaczliwie. – Alicjo! Wracaj natychmiast! – Gdy para zbiegów wyłoniła się z cienia, Katarzyna zaczęła krzyczeć na Jima: – Wara od niej, rozumiesz? Z daleka od niej, bo zobaczysz!

Cała męskość Jima stopniała. Czuł się jak ukarane dziecko. Straszne uczucie, ale nie mógł go przemóc.

Katarzyna zaprowadziła córkę na salę.

– Czy nie mówił ojciec, że nie wolno ci zbliżać się do Jima Munro? Co, może ci nie mówił? – powtarzała przerażona.

– To był on? – szepnęła Alicja.

– Pewnie, że on. Coście tam robili we dwoje?

– Całowaliśmy się.

Katarzynie opadły ręce. – O Boże! – wykrzyknęła. – O Boże! I co teraz będzie?

– To coś złego, mamó?

Katarzyna zmarszczyła czoło.

– Nie... nie. To nic złego, naturalnie – powiedziała. – To... to jest dobre. Tylko nie mów ojcu. On... on by chyba zwariował. Siedź tu teraz koło mnie już do końca... i nie spotykaj się więcej z Jimem Munro. Rozumiesz? O Boże, żeby ojciec się tylko nie dowiedział!

W poniedziałek Rekin wysiadł z wieczornego pociągu w Salinas, złapał autobus do skrzyżowania i stamtąd, niosąc w ręku torbę, ruszył w czteromilową drogę do Pastwisk.

Noc była jasna i łagodna i aż ciężka od gwiazd. Cichy, tajemniczy poszum wzgórz witał wracającego do domu Rekina, wprowadzając go w stan rozmarzenia.

Pogrzeb ciotki Nellie bardzo się udał. Było dużo ładnych kwiatów. Płacz kobiet, uroczyste, przyciszone stapanie mężczyzn – wszystko to nasyciło go łagodnym, przyjemnym smutkiem. Poważne, kościelne obrzędy, których nikt nie rozumie ani którym się nikt nie przysłuchuje, działały jak narkotyk sączący swe tajemnicze, słodkie soki w mózg i ciało. Atmosfera kościoła zasklepiła się wokół niego, wyniósł stamtąd kojące odurzenie wonią kwiatów i kadzidła, niejasne uczucie, że obcował z wiecznością. Okazała prostota obrzędu pogrzebowego umocniła w nim to wrażenie.

Nie znał bliżej swojej ciotki Nellie, ale jej pogrzeb sprawił mu wiele, przyjemności. Krewni dowiedzieli się skądś o jego bogactwie i odnosili się do niego z należnym szacunkiem. Teraz, gdy wracał do domu, rozmyślał o tym wszystkim. Uczucie zadowolenia skracało mu drogę, przyspieszało czas, toteż szybko znalazł się w sklepie w Pastwiskach. Wstąpił tam, by zasięgnąć języka, pewny, że spotka kogoś, kto mu opowie, co się zdarzyło w dolinie w czasie jego nieobecności.

Stary Allen zawsze wiedział o wszystkim i umiał wzbudzić zainteresowanie najbliższą nawet nowiną udając, że wzbrania się o niej mówić. Najgłupsza plotka stawała się w jego ustach czymś niezmiernie ciekawym i ekscytującym.

Gdy wszedł Rekin, w sklepie nie było nikogo prócz właściciela, który przysunął się z krzesłem bliżej lady. Oczy zabłyśły mu ciekawością.

– Podobno wyjeżdżałeś? – zagadnął tonem nakłaniającym do zwierzeń.

– Byłem w Oakland – rzekł Rekin. – Pogrzeb ciotki. Przy okazji trochę interesów.

Allen milczał wyczekująco, że niby chce usłyszeć coś więcej.

– Coś ciekawego? – zapytał w końcu.

– Jeszcze nie wiem. Zaszedłem do pewnej spółki, chciałem dowiedzieć się, jak stoją.

– Ulokowałeś coś?

– Trochę.

Obaj mężczyźni utkwili wzrok w podłodze.

– Co nowego? – zapytał Rekin.

Natychmiast wyraz oporu pojawił się na twarzy Allena. Można było z niej wyczytać niechęć, naturalną awersję do plotek.

– W szkole była zabawa – wyznał w końcu.

– Wiem o tym.

Allen sprężył się w sobie. Walczył z myślami. Czy powiedzieć Rekinowi, dla jego własnego dobra, wszystko, co wie, czy zachować dla siebie? Rekin z zaciekawieniem przyglądał się wewnętrznym zmaganiom Allena. Nieraz już widywał go w podobnej sytuacji.

– No, mów – zachęcał.

– Powiadają, że może niedługo będziemy mieć wesele.

– U kogo?

– Podobno blisko.

– U kogo? – powtórzył Rekin.

Allen walczył jeszcze ze sobą, lecz przegrał.

– U ciebie.

– U mnie? – warknął Rekin.

– Alicja.

Rekin zeszywniał i wlepił wzrok w Allena. Po chwili podszedł i groźnie się nad nim pochylał.

– Co to znaczy? Mów, ty...

Allen poczuł, że przeholował. Skurczył się w krześle.

– Rekin! Opamiętaj się!

– Mów, co to znaczy! Powiedz mi wszystko! – Rekin chwycił go za ramię i potrząsnął gwałtownie.

– To było tylko na tańcach... na zabawie.

– Alicja była na tańcach?

– Uhm.

– Co tam robiła?

– Nie wiem. Znaczą nic takiego.

Rekin podniósł go szarpnięciem z krzesła i postawił na uginających się nogach.

– Mów! – powtórzył.

Stary Allen załamał się.

– Tyle, że poszła z Jimem Munro na dziedziniec.

Rekin chwycił go za oba ramiona. Trząśł przerażonym sklepikarzem jak workiem.

– Mów! Co tam robili?

– Nie wiem.

– Mów!

– Pani Burke... pani Burke powiada, że się całowali.

Rekin puścił worek i siadł. Ogarnęło go poczucie nagłej straty. Spoglądał groźnie na Allena, a w mózgu zakłębiła się myśl, że jego córka straciła cnotę. Nawet przez sekundę nie pomyślał, że mogło się skończyć na całowaniu. Bezradnym wzrokiem wodził po sklepie. Allen spostrzegł, że spojrzenie Rekina przesunęło się po szklanej szafce ze strzelbami.

– Opamiętaj się! – krzyknął. – To nie twoja broń!

Rekin nie widział stojących w szafce strzelb. Zauważył je dopiero teraz. Skoczył, szarpnął drzwi szafki i wyciągnął z niej ciężki sztucer. Zerwał kartkę z ceną, wrzucił w kieszeń paczkę naboju i nie spojrzawszy nawet na Allena wyszedł w ciemność. Zanim ucichły jego kroki, Allen był już przy telefonie.

Rekin szedł szybko w stronę farmy Munrów. Przez głowę przebiegały mu bezładne myśli. Kiedy trochę ochłonał, jednego był pewny: nie chce zabić Jima Munro. Nie przyszłoby mu to do głowy, gdyby nie Allen. Potem już działał bez namysłu. Co ma teraz począć? Co ma zrobić, gdy znajdzie się już przed domem Munrów? Pewnie będzie musiał strzelić do Jima. Być może, wypadki tak się potoczą, że przyjdzie mu popełnić morderstwo, by nie stracić poważania, jakim cieszy się w Pastwiskach.

Usłyszał nadjeżdżający pełnym gazem samochód, więc wszedł w zarośla. Niedługo już dojdzie do farmy Munrów. Nie czuje nienawiści do Jima Munro. W ogóle nie czuje nienawiści do nikogo, tylko trwa w nim ten drażący ból, odkąd wie, że Alicja straciła cnotę. Myślał o niej

jak o umarłej.

Miał przed sobą światła domu Munrów. I wiedział już, że nie zabije Jima. Nawet żeby się mieli z niego śmiać – nie zabije tego chłopca. Nie nosi w sobie zbrodni. „Popatrzę na bramę i pójde do domu” – pomyślał. Być może, stanie się pośmiewiskiem, ale nie, nie potrafi strzelić do człowieka.

Nagle jakaś postać wyłoniła się z cienia, ktoś krzyknął do niego: – Rzuć broń i ręce do góry!

Rekin położył strzelbę na ziemi, znużony i posłuszny. Poznał głos zastępcy szeryfa.

– Halo, Jack – powiedział.

Otoczyli go ludzie. Gdzieś w tyle zobaczył wystraszoną twarz Jima. Bert Munro też wyglądał przerażony.

– Czemuś chciał zastrzelić Jima? – spytał. – On nic nie zrobił. Stary Allen dał mi znać. Trzeba cię będzie przymknąć, żebyś nie narobił biedy.

– Nie można go wsadzić do więzienia – rzekł zastępca szeryfa. – Nie popełnił żadnego przestępstwa. Najwyżej możesz domagać się kaucji, żeby zapewnić sobie spokój.

– Cóż, będę musiał to zrobić – rzekł Bert. Głos mu drżał jeszcze.

– Żądaj w sądzie dużej kaucji – mówił dalej zastępca szeryfa. – On jest bogaty. Jazda! Zabierzmy go od razu do Salinas. Będiesz go mógł skarżyć.

Następnego ranka Rekin przywłókł się do domu i wyciągnął na łóżku. Oczy miał mętne i zmęczone, ale ich nie zamykał. Ramiona jego leżały bezwładnie wzdłuż ciała jak u umarłego. Mijały godziny, a on się nie poruszał.

Gdy wchodził do domu, Katarzyna zerknęła tylko z warzywnego ogrodu. Widząc jego przygarbione plecy i zwieszoną głowę odczuła gorzką satysfakcję. Ale gdy poszła do kuchni przygotować obiad, stąpała na palcach i powiedziała Alicji, żeby zachowywała się cicho.

O trzeciej zajrzała do sypialni przez uchylone drzwi.

– Alicja jest w porządku – powiedziała. – Powinieneś być mnie zapytać, zanim co.

Nie odpowiedział i nie poruszył się.

– Nie wierzysz mi? – przestraszyło ją, że mąż stracił swoją zwykłą energię. – Jak nie wierzysz, możemy wezwać lekarza. Zaraz po niego poślę, jeśli mi nie wierzysz.

Dalej leżał bez ruchu.

– Wierzę ci – powiedział.

Katarzyna stała w drzwiach i nagle naszło ją uczucie, jakiego nigdy jeszcze nie doznała. Uczyniła coś niezwykłego, nigdy w życiu by nie pomyślała, że może się na to zdobyć. Nagła, gorąca fala natchnienia poruszyła ją. Siadła na łóżku i ułożyła głowę Rekina na swych kolanach. To był instynkt. Ten sam instynkt poprowadził rękę, która zaczęła gładzić jego czoło. Ciało Rekina było jak pozbawione kości, obezwładnione klęską. Nie odrywał oczu od sufitu. Katarzyna wciąż przesuwała rękę po jego czole i ten ruch wyzwolił z niego urywane zdania:

– Nie mam żadnych pieniędzy – mówił matowym głosem. – Zabrali mnie i chcieli dziesięć tysięcy kaucji. Musiałem powiedzieć sędziemu, że nie mam. Wszyscy słyszeli. Teraz wiedzą. Nigdy nie miałem pieniędzy. Rozumiesz? Moja księga buchalteryjna to kłamstwo. Wszystko nieprawda. Sam wymyśliłem. Musiałem powiedzieć sędziemu. Przy wszystkich.

Katarzyna dalej miękko gładziła jego czoło. Nie opuszczało jej natchnienie, które ją tak nagle nawiedziło. Czowała, że rośnie, czowała, że ogarnąć może cały świat. To litość uczyniła ją tak wielką. Pierś jej nabrzmiała współczuciem dla ludzkiej niedoli.

– Nie chciałem nic nikomu zrobić – mówił Rekin. – Nie zastrzeliłbym Jima. Złapali mnie, nim zdążyłem odejść. Myśleli, że go chciałem zabić. I teraz każdy wie. Nie mam pieniędzy.

Leżał bezwładnie i patrzył w sufit.

Nagle drzemiące w Katarzynie siły wyzwoliły się i ogarnęły ją całą. W jednym mgnieniu pojęła, czym jest i czego może dokonać. W tej jednej chwili stała się radosna, nieskończenie szczęśliwa i bardzo piękna.

– Nigdy nie miałeś żadnej szansy w życiu – mówiła cicho. – Zawsześ tylko harował na tej farmie. Nie, nie miałeś szansy. Skąd wiesz, co możesz osiągnąć, skąd wiesz, czy nie potrafiłbyś naprawdę dojść do wielkiego majątku? Mnie się zdaje, że potrafisz. Jestem tego pewna.

Czuła, że ma prawo tak mówić. Narodziła się w niej świadomość posiadanej siły, wiedziała teraz, że całe jej życie było oczekiwaniem tej właśnie chwili. I w tym momencie stała się boginią, głosem Przeznaczenia. Nie dziwiła się, że ciało jej nabrzmiewało, stawało się coraz jędrniejsze. Dalej gładziła jego czoło.

– Wyjedziemy stąd – mówiła. – Sprzedamy to rancho i wyjedziemy stąd. I będziesz miał szansę, jakiej nigdy nie miałeś. Zobaczysz. Wiem, na co cię stać. Wierzę w ciebie.

Oczy Rekina straciły martwy wyraz. Ciało znalazło dość siły, by się poruszyć. Popatrzył na Katarzynę i ujrzał, jak piękna jest w tej chwili udzieliło mu się jej natchnienie. Mocniej przycisnął głowę do jej kolan.

Pochyliła twarz i spojrzała na niego. Poczucie siły ustępowało i ogarnął ją lęk. Rekin siadł na łóżku. Zapomniał o Katarzynie, ale oczy błyszczały mu energią, którą ona mu przekazała.

– Wyjedziemy stąd! – krzyknął. – Wyjedziemy, jak tylko sprzedam rancho. To będzie moja szansa. Pokażę wszystkim, na co mnie stać.

4

Właściwie nie wiadomo, skąd się wziął Tularecito, a sposób, w jaki odkryto, że w ogóle istnieje, stanowi jedną z tych mitycznych opowieści, którym ludzie z Pastwisk Niebieskich nie dają wiary, tak jak nie wierzą w duchy.

Franklin Gomez miał na swej farmie parobka, meksykańskiego Indianina, który nazywał się Pancho – po prostu Pancho. Raz na trzy miesiące Pancho zabierał swe oszczędności i jechał do Monterey, żeby się wyspowiadać, otrzymać rozgrzeszenie, odbyć pokutę i upić się – wszystko w wyżej wymienionej kolejności. Jeśli już po zamknięciu ostatniej knajpy udawało mu się uniknąć noclegu w areszcie, kładł się spać w swojej bryce i koń sam wioził go do domu. Przybywał na miejsce tuż przed świtem i miał akurat tyle czasu, żeby zjeść śniadanie i zabrać się do pracy. Zawsze zajeżdżał na rancho pogrążony w głębokim śnie; dlatego właśnie wywołało to nie lada sensację, gdy pewnego ranka wjechał w sam środek obejścia pełnym galopem, nie tylko całkowicie rozbudzony, ale i wrzeszcząc wniebogłosy.

Franklin Gomez ubrał się i wyszedł zobaczyć, co się stało jego parobkowi. Cała historia, gdy już udało mu się wysnuć wątek z płataniny beładnych słów, wyglądała, w relacji Pancho, następująco: wracał właśnie do domu – najzupełniej trzeźwy jak zwykle. Gdy mijał farmę Blake'a, usłyszał nagle płacz dziecka dobywający się z gąszczu rosnącej przy drodze szalwii. Wstrzymał konia, żeby zbadać, co to takiego, bo człowiek nieczęsto w podobnych okolicznościach natyka się na oseski. I rzeczywiście znalazł maleńkie dziecko leżące na ziemi. Mogło mieć ze trzy miesiące, sądząc po jego rozmiarach – tak przynajmniej Pancho myślał. Podniósł je i zapalił zapałkę, aby dokładniej obejrzeć, co to takiego znalazł, gdy nagle – O, zgrozo! – dziecko mrugnęło złośliwie okiem i powiedziało grubym głosem: – Te, spójrz! Mam ostre zęby!

Ale Pancho nie spojrział. Rzucił na ziemię to, co trzymał w rękach, i pognął galopem do domu smagając starego konia trzonkiem bata i wrzeszcząc jak opętany.

Franklin Gomez długo gładził swe bokobrody. Pancho nigdy nie wpadał w histerię, nawet pod wpływem alkoholu, taką miał naturę. Sam fakt, że przyjechał na rancho całkiem rozbudzony, był raczej niezwykłym na pewno coś się w tym kryło. W końcu Franklin Gomez kazał sobie osiodłać konia, pojechał i przywiózł dziecko. Nie odezwało się więcej ani słowem przez blisko trzy lata; i, jak wykazało bliższe badanie, nie miało w ogóle zębów. Ale żaden z tych faktów nie przekonał Pancha. Dalej utrzymywał, że dziecko powitało go wtedy w tak zdumiewający sposób.

Jak się okazało, był to chłopiec. Miał krótkie, pulchne ręce, długie, jakby zbyt luźno osadzone w stawach nogi, dużą głowę wetkniętą bez pośrednictwa szyi między nienaturalnie szerokie barki. Płaska twarz chłopca i jego nieforemne ciało sprawiły, że nazwano go od razu Tularecito, czyli Żabka. Tylko Franklin Gomez nazywał go często Kojotem, bo, jak mówił, jest w twarzy tego chłopca ten sam wyraz mądrości wieków, jaki mają kojoty.

– Ależ niech senior spojrzy na jego nogi, na jego ramiona i ręce – upierał się Pancho. – Toż to zupełna żaba!

I Tularecito został Tularecitem. Nigdy się nie dowiedziano, kto porzucił tę nieforemną istotkę. Franklin Gomez przyjął go do swego patriarchatu i Pancho się nim opiekował. Lecz nigdy nie pozbył się uczucia lęku przed tym chłopcem. Ani lata, ani regularnie odbywana w Monterey pokuta nie zdołały przesłonić wrażenia pozostałego po pierwszej wypowiedzi Tularecita.

Chłopiec rósł szybko, ale jego umysł przestał się rozwijać. Gdy miał sześć lat, mógł już

wykonywać pracę dorosłego człowieka. Miał długie palce, zręczniejsze i silniejsze niż u wielu mężczyzn. Przydawały się one na rancho. Najciaśniejszy węzeł nie mógł im się oprzeć. Były to zwinne palce, palce ogrodnika, nie krzywdzące roślin; nigdy nie zadrasnęły naskórka przeszczepionego pędu. Ale umiały też być bezlitosne, gdy Tularecito ukrecał łeb dużemu indorowi.

Tularecito posiadał jeszcze jedną umiejętność, raczej przyjemną. Posługując się paznokciem kciuka rzeźbił z piaskowca niezwykle wierne figurki zwierząt. Franklin Gomez miał ich w domu pełno – kojoty, koguciki, górskie lwy i wiewiórki. W pokoju jadalnym wisiał przyczepiony drutem do powały jastrząb z rozpiętymi skrzydłami wyrzeźbiony przez Tularecita. Pancho, który nigdy nie uważał chłopca za istotę całkowicie ludzką, przypisywał te talenty jakimś szatańskim sztuczkom, co według niego było zupełnie zrozumiałe ze względu na nadprzyrodzone pochodzenie Tularecita.

Ludzie w Pastwiskach, chociaż nie wierzyli, że Tularecito jest rodem z piekła, czuli się nieswojo w jego obecności. Miał wyschłe oczy starca, twarz troglodyty. Jego nienormalna siła oraz dziwne i tajemnicze zdolności odsunęły od Tularecita inne dzieci i niepokoiły dorosłych.

Jedno tylko wywoływało w nim gniew. Jeśli ktokolwiek, mężczyzna, kobieta czy dziecko, przypadkiem stłukł którąś z jego figurek lub obchodził się z nią nieuważnie – wpadał w wściekłość. Oczy mu płonęły i z morderczą zaciekłością uderzał na świętokradcę. Zdarzyło to się już trzykrotnie i za każdym razem Franklin Gomez wiązał mu nogi i ręce i zostawiał go tak, póki Tularecito nie odzyskał swej zwykłej dobroduszości.

Tularecito nie poszedł do szkoły, gdy skończył sześć lat. W ciągu następnych lat pięciu miejscowy kurator i inspektor szkolny zajmowali się sporadycznie sprawą Tularecita. Franklin Gomez zgadzał się, że chłopiec powinien chodzić do szkoły, parę razy posunął się nawet do tego, że go osobiście tam wyprawił, ale on nigdy do szkoły nie doszedł. Obawiał się, że może to nie być specjalnie przyjemne miejsce, więc po prostu znikał na dzień lub dwa. Dopiero gdy skończył jedenaście lat i miał barki sztangisty, a ręce i ramiona dusiciela – zespolone siły Prawa wzięły się za niego i umieszczono go w szkole.

Jak się Franklin Gomez z góry domyślał, Tularecito nie nauczył się tam niczego; natomiast objawił nowy talent. Okazało się, że umie rysować równie dobrze, jak rzeźbić. Kiedy nauczycielka, panna Martin, odkryła te jego zdolności, dała mu do ręki kredę i powiedziała, żeby wyrysował na tablicy całą procesję zwierząt. Po skończonych lekcjach Tularecito długo pracował i następnego ranka wspaniała defilada maszerowała po tablicy. Brały w niej udział wszystkie zwierzęta, jakie Tularecito kiedykolwiek widział, a nad nimi leciały wszystkie znane mu ptaki z okolicznych wzgórz. Grzechotnik pełził u stóp krowy, kojot z dumnie wzniesioną kitą wietrzył ślad idącej przed nim świni; szły koty i kozy, zółwie i wiewiórki – każde zwierzątko wyrysowane bardzo wiernie, jak żywe, ze wszystkimi szczegółami.

Panna Martin była oszołomiona talentem Tularecita. Pochwaliła go wobec całej klasy i powiedziała parę słów o każdym z narysowanych zwierząt. W głębi zaś duszy radowała się myślą o chwale, jaka na nią spłynie za odkrycie i popieranie młodego geniusza.

– Mogę wyrysować dużo więcej – poinformował ją Tularecito.

Panna Martin poklepała jego muskularne ramię.

– I będziesz rysował, mój chłopcze – powiedziała. – Będziesz rysował codziennie coś nowego. Posiadasz wielki dar dany ci przez Boga.

Nagle zdała sobie sprawę z powagi tych słów. Pochyliła się i zajrzała pytająco w twarde oczy Tularecita.

– Wielki dar dany ci przez Boga – powtórzyła wolno. Po czym rzuciła okiem na zegar i rzeczowo oświadczyła: – Czwarty oddział! Arytmetyka przy tablicy.

Czwarty oddział ruszył z ławek, chwycił za gąbki i zaczął ścierać zwierzęta, żeby zrobić miejsce dla cyfr. Ale ledwo zdążyli dotknąć tablicy, gdy już uderzył na nich Tularecito. To był wielki dzień. Panna Martin zasilana wszystkimi oddziałami szkoły nie mogła powstrzymać ataku. Tularecito miał siłę dorosłego mężczyzny, a rozwścieczony – siłę szaleńca.

Gwałtowna walka wstrząsnęła szkołą. Runęły ławki, polały się rzeki atramentu, kwiaty z bukietu nauczycielki fruwały po całej klasie, jej suknię porwano na strzępy. Starsi chłopcy, na których spadł ciężar bitwy, broczyli krwią. Tularecito bił, gdzie popadło, rękami, nogami i głową. Nie stosował żadnych prawideł walki i w końcu zwyciężył. Cała klasa z panną Martin osłaniającą tyły wycofała się w popłochu z budynku szkoły oddając go w całkowite władanie rozwścieczonego Tularecita.

A gdy już umilkły kroki uciekających, Tularecito zamknął drzwi, otarł krew z oczu i zabrał się do reperowania nadwreżonych zwierzętek.

Tegoż wieczoru panna Martin wybrała się do Franklina Gomeza żądając, żeby zbił Tularecita.

Franklin Gomez wzruszył ramionami.

– Naprawdę chce pani, żebym go zbił?

Nauczycielka miała podrapaną twarz; była rozgoryczona.

– Naturalnie! Gdyby pan tylko widział, co on wyprawiał! Trzeba mu dać nauczkę!

Franklin Gomez znowu wzruszył ramionami i przywołał Tularecita. Zdjął ze ściany rzemienny bicz i kilka razy zaciął nim ostro chłopca przez plecy. Tularecito uśmiechał się tylko łagodnie do panny Martin, której ręce poruszały się bezwiednie w rytm uderzeń. Gdy kara została wymierzona, Tularecito pomacał plecy długimi, wyczulonymi palcami i wciąż uśmiechnięty poszedł do siebie.

Panna Martin obserwowała to wszystko z przerażeniem.

– On jest jak zwierzę – powiedziała. – Zupełnie jakby bito psa.

Franklin Gomez spojrział na nią z przelotnym, pogardliwym uśmieszkiem.

– Pies chociażby się skulił, chociażby zaskomlał – powiedział. – Sama pani widziała.

Powiada pani, że on jest jak zwierzę. Ale dobre zwierzę. Kazała mu pani rysować obrazki, to rysował. A potem je pani zniszczyła. Tularecito tego nie lubi.

Panna Martin chciała mu przerwać, ale on mówił szybko dalej:

– Ta Żabka nie powinna w ogóle chodzić do szkoły. Może pracować. Umie robić cuda swymi rękami, ale nigdy niczego się w szkole nie nauczy. On nie jest wariatem, tylko Bóg, stwarzając go, nie całkiem go wykończył. Tłumaczyłem to wszystkemu inspektorowi szkolnemu, ale on powiedział, że Tularecito musi się uczyć, póki nie skończy osiemnastu lat. Znaczący, jeszcze siedem. Przez te siedem lat moja Żabka będzie zawsze w pierwszym oddziale, bo prawo powiada, że tak ma być. Nie mam na to wpływu.

– Powinno się go gdzieś zamknąć – wybuchnęła panna Martin. – To jest niebezpieczne stworzenie. Gdyby pan go widział dziś rano!

– Nie, proszę pani. Tularecita należy zostawić na wolności. On nie jest niebezpieczny. Nikt nie umie tak pracować w ogrodzie jak on ani doić krów tak szybko i sprawnie. To dobry chłopak. Potrafi okiełznać dzikiego konia nawet bez wsiadania na niego. Wie, jak przyuczyć psa, i nawet go nie uderzy. Ale prawo powiada, że musi siedzieć w szkole, w pierwszym oddziale, i powtarzać „k-o-t” przez siedem lat. Gdyby był rzeczywiście niebezpieczny, to przed chwilą mógł mnie z łatwością zabić, kiedym go bił.

Panna Martin poczuła, że są to sprawy, których nie jest w stanie pojąć, i jednocześnie – że właśnie dlatego nienawidzi Franklina Gomeza. Wykazała swoją małość, a on – wielkoduszność. Następnego ranka, gdy tylko weszła do klasy, stanął przed nią Tularecito. Całe ściany były

pokryte nowymi rysunkami zwierząt.

– Widzi pani? – mówił patrząc na nią rozpromienionym wzrokiem. – Dziś dużo więcej. A w kajecie też jeszcze są, bo nie było miejsca na ścianach.

Panna Martin nie kazała zetrzeć tych rysunków. Wszystkie ćwiczenia pisano odtąd na papierze. Ale w końcu roku szkolnego zrezygnowała z pracy tłumacząc się złym stanem zdrowia.

Panna Morgan, nowa nauczycielka, była bardzo młoda i bardzo ładna; za młoda i za ładna – zdaniem starszych ludzi z doliny. W ostatnim oddziale niektórzy chłopcy mieli już po siedemnaście lat. Poważnie się zastanawiano, czy tak młoda i ładna nauczycielka będzie w stanie utrzymać dyscyplinę.

Przyniosła ze sobą szczery entuzjazm dla swojego zawodu. Dzieci powitały ją ze zdumieniem; przywykły do starych panien, których twarze zdawały się odbijać chroniczną obolałość nóg. Panna Morgan lubiła uczyć i udało jej się przekształcić szkołę w miejsce, gdzie dzieją się rzeczy niezwykle i interesujące.

Tularecito od razu zrobił na niej duże wrażenie. Wiedziała o nim wszystko, czytała książki i słuchała wykładów poświęconych niedorozwiniętym dzieciom. Wiedziała też o słynnej bitwie w szkole, więc oddzieliła na tablicy specjalny pas od góry, żeby Tularecito mógł tam narysować swoją defiladę zwierząt. A kiedy już to zrobił, kupiła mu za własne pieniądze duży blok rysunkowy i miękki ołówek. Nie męczono go już ortografią. Dzień w dzień siedział schylony nad swym pulpitem i każdego popołudnia wręczał nauczycielce nowe, ślicznie narysowane zwierzątko. Panna Morgan wieszała jego rysunki w klasie nad tablicami.

Dzieci przyjmowały z zachwytem wszystkie jej innowacje. Lekcje stały się teraz ciekawe i ekscytujące, nawet najgorszych łobuzów przestała interesować możliwość podpalenia szkoły.

Panna Morgan wprowadziła również zwyczaj, który zdobył jej serca wszystkich uczniów: każdego popołudnia czytała im przez pół godziny. Poznali w ten sposób takie książki, jak „Ivanhoe” i „Talizman”; opowiadania rybackie Zane Greya i myśliwskie Curwooda; „Wilka Morskiego” i „Zew krwi” Londona. Nie jakieś tam bajeczki o czerwonej kurce, lisku i gąskach, ale podniecające, dorosłe opowieści.

Panna Morgan czytała dobrze. Nawet najbardziej krnąbrni chłopcy przestali chodzić na wagary w obawie, że mogliby przepuścić jakiś rozdział. Siedzieli w ławkach, pochyleni do przodu, i słuchali z zapartym tchem.

Ale Tularecito nie przestawał rysować; od czasu do czasu rzucał jedynie okiem na pannę Morgan starając się zrozumieć, czemu te odległe sprawy, te opowieści, dotyczące całkiem obcych ludzi, wzbudzają takie zainteresowanie. Dla niego były to jedynie sprawozdania z prawdziwych wydarzeń, inaczej dlaczegoż by to wszystko spisano. Te opowieści nie różniły się od normalnych lekcji. Więc ich nie słuchał.

Po jakimś czasie panna Morgan doszła do wniosku, że to, co czyta, jest stosowne tylko dla starszych dzieci. Sama bardzo lubiła bajki; przyjemnie było pomyśleć, że jest całe mnóstwo ludzi, którzy wierzą w istnienie dobrych wrózek, i to tak mocno, że czasem je nawet widzą. W obecności swoich bliskich i wykształconych przyjaciół nieraz wygłaszała paradoks, że „jedną z przyczyn braku kultury w Ameryce jest brutalne i przesadne odrzucenie wiary w istnienie czarów”. Zaczęła więc popołudniowe czytanie poświęcać bajkom.

I wtedy coś się w chłopcu odmieniło. W miarę jak panna Morgan czytała o elfach, wrózkach i czarodziejach, uwaga Tularecita zaczynała się na tym skupiać, a jego zwinny ołówek nieruchomiał w ręku. A gdy usłyszał o krasnoludkach, o ich życiu i zwyczajach, wypuścił ołówek z palców i pochylił się do przodu, żeby nie uronić ani słowa.

Zwykle, po zajęciach w szkole, panna Morgan szła do odległej o pół mili farmy, gdzie wynajmowała pokój. Lubiła ten samotny spacer; po drodze cięła osty zerwaną witką, rzucała

kamieniami w zarośla, z których podrywały się przepiórki. Nieraz myślała, że dobrze by było mieć przy sobie hasającego, mądrego psa, który by dzielił z nią te przyjemności i umiał ocenić tajemnice wygrzebanych w piasku jam i rozproszonych po zeschniętych liściach tropów, czar melancholijnego gwizdu ptaków i ożywczego zapachu ziemi.

Któregoś popołudnia panna Morgan wdrapała się wysoko na kredową skałę chcąc wyryć swe inicjały na jej białej powierzchni. Po drodze skaleczyła cierniem rękę i zamiast inicjałów napisała: „Byłam tu i zostawiłam cząstkę siebie” – i przycisnęła zakrwawioną dłoń do kredowej skały.

Wieczorem napisała w liście do jednej ze swych przyjaciółek: „Człowiek, poza zwykłą potrzebą, żeby żyć i rozmnażać się, pragnie też pozostawić po sobie jakiś ślad, jakiś dowód, że w ogóle istniał. Zostawia te ślady wyryte w drzewie lub w kamieniu, odcisnięte na życiu innych. To głębokie pragnienie nosi w sobie każdy: od chłopca, który wypisuje świństwa w publicznej ubikacji, po Budę, który wyrył swój obraz w umysłowości całej rasy. Życie jest tak nierealne. Wydaje mi się, że my sami poważnie wątpimy, czy istniejemy naprawdę. I wciąż staramy się tego dowieść”. Zachowała sobie kopię tego listu.

Tego popołudnia, gdy czytała w szkole bajki o krasnoludkach, wracała jak zwykle do domu. Nagle rosnąca przy drodze trawa rozchyliła się i wychynęła z niej nieforemna głowa Tularecita.

– Och! Przestraszyłeś mnie! – krzyknęła panna Morgan.

Tularecito podniósł się i uśmiechnął uderzając w zakłopotaniu kapeluszem o udo. Panna Morgan przelęknęła się. Droga była pusta – słyszała różne historie o pomyłkach. Z trudnością opanowała drżenie głosu.

– Czego... czego chcesz?

Tularecito uśmiechnął się szerzej i jeszcze mocniej uderzał kapeluszem o udo.

– Czy tak sobie tu leżałeś, czy może chcesz czegoś ode mnie?

Chłopiec usiłował coś powiedzieć, lecz wrócił do swego obronnego uśmiechu.

– Skoro nic ode mnie nie chcesz, to idę dalej.

Chciała jak najszybciej uciec. Tularecito znowu starał się coś powiedzieć.

– To o tych... małych ludziach.

– O jakich ludziach? – spytała.

– Tych z książki...

Panna Morgan roześmiała się z ulgą czując, jak jej włosy znowu układają się na głowie.

– Chodzi ci... chodzi ci o krasnoludki?

Tularecito skinął głową.

– Co o nich chcesz wiedzieć?

– Nigdy żadnego nie widziałem – rzekł Tularecito. Jego głos nie wznosił się i nie opadał, brzmiał na jednej nucie.

– Zdaje się, że mało kto ich widział.

– Ale ja wiem o nich.

W oczach panny Morgan błysnęło zaciekawienie.

– Kto ci o nich mówił?

– Nikt.

– Nigdy ich nie widziałeś i nikt ci o nich nie mówił. Więc skąd o nich wiesz?

Panna Morgan zaczęła się zastanawiać. „Czemu miałabym odebrać wiarę w krasnoludki temu dziwnemu, nienormalnemu dziecku? – myślała. – Czyż jego życie nie jest szczęśliwsze i bogatsze właśnie dlatego, że w nie wierzy? I co to komu szkodzi?”

– Szukałeś ich kiedy?

– Nie. Ale wiem o nich. A teraz będę ich szukał – stwierdził rzeczowo chłopiec.

Pannę Morgan zachwyciła ta sytuacja. Oto skała, w której można rzeźbić, oto czysta kartka papieru, na której można pisać. Wyrzeźbi piękną opowieść, znacznie prawdziwszą niż wszystko, co dotąd napisano.

– Gdzie ich będziesz szukał? – spytała.

– Będę kopał jamy – oświadczył chłopiec.

– Ale krasnoludki wychodzą z ziemi tylko w nocy. Musisz wypatrywać ich nocą, Tularecito. Powiesz mi, jak którego zobaczysz?

– Tak – zgodził się.

Kiedy odeszła, Tularecito patrzył za nią. Całą resztę drogi wyobrażała go sobie, jak czai się gdzieś wśród nocy. Spodobało jej się to. Być może, spotka gdzieś krasnoludki, być może, zamieszka u nich, będzie z nimi rozmawiał. Przy pomocy kilku sugestywnych słów udało jej się przemienić jego życie, uczynić je mniej rzeczywistym, wspanialszym, oddzielić je od otaczającej go przyziemności. Zazdrościła mu jego nocnych poszukiwań.

Wieczorem Tularecito włożył ciepłą kurtkę i wziął do ręki szpadel. Stary Pancho natknął się na niego, gdy chłopiec wychodził z szopy.

– A gdzież to idziesz, Żabko? – zapytał.

Tularecito, zniecierpliwiony, że go zatrzymują, szurał nogami.

– Idę sobie w ciemność – powiedział. – Nic takiego.

– A czemu to zabierasz ze sobą szpadel? Będziesz kopał złoto?

Twarz chłopca spoważniała.

– Chcę się dokopać do małych ludzi, którzy żyją w ziemi.

Pancha przejął strach.

– Lepiej nie chodź do nich, Żabko, lepiej nie chodź! Usłuchaj starego przyjaciela, twego ojca w Bogu! Tam w szafwie ja cię znalazłem i ocaliłem od diabłów, twoich krewniaków! I stałeś się małym braciszkiem Jezusa. Nie wracaj do nich! Usłuchaj starego człowieka, Żabko!

Tularecito twardo patrzył w ziemię i wciskał w swe dawne myśli te nowe informacje.

– Sameś powiedział, że to moi krewniacy! – wykrzyknął. – Ja nie jestem taki jak inni tutaj albo w szkole. Wiem. Oni żyją głęboko w chłodnej ziemi i ja do nich tęsknię. Kiedy widzę gdzie jaką norę, to zaraz chce mi się wleźć w nią i schować. Moi krewniacy są jak ja i wołają mnie do siebie. Muszę wracać do nich, do mojego domu. Tak, Pancho.

Pancho cofnął się o krok i wyciągnął przed siebie złożone palce.

– Więc wracaj do diabła, twego ojca! Jestem zbyt słaby, żeby walczyć ze złem! Świętego na to trzeba! Ale spójrz! To uchroni mnie przed tobą i twoim plemieniem! – I nakreślił w powietrzu znak krzyża, żeby go strzegł.

Tularecito uśmiechnął się smutnie, odwrócił i ciężko powlókł na wzgórze. Ale w głębi serca czuł poryw radości, że wraca do domu. Całe życie był obcym, samotnym przybłądą – teraz oto idzie do swoich.

Jak zawsze, słyszał głosy ziemi – odległy brzęk dzwonek pasących się krów, nawoływanie niespokojnej przepiórki, ciche skomlenie kojota, który nie wył tej nocy, nokturn miliona owadów. Lecz teraz nasłuchiwał jeszcze innych dźwięków – szmeru kroków dwunożnych istotek, przyciszonych głosów kryjących się gdzieś maleńkich ludzi.

Zatrzymał się raz i zawołał: – Ojcie, wróciłem do domu! – ale nie usłyszał odpowiedzi. – Gdzie jesteś, ojcie? – szeptał pochylony nad wiewiórczą norą. – To ja, Tularecito, wracam do domu.

Ale nikt się nie odezwał. Co gorsza, nic na to nie wskazywało, że krasnoludki są gdzieś blisko, wcale tego nie odczuwał. Wiedział tylko, że w pobliżu pasą się jeleni i łania, wiedział, że

ryś czai się w zaroślach na królika; wiedział to nie widząc. Ale krasnoludki nie dały mu żadnego znaku.

Cukierkowaty księżyc wyjrzał spoza wzgórz.

– Teraz zwierzęta wyjdą na łowy – szepnął Tularecito cieniutkim głosikiem półgłówek.
– I ludzie wyjdą także.

U krańca małej dolinki urywały się zarośla i zaczynał sad. Napęczniałe liśćmi drzewa, dobrze uprawiona ziemia. To był sad Berta Munro. Często, gdy ludzie już zeszli z pól i opustoszała na noc ziemię zaludniały duchy, Tularecito przychodził tu, kładł się na ziemi i łowił gwiazdy wyczulonymi palcami.

Gdy tylko znalazł się w sadzie, wiedział, że zbliża się do swoich. Jeszcze ich nie słyszał, ale czuł, że krasnoludki muszą tu być gdzieś blisko. Przywoływał je znowu i znowu – ale nie zjawiały się.

– Może nie lubią księżyc? – powiedział.

U stóp dużej brzoskwini wykopał dół, bardzo głęboki i szeroki na trzy stopy. Całą noc kopał, czasem przestawał, by nasłuchiwać, i znów kopał głębiej i głębiej zimną ziemię. Niczego jeszcze nie słyszał, ale był przekonany, że jest coraz bliżej krasnoludków. Dopiero gdy zaczęło się robić jasno, przestał kopać i położył się spać w krzakach.

Rankiem Bert Munro poszedł zajrzeć do zastawionych na kojoty sideł i znalazł dół pod drzewem.

– Co, do diabła? – powiedział. – Pewnie jakieś dzieciaki to zrobiły. Jeszcze kto wpadnie i potłucze się.

Poszedł do domu po łopatę i zakopał dół.

– Manny – zapytał swego młodszego syna – nie kopałeś czasem dołów w sadzie?

– Nnnniii – rzekł Manny.

– Może wiesz kto?

– Nnnniii.

– Ktoś tam wykopał głęboki dół. To niebezpieczne. Powiedz kolegom, żeby tego nie robili. Jeszcze kto wpadnie.

Kiedy znów zrobiło się ciemno, Tularecito wyszedł z krzaków, żeby zabrać się do kopania. Warknął dziko, gdy zobaczył, że jego dół jest zasypany, ale przyszło mu do głowy coś nowego, aż się roześmiał.

– To krasnoludki! – rzekł uszczęśliwiony. – Nie wiedziały, kto to zrobił, i zlekły się. Ukryję się i gdy znowu przyjdą zasypać dół, powiem im, kim jestem. I pokochają mnie, i zostaną z nimi.

Tularecito wykopał dół w tym samym miejscu, tym razem znacznie głębszy, bo ziemia była już spulchniona. Przed samym świtem ukrył się w krzakach i czuwał.

Tuż przed śniadaniem Bert Munro znowu wyszedł zajrzeć do swoich sideł i znowu znalazł wykopany dół.

– A to małe czorty! – wykrzyknął. – Zawzięły się, czy co? Na pewno Manny ma coś z tym wspólnego!

Chwilę przyglądał się uważnie wykopanej dziurze i zaczął nogą zgarniać do niej ziemię. Nagle usłyszał dziki skowyt i odwrócił się gwałtownie. Ale Tularecito już na niego szarżował. Długimi nogami odbił się, jak żaba, od ziemi, zamachnął szpadlem i skoczył.

Kiedy Jim Munro poszedł zawołać ojca na śniadanie, znalazł go leżącego na kopcu ziemi przy głębokim dole. Krew spływała mu z czoła i ust. Z dołu wylatywały w powietrze grudy ziemi.

Jim myślał, że ktoś zabił ojca, a teraz chce go zakopać. Pobiegł przerażony do domu,

chwycił za telefon i wezwał na pomoc sąsiadów.

Sześciu mężczyzn ostrożnie podpełzło do jamy. Tularecito walczył jak raniony lew, nie dawał się, póki nie dostał własnym szpadlem w głowę. Związali go i zawieźli do więzienia.

W Salinas poddano chłopca psychiatrycznemu badaniu. Gdy lekarze zadawali mu pytania, Tularecito uśmiechał się łagodnie i milczał. Franklin Gomez powiedział wszystko, co było mu wiadome, i prosił, żeby mu powierzyć kuratelę nad chłopcem.

– Nie możemy tego zrobić, panie Gomez – zdecydował sędzia. – Pan powiada, że to dobry chłopak. A wczoraj chciał zabić człowieka. Nie można go pozostawić na wolności. Prędzej czy później kogoś zabije.

I po krótkim namyśle postanowił zamknąć Tularecita w zakładzie dla umysłowo chorych, groźnych dla otoczenia.

5

Helena Van Deventer była wysoką kobietą o inteligentnej, ładnej twarzy i tragicznych oczach. Głęboka świadomość tragizmu towarzyszyła jej przez całe życie. Gdy miała piętnaście lat, po śmierci swego perskiego kotka zachowywała się jak młoda wdowa. Żałoba trwała sześć miesięcy: żadnych ostentacji, przyciszony głos, przytłumiony sposób bycia. Kiedy pod koniec tych poświęconych pamięci kotka sześciu miesięcy umarł jej ojciec, żałoba trwała nieprzerwanie dalej. Widać Helena łaknęła tragedii i życie szczerze ją pod tym względem obdarowało.

Mając dwadzieścia pięć lat poślubiła Huberta Van Deventera. Był to rumiany mężczyzna, zapalony myśliwy, który przez połowę każdego roku usilnie starał się zabić takie czy inne zwierzę. W trzy miesiące po ślubie sam się śmiertelnie postrzelił, kiedy podczas polowania zaplątał się w gąszczu jeżyn. Był człowiekiem nie pozbawionym galanterii. Gdy umierał leżąc pod drzewem, jeden z towarzyszy zapytał go, czy ma jakie polecenia dla swej żony.

– Tak – rzekł Hubert. – Powiedz jej, żeby mnie po śmierci umieściła w mojej bibliotece na ścianie, między łbem łosia a rogami kozicy! I zapewnij ją, że tego trofeum nie kupiłem od leśniczego!

Helena Van Deventer oddzieliła od reszty mieszkania obwieszony myśliwskimi trofeami pokój. Został on poświęcony pamięci męża. Zasłony na oknach były zawsze spuszczone. Jeśli ktoś, będąc w tym pokoju, chciał coś powiedzieć, – mówił szeptem. Helena nie płakała, to nie leżało w jej naturze, tylko oczy jej się powiększyły i często spoglądała w przestrzeń pustym wzrokiem podróżnego w innym wymiarze czasu. Hubert zostawił jej dom na Russian Hill w San Francisco i duży majątek.

Jej córka Hilda, która przyszła na świat w sześć miesięcy po śmierci Huberta, była ładnym, lalkowatym dzieckiem o wielkich oczach matki. Hilda nigdy nie była całkiem zdrowa; ze zdumiewającą szybkością nabawiała się kolejno wszystkich możliwych dziecięcych chorób. Jej temperament, który początkowo wyładowywał się w ustawicznym płaczu, okazał się później niszczycielski. Gdy już nauczyła się chodzić i samodzielnie poruszać, łamała i psuła każdy kruchy przedmiot, jaki jej się pod rękę nawinął w czasie ataku złości. Helena Van Deventer uspokajała ją wówczas pieszczotami, co wzmagało jeszcze gniew córki.

Kiedy Hilda miała sześć lat, doktor Phillips, lekarz domowy rodziny, powiedział pani Van Deventer coś, co sama już od dawna podejrzewała.

– Musi pani zdać sobie sprawą – oznajmił – że Hilda nie jest całkiem normalna. Radziłbym zaprowadzić ją do psychiatry.

Ciemne oczy matki rozszerzył ból.

– Jest pan tego pewny?

– Niemal zupełnie. Nie jestem jednak specjalistą. Należy ją zaprowadzić do kogoś, kto się na tym zna lepiej ode mnie.

Helena spojrzała w inną stronę.

– Ja też to podejrzewałam. Ale nie pójdę z nią do nikogo innego. Pan się zawsze nami opiekował, pana znam dobrze. Nie miałabym zaufania do kogoś obcego.

– Nie wolno tak mówić! – wybuchnął doktor Phillips. – Czy nie rozumie pani, że ją można wyleczyć?

Helena uniosła i opuściła ręce gestem bezsilności.

– Ona nigdy nie będzie zdrowa. Urodziła się w nieszczęśliwym okresie. Śmierć męża, to był zbyt wielki cios dla mnie. Nie miałam dość siły, by urodzić zdrowe, normalne dziecko.

– Więc co chce pani zrobić? I niech mi pani wybaczy, ale to są głupstwa.

– Co tu można zrobić? Mogę tylko czekać z nadzieją w sercu. Wiem, że potrafię to znieść, ale nie powierzę Hildy nikomu obcemu. Sama będę przy niej czuwała, sama się o nią będę troszczyć. Takie już jest to moje życie.

Uśmiechnęła się smutno i uniosła rękę.

– Wydaje mi się, że bierze pani na siebie zbyt ciężkie obowiązki – rzekł doktor.

– Bierzemy na siebie ciężary, które są nam dane. Ja je udźwignę. Na pewno udźwignę i dumna jestem z tego. Nie ma takiej tragedii, która mogłaby mnie złamać. Jednego bym tylko nie zniosła: gdyby Hildę ode mnie zabrano. Będę ją trzymać przy sobie. A pan będzie przychodził jak zawsze. Nikomu innemu nie pozwolę się do tego mieszać.

Doktor Phillips opuścił ją oburzony. Zawsze go wściekało niepotrzebne popisywanie się kobiet odpornością na zrządzenia losu.

„Gdybym był Losem, korciłoby mnie, żeby złamać ten jej bierny opór” – irytował się.

Hilda zaczęła mieć koszmarne sny i wizje. Straszliwe, nocne stwory szczerząc zęby i wysuwając pazury chciały ją zabić, gdy spała. Ohydne karty szczypały ją i szarpały zębami uszy. Zaledwie Helena Van Deventer dowiedziała się o tych zjawach, już nowe do nich przybywały.

– Przyszedł do mnie tygrys i ciągnął za kołdrę – płakała Hilda rano.

– Nie powinnaś się go bać.

– Ale on chciał przegryźć kołdrę, mamó.

– Będę przy tobie całą noc. Zobaczysz, że więcej nie przyjdzie.

Siadywała teraz przy łóżku swej małej córeczki aż do świtu. Oczy jej jaśniały gorączką zapamiętałego uporu.

Jedno martwiło Helenę bardziej niż zjawy. Hilda nauczyła się kłamać.

– Poszłam rano do ogrodu, mamó, i jakiś stary człowiek siedział na ulicy, i zaprosił mnie do swojego domu, i ja poszłam. I miał dużego słonia całego ze złota, i dał mi na nim jeździć.

Wzrok dziewczynki był daleki, gdy układała tę opowieść.

– Nie mów takich rzeczy, kochanie błagała ją matka. – Wiesz przecież, że nic podobnego się nie stało.

– Ależ tak, mamó. On mi dał zegarek. Pokażę ci go. O widzisz?

Wyciągnęła dłoń, w której trzymała zegarek wysadzany brylancikami. Ręce Heleny drżały z przerażenia, gdy go brała. Przez sekundę jej twarz straciła wyraz zaciętej cierpliwości i rozbłysła gniewem.

– Skąd to wzięłaś?

– Ten człowiek mi dał.

– Nie. Powiedz, gdzieś to znalazła. Znalazłaś, prawda?

– Ten człowiek mi dał.

Na kopercie zegarka był wryty monogram, nie znane Helenie inicjały. Bezsilnie patrzyła na ozdobne litery.

– Mama to zabierze – powiedziała szorstko.

Tej nocy wykradła się do ogrodu, znalazła motykę i zakopała zegarek głęboko w ziemi. Nazajutrz kazała postawić wokół ogrodu wysokie, żelazne sztachety. Hildzie nie wolno już było wychodzić samej.

Kiedy Hilda miała trzynaście lat, uciekła z domu. Helena wynajęła prywatnych detektywów. Po czterech dniach znalazł ją policjant w opuszczonym po budowie baraku w Los Angeles. Helena zabrała ją z posterunku policji.

– Dlaczego uciekłaś? – spytała.

– Bo chciałam grać na fortepianie.

– Przecież mamy w domu fortepian. Dlaczego na nim nie grasz?

– Bo chciałam grać na innym. Takim wysokim.

Helena wzięła Hildę na kolana i mocno przytuliła do siebie.

– A potem co robiłaś?

– Poszłam na ulicę i jakiś pan zaprosił mnie na przejażdżkę. Dał mi pięć dolarów. Potem spotkałam Cyganów i poszłam z nimi. Zrobili mnie swoją królową. Potem wyszłam za mąż za młodego Cygana i właśnie mieliśmy mieć dziecko, ale byłam zmęczona, więc usiadłam. A potem zabrał mnie policjant.

– Kochanie, moje biedne kochanie – mówiła Helena – przecież wiesz, że to nieprawda.

– Prawda, mamo.

Helena wezwała doktora Phillipsa.

Ona mówi, że wyszła za mąż za Cygana. Pan nie myśli, że... nie uważa pan chyba... że ona mogłaby mieć?... Tego bym nie zniosła.

Doktor zbadał dziewczynką bardzo dokładnie. Potem powiedział do Heleny niemal ze złością:

– Mówiłem, że trzeba ją oddać pod opiekę specjalisty.

Podszedł do Hildy i zapytał:

– Czy ta straszna starucha znów cię odwiedzała w sypialni?

Dziewczynce zadrżały ręce.

– Przyszła do mnie wczoraj w nocy z małpą, taką dużą małpą, która chciała mnie ugryźć.

– Pamiętaj, ona nic ci nie robi, bo jesteś pod moją opieką. Ona mnie się boi. Jak znowu przyjdzie, powiedz jej, że ja ciebie pilnuję. Zobaczysz, jak szybko ucieknie.

Dziewczynka uśmiechnęła się smutno.

– Czy małpa też ucieknie?

– Naturalnie. Aha, dobrze, żem sobie przypomniał. Mam tu cukierek dla twojej córeczki.

– Wyjął z kieszeni miętówkę. – Daj to twojej Babetce, tak ma na imię, prawda?

Hilda chwyciła cukierek i wybiegła z pokoju.

– Mogę tylko tyle powiedzieć – rzekł doktor do Heleny – że moje doświadczenie i wiedza nie są w tym wypadku wystarczające. Lecz jedno wiem na pewno: stan Hildy ulegnie znacznemu pogorszeniu. Zbliży się okres dojrzewania. Przemiany fizyczne, którym zawsze towarzyszy wzmożone napięcie emocjonalne, nieuchronnie pogłębiają wszelkie zaburzenia psychiczne. Trudno przewidzieć, jak to się rozwinie u Hildy. Może przejawiać tendencje mordercze, może uciec z pierwszym spotkanym mężczyzną. Jeśli nie odda się jej pod opiekę specjalisty, jeśli nie będzie bardzo starannie pilnowana, może zdarzyć się coś, czego będzie pani całe życie żałowała. Jej ostatnia eskapada jest ostrzeżeniem. Po prostu nie wolno pani tak postępować jak dotychczas. Sama pani siebie krzywdzi.

Helena siedziała przed nim nieruchomo. Jej twarz wyrażała zacięty opór, który go tak denerwował.

– Więc co pan proponuje? – zapytała matowym głosem.

– Szpital dla umysłowo chorych – powiedział i był zadowolony, że słowa te zabrzmiały brutalnie.

Jej twarz znieruchomiła. Opór się wzmógł.

– Nie zrobię tego! – zawołała. – Ona jest moja. Ja za nią odpowiadam. Zostanę przy niej, panie doktorze. Będę stale ją miała na oku. Ale nie oddam jej.

– Dobrze pani wie, czym to się może skończyć – rzekł cierpko. I nagle opanowało go zniechęcenie. Z tą kobietą nie można było rozsądnie dyskutować. – Wie pani przecież, że zawsze byłem jej przyjacielem. Czemu bierze pani na swe barki ten ogromny ciężar ustawicznych trosk i

niebezpieczeństwa?

– Zniosę wszystko, byle została przy mnie.

– Lubi pani nosić włosiennicę – mówił ze złością. – Ból sprawia pani przyjemność. Nie daruje pani sobie nawet strzępka tragedii. – Ogarnęła go wściekłość. – Niech pani posłucha. Każdy mężczyzna przeżywa choć raz taki moment, kiedy chciałby uderzyć kobietę. Jestem chyba człowiekiem łagodnym, ale w tej chwili gotów byłbym panią bić.

Spojrzał w jej ciemne oczy i pojął, że dał jej tylko okazję do przeżywania nowej tragedii, stworzył jej nowe możliwości cierpienia.

– Idę już – powiedział. – Proszę mnie więcej nie wzywać. Ja... zaczynam chyba panią nienawidzić.

Ludzie z Pastwisk niechętnie, lecz z zaciekawieniem przyjęli wiadomość, że pewna bogata kobieta zamierza osiedlić się w dolinie. Obserwowali ciężarówki zwożące drewniane belki i budulec nad Christmas Canyon i podśmiewali się lekceważąco na myśl, ile też musi kosztować ściągnięcie takiej ilości drzewa pod budowę domu. Bert Munro poszedł nawet nad Christmas Canyon i pół dnia przyglądał się cieślom stawiającym ściany.

– To będzie coś fajnego – doniósł zebranych w sklepiku. – Każda belka wysokiej klasy, i wiecie co? Już tam są ogrodnicy. Zwożą całe kwitnące drzewa i wsadzają w ziemię. Ta pani Van Deventer musi mieć ładne pieniądze.

– Bogaci sobie nie żałują – zgodził się Pat Humbert. – Stać ich na to.

– I słuchajcie – mówił dalej Bert. – Od razu znać, że to kobieta. Zgadnijcie, co pakuje w okna? Kraty! Ale nie żelazne, tylko grube, dębowe! Pewnie ta dama boi się kojotów!

– Ciekawym, czy przywiezie ze sobą dużo służby – rzekł Allen z nadzieją w głosie. – Ale pewnie będzie wszystko kupowała w mieście. Tacy zawsze wolą miejskie sklepy.

Kiedy dom i ogród były już gotowe, Helena Van Deventer, Hilda, chiński kucharz i młody służący Filipińczyk zajechali nad Christmas Canyon. Stał już tam piękny dom z okrągłaków. Cieśle zaprawili belki kwasem, żeby wyglądały jak stare, ogrodnicy założyli ogród, który robił wrażenie, jakby był tam od lat. Na trawnikach rosły kasztany i dęby, a pod nimi cynerarie – fioletowe, białe i błękitne. Ścieżki obramowano przepięknie niebieskimi lobeliami.

Zaraz po przyjeździe kucharz i służący zabrali się do roboty, a Helena wzięła Hildę pod ramię i poszła z nią przejść się po ogrodzie.

– Czy tu nie ślicznie? – mówiła. Wyraz uporu na jej twarzy nieco złagodniał. – Zobaczysz, że będzie nam tu dobrze, kochanie.

Hilda wyrwała z ziemi cynerarię i smagała nią pień dębu.

– Lepiej było w domu – powiedziała.

– Ale dlaczego, kochanie? Nie mieliśmy tam takich pięknych kwiatów ani tak dużych drzew. Możemy co dzień spacerować po wzgórzach.

– Lepiej było w domu.

– Czemu, kochanie?

– Miałam tam mnóstwo przyjaciół i mogłam patrzeć przez sztachety na przechodzących ludzi.

– Na pewno będzie ci tutaj dobrze. Musisz się tylko przyzwyczaić.

– Nie. Nigdy nie będzie mi tu dobrze, nigdy!

Zaczęła płakać i płacz jej przeszedł w ryk gniewu.

Wyrwała z ziemi patyk i uderzyła nim matkę w pierś. Nagle tuż za nią wyrósł bezgłośnie służący Filipińczyk, skrępował jej ręce i zaniósł miotającą się bezsilnie do domu.

W pokoju, który dla niej przygotowano, Hilda zaczęła metodycznie łamać meble.

Rozpruła poduszki i rozsypała pierze po pokoju. Wytłukła szyby w oknie, biła pięściami w dębowe kraty wyjąc z wściekłości. Helena siedziała u siebie z zaciśniętymi wargami. Podniosła się, jakby chciała pójść do córki, i znowu opadła na fotel. Przez ułamek sekundy wydawało się, że jej wytrzymałość za chwilę się załamie, ale natychmiast wszystko wróciło do normy. Wrzaski dochodzące z pokoju Hildy jakby nie wywierały na niej żadnego wrażenia. Służący Filipińczyk wsunął się przez drzwi.

– Zamknąć okiennice, proszę pani?

– Nie, Joe. Jesteśmy tu z dala od ludzi. Nikt nie usłyszy.

Bert Munro widział auto wiozące nowych przybyszów do domu nad kanionem.

– Ciężko musi być samotnej kobiecie zaczynać wszystko od nowa – powiedział do żony.

– Może pójde zobaczyć, czy im czego nie trzeba?

– Jesteś po prostu ciekawy i tyle – rzekła kpiąco żona.

– Dobrze, to nie idę.

– Zartowałam tylko, Bert – powiedziała żona. – Myślę, że to byłoby ładnie i po sąsiedzku. Trochę później wstąpią po panią Whiteside i we dwie tam pójdziemy. Wypada ich odwiedzić. A teraz idź: i zobacz, jak sobie dają radę.

Bert szedł szybko nad wdzięcznym strumyczkiem, śpiewającym na dnie kanionu.

„To nie ziemia pod uprawę – mówił do siebie – ale przyjemnie tu mieszkać. Sam mógłbym żyć sobie spokojnie w takim miejscu i nic nie robić, gdyby tylko zawieszenie broni nie przyszło tak nagle”.

Zrobiło mu się wstyd, jak zwykle, gdy przyłapywał się na żalu, że wojna nie potrwała nieco dłużej. Wrzaski Hildy doszły go, gdy był o jakieś ćwierć mili od nowego domu.

– Co u diabła? – mruknął. – Jakby kogoś zarzynali.

Przyspieszył kroku, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Zakratowane okno Hildy wychodziło na ścieżkę wiodącą do wejścia. Bert ujrzał przyciśniętą do krat dziewczynkę i jej oszalałe z wściekłości i strachu oczy.

– Hej! – zawołał. – Co się dzieje? Czemu cię zamknęli?

Oczy Hildy zwięzły się.

– Głodzą mnie – powiedziała. – Chcą, żebym umarła.

– Co ty gadasz? – rzekł Bert. – Kto by tam pragnął twojej śmierci?

– Chcą moich pieniędzy – zwierzyła się. – Nie mogą ich mieć, dopóki nie umrę.

– Przecież jesteś małą dziewczynką!

– Nie, wcale nie – mówiła ponuro Hilda. – Jestem zupełnie dorosła. Tylko wyglądam jak mała dziewczynka, bo mnie głodzą i biją.

Twarz Berta spochmurniała.

– Dobrze. Dowiem się, jak to z tym jest – powiedział.

– Och! Tylko nic im nie mów. Pomóż mi wydostać się stąd. Wezmę pieniądze i wyjdę za ciebie za mąż.

Bert zaczął podejrzewać, w czym rzecz.

– Pomogę ci – rzekł łagodnie. – Czekał tu chwilę. Zaraz wrócę i pomogę ci.

Obszedł dom i zastukał do drzwi. Uchyliły się od razu; spojrzały na niego zimne oczy Filipińczyka.

– Czy mogę mówić z panią? – zapytał Bert.

– Nie – rzekł Filipińczyk i zamknął drzwi.

Bert poczerwieniał, upokorzony odprawą. Znowu gniewnie zastukał. Znowu drzwi uchyliły się na dwa cale i wyjrzały zza nich czarne oczy.

– Powiadam, że chcę widzieć panią. Chodzi o tę dziewczynkę...
– Przepraszam. Pani bardzo chora – rzekł służący. Znów zamknął drzwi. Tym razem Bert usłyszał zasuwanie rygla. Szedł z powrotem ścieżką.

– Powiem żonie, żeby tu nie chodziła – mruzczał. – Dziewczyna-wariatka i wredny służący. Niech ich szlag trafi!

Helena zawołała ze swej sypialni:

– Co się stało, Joe?

Filipińczyk ukazał się w drzwiach.

– Jakiś człowiek przyszedł. Mówił, że chce panią widzieć. Powiedziałem, że pani chora.

– Dobrze, Joe. Wiesz, kto to jest? Nie mówił, po co chce się ze mną zobaczyć?

– Nie wiem, kto to jest. Mówił, że chodzi o pannę Hildę.

Helena zerwała się i podeszła do niego. Na jej twarzy malował się gniew.

– Czego chciał? Kto to był?

– Nie wiem, proszę pani.

– I odprawiłeś go! Za dużo sobie pozwalasz! Wynoś się!

Opadła na fotel i zakryła oczy dłonią.

– Tak, proszę pani. – Joe odwracał się powoli do drzwi.

– Joe! Chodź tu!

Nim odsłoniła twarz, był już przy niej.

– Przepraszam, Joe. Nie wiedziałam, co mówię. Dobrześ zrobił. Zostaniesz ze mną, prawda?

– Tak, proszę pani.

Podniosła się i podeszła niespokojnie do okna.

– Nie wiem, co się ze mną dziś dzieje. Czy panna Hilda czuje się lepiej?

– Tak. Panienka już się uspokoiła.

– Dobrze. Rozpal kominek w bawialni. Potem przyprowadź ją.

Urządzając bawialnię, Helena chciała, żeby stała się ona czymś w rodzaju pomnika zmarłego męża. Umeblowała ją niby wewnątrz chatki myśliwskiej. Był to obszerny pokój wyłożony i obelkowany kalifornijską sosną. Na ścianach, w równych odstępach, sterczały łby różnych zwierząt i wystawiały swe wietrzące pyski. Prawie całą ścianę zajmował duży, kamienny kominek, nad którym wisiał postrzępiony sztandar francuski, który Hubert skądś wytrzasnął. W zamkniętej, oszklonej szafce ustawione były rzędem jego strzelby.

Helenie zdawało się, że póki taki pokój będzie istniał, niezupełnie utraci swego męża.

W swym saloniku na Russian Hill w San Francisco nauczyła się przywoływać sen, który sprawiał jej przyjemność. Chciała, żeby wrócił do niej tu, w tym nowym domu. Przywoływanie tego snu stało się jakby rytuałem. Siadała ze złożonymi rękami przed płonącym na kominku ogniem i spoglądając kolejno na rozwieszzone na ścianach myśliwskie trofea powtarzała:

– Hubert trzymał to w swoich rękach. Hubert trzymał to w swoich rękach.

I sen nadchodził. Niemal wyraźnie widziała przed sobą męża. Wywoływała w myślach kształt jego rąk, wąskie biodra, długie, proste nogi. Odtwarzała w pamięci jego głos, który opadał zawsze przy pewnych zwrotach, niemal widziała, jak się zapalał i czerwieniał, gdy mówił o czymś z przejęciem. Przypominało jej się, jak zwykł prowadzić gości od jednego trofeum do drugiego. Zatrzymywał się przy każdym, kołysał na obcasach. Zakładał ręce na plecy i opowiadał szczegółowo, w jaki sposób upolował to właśnie zwierzę.

– Księżyc nie był jak trzeba i nigdzie żadnego tropu. Fred, nasz przewodnik, uważał, że nie ma najmniejszej szansy. A tego właśnie ranka skończył się nam bekon. Ale czułem, że musimy iść dalej i próbować.

Helena prawie słyszała, jak opowiada swe głupie, pozbawione pointy historyjki, które nieuchronnie tak się kończyły:

– Cóż, odległość była za duża, cholerny wiatr od lewej, ale zmierzyłem i tylko pomyślałem sobie: „Nic z tego” – i niech mnie szlag trafi, – jeśli nie fiknął. Nie ma co, miałem szczęście.

Oczywiście Hubert wcale nie chciał, by jego słuchacze myśleli, że to sprawa szczęścia. To był tylko czarujący gest prawdziwego sportsmena. Nieraz Helenę zastanawiało, czemu to prawdziwemu sportsmenowi nie wypada nigdy przyznać, że czegoś naprawdę dokonał.

Tak rozwijał się sen. Budowała obraz Huberta, aż wypełniał cały pokój wybujałą żywotnością wielkiego myśliwego. A gdy sen był już cały i kompletny – niszczyła go. Dzwonek u drzwi zdawał się brzmieć szczególnie ponuro.. Helena widziała twarze mężczyzn, zakłopotane i smutne, gdy mówili jej o wypadku. Sen zawsze kończył się w momencie, gdy wnosili ciało po schodach. Fala ostrego smutku napływała jej do serca. Zapadała głębiej w fotelu.

W taki to sposób Hubert ciągle żył, nie dopuszczała, by obraz męża zatarł się w jej pamięci.

– Byłam jego żoną tylko trzy miesiące – mówiła do siebie. – Tylko trzy miesiące.

Zrezygnowana, skazała się sama na beznadziejny żal. Świadomie pobudzała go w sobie uważając, że Hubertowi należny jest jej smutek, że w ten sposób czci jego pamięć. Nie wolno poddawać się rozpacz, ale nie wolno też od niej uciekać.

Helena niecierpliwie czekała na pierwszy wieczór w nowym domu. Zapłoną w kominku szczapy drzewa, błysną szklane oczy zwierząt i wtedy nadejdzie stosowna chwila, by wprowadzić do nowego domu jej sen.

Wszedł Joe.

– Już rozpałiłem ogień. Mam iść po pannę Hildę?

Helena spojrzała w okno. Zmierzch schodził ze wzgórz w dolinę. Nietoperze już krążyły nerwowo. Przepiórki nawoływały się spiesząc do strumyków, daleko na zboczach kanionu porzykiwały krowy wracające do obór. Niepostrzeżenie coś się zmieniało w Helenie. Wypełniło ją nowe uczucie spokoju; czuła się chroniona, zbrojna przeciw tragediom, które od tak dawna ją osaczały. Rozprostowała ramiona, westchnęła z ulgą. Joe wciąż czekał w drzwiach.

– Co? – odezwała się. – Panna Hilda? Nie, nie przyprowadzaj jej jeszcze. Aż kolacja będzie gotowa. Jeśli nie będzie chciała przyjść na kolację, zajrzę do niej później.

Nie chciała teraz Hildy. To nowe, rozkoszne uczucie ukojenia przysłoby w momencie jej przyjścia. Pragnęła być sama w tajemniczym połysku zapadającego zmierzchu, słuchać ptaków zwołujących się przed nocą do wodopaju.

Zarzuciła na ramiona jedwabny szal i wyszła do ogrodu. Objął ją sphywający ze wzgórz spokój. Spozregła małego, szarego królika z białym ogonkiem, który siedział wśród kwiatów klombu, i aż zadrżała z uciechy. Królik odwrócił łepkę, popatrzył na nią i dalej skubał świeżo posadzone kwiaty. Ogarnęła ją beztroska radość. Na pewno zaraz zdarzy się coś uroczego, coś szalenie miłego. Zaczęła mówić wesoło do królika:

– Zajadaj sobie te kwiatki, zajadaj. Jutro posadzę kapustę specjalnie dla ciebie. Lubisz kapustę, prawda, Piotrusiu? Czy wiesz, że masz na imię Piotruś? Zabawne, ale wszystkie króliki tak się nazywają. Wiesz, już od dawna niczego się w życiu nie spodziewam. To śmieszne, prawda? A może smutne. Ale teraz czegoś się spodziewam, czegoś oczekuję. Po prostu pękam z ciekawości, co to może być. Dziwne, Piotrusiu, prawda? – Odeszła dalej, zatrzymała się i kiwnęła na niego palcem. – Tu są cynerarie, na pewno będą ci bardziej smakowały.

Śpiew wody przywołał ją na brzeg strumyka. Stado przepiórek smyrnęło w krzewy z urywanym krzykiem strachu. Helenie zrobiło się przykro, że je spłoszyła.

– Wracajcie! – wołała. – Królik mnie się nie bał! Nie będę do was strzelała. Nawet nie mogłabym, bo nie umiem.

Nagle przypomniało jej się, że Hubert uczył ją strzelać. Był wtedy religijnie uroczysty, pokazywał, jak należy się składać, jak celować nie przymrużając oka.

– Teraz podrzucę w górę puszkę – mówił. – Nie wolno strzelać do nieruchomego celu. Prawdziwy sportsmen nie strzela do siedzącego ptaka.

Strzelała na oślep do wyrzuconej w powietrze puszkę, aż jej zeszytniało ramię, i kiedy wracali do domu, Hubert głaszcząc ją powiedział: – Dużo czasu upłynie, nim będziesz umiała trafić do przepiórki. Ale niedługo już będziesz mogła upolować królika.

Przypomniały jej się całe pęki przepiórek powiązanych skórzaną linką, które Hubert przynosił do domu.

– Kiedy zaczną spadać z linki, znaczy, że już dostatecznie skruszały i można je upiec – mówił uroczyście.

I nagle Helena uzmysłowiła sobie, że nie chce więcej myśleć o Hubercie. Ta retrospekcja omal nie zniszczyła świadomości ogarniającego ją ukojenia.

Było już prawie ciemno. Wieczór słodko pachniał szalwią. Usłyszała dźwięk gongu. Kolacja była gotowa.

Helena otuliła się mocniej szalem, zadrżała lekko i weszła do domu.

Hilda była już w jadalni. Z jej twarzy znikły ślady niedawnej wściekłości; wyglądała szczęśliwa i zadowolona z siebie.

– Czujesz się lepiej, kochanie? Prawda? – zawołała Helena.

– Och, tak!

Helena podeszła do niej i pocałowała w czoło. Przez chwilę obejmowała ją kurczowo.

– Zobaczysz, jak tu jest pięknie. Pokochasz to miejsce. Jestem pewna.

Hilda nic nie odpowiedziała, lecz jej oczy stały się chytre.

– Spodoba ci się tu, prawda, kochanie? – napierała Helena siadając przy stole.

Hilda była nieprzenikniona.

– Może mi się spodoba. A może nie – powiedziała.

– Dlaczego tak mówisz?

– Może nie zostanę tu długo.

– Nie zostaniesz tu długo? – Helena szybko spojrzała na nią poprzez stół. Widocznie Hilda starała się ukryć coś przed nią, ale się zdradziła.

– Może ucieknę i wyjdę za mąż.

Helena poprawiła się w krześle i uśmiechnęła do niej.

– A, rozumiem. Pewnie, że mogłabyś. Ale lepiej poczekaj jeszcze kilka lat. Kto to jest tym razem? Znowu ten książę?

– Nie, nie książę. Biedak, ale go kocham. Już wszystko ułożyliśmy. Przyjdzie po mnie.

Helenie coś się przypomniało.

– To ten człowiek, co tu był po południu?

Hilda zerwała się od stołu.

– Nic więcej nie powiem! – krzyknęła. – Nie wolno ci się pytać! Poczekaj, już ja ci pokażę! Nie będę gnić w tym starym domu!

Wybiegła z pokoju trzaskając drzwiami. Helena zadzwoniła na służącego.

– Joe, co mówił ten człowiek, który tu dziś był?

– Mówił, że chce panią widzieć, że chodzi o panienkę.

– Jaki on był? Stary czy młody?

– Nie młody, nie stary. Z pięćdziesiąt lat.

Helena westchnęła. To jeszcze jedna z tych historii, które Hilda ciągle wymyślała i opowiadała. Były dla niej tak prawdziwe! Biedne dziecko. Helena jadła powoli, potem zasiadła sama przed kominkiem w wielkim pokoju. Od czasu do czasu poprawiała płonące drzewo. Zgasła wszystkie lampy. Ogień zapalił oczy w wypchanych łbach na ścianie. Stare przyzwyczajenie wróciło z dawną siłą. Zaczęła znów sobie wyobrazać ręce Huberta, jego wąskie biodra, długie, proste nogi. Nagle odkryła coś; gdy przestawała myśleć o jego rękach – zniknęły. Nie umiała już odtworzyć całej postaci męża. Odszedł od niej. Po raz pierwszy od wielu lat Helena wybuchnęła płaczem. Powróciło uczucie ukojenia, wypełniło ją oczekiwanie. Otarła oczy, zaczęła wolno chodzić po pokoju patrząc z uśmiechem na wypchane łby nieuważnym wzrokiem obcego przybysza, który jeszcze nie wie, jak każde z tych zwierząt zostało zabite. Pokój stał się inny, wypełniony czymś innym. Niewprawnie odciągnęła nowe zasuwę, otworzyła szerokie okna i spojrzała w ciemność. Nocny wiatr wionął do pokoju kąpiąc jej nagie ramiona w kojącym chłodzie. Wychyliła się przez okno i nasłuchiwała. Zmieszane, przyciszone dźwięki szły z ogrodu i ze wzgórz.

„Wszystko tętni życiem – pomyślała. – Aż pęka od życia”.

Gdy tak nasłuchiwała, z przeciwległej strony domu doszedł ją jakiś chrobot.

– Gdyby tu były bobry – szepnęła do siebie – pomyślałabym, że to bóbr ścina drzewo. A może to jeżozwierz podgryza belki pod gankiem? Podobno one tak robią. Ale tu również nie ma jeżozwierzy.

Wzmagający się zgrzyt dochodził z wnętrza domu.

– A jednak wyraźnie jakieś zwierzę podgryza belki – skostatowała. Usłyszała lekki trzask. Zgrzyt ustał. Helena poderwała się niespokojnie. Szybko przebiegła korytarz i stanęła przed drzwiami pokoju Hildy. Oparła rękę na solidnej zewnętrznej zasuwie i zawołała: – Wszystko w porządku, kochanie?

Nie było odpowiedzi. Helena bardzo cicho odsunęła zasuwę i weszła do pokoju. Jeden z dębowych pretów kraty był wycięty. Pokój był pusty.

Przez sekundę Helena stała sztywno przed otwartym oknem, patrząc w zamyśleniu w szarą noc. Twarz jej pobladła, wargi ściągnęły się jak dawniej w linię zaciętego uporów.

Mechanicznym krokiem wróciła do saloniku, weszła na krzesło, otworzyła kluczykiem oszkloną szafkę i wyjęła z niej strzelbę.

Doktor Phillips siedział przy Helenie Van Deventer w biurze sędziego śledczego. Wezwano go jako lekarza, który miał pod opieką Hildę. Starał się uspokoić Helenę, zapewnić ją, że nie powinna się niczego obawiać. Ale ona nie robiła wrażenia przestraszonej. W swej surowej, prawie barbarzyńskiej żałobie zdawała się być tak odporna jak skała, w którą bije morze.

– Pan doktor się tego spodziewał? – pytał sędzia. – Myślał pan, że do tego dojdzie?

Doktor Phillips spojrzał niepewnie na Helenę i odchrząknął:

– Odkąd przyszła na świat, była pod moją lekarską opieką. Podobny wypadek mógł, zależnie od okoliczności, skończyć się morderstwem lub samobójstwem. Ale równie dobrze mogła żyć spokojnie, nikomu nie wyrządzając krzywdy. Tych rzeczy nie da się przewidzieć.

Sędzia podpisywał dokumenty.

– Musiała uczynić to w ataku szału – mówił. – Jest całkiem oczywiste, że nie była normalna, więc nie ma potrzeby szukać motywów. Mógł wystarczyć najbliższy powód. Ale zrobiła to w sposób straszny. Z pewnością nie wiedziała, co czyni. Głowa w strumieniu, a obok strzelba... Polecę ławie przysięgłych orzeczenie samobójstwa. Przykro mi, że muszę wszystko to mówić w pani obecności. To musiał być okropny wstrząs dla pani, gdy ją pani znalazła.

Doktor Phillips podtrzymywał Helenę, gdy wychodzili z budynku sądu.

– Niech pani nie patrzy w ten sposób! – mówił. – Zupełnie jakby pani szła na stracenie. Tak jest lepiej, rozumie pani? Nie wolno ciągle tak cierpieć.

Nie patrzała na niego.

– Teraz wiem – mówiła cicho. – Już wiem, co mnie w życiu czeka. Ale starczy mi sił, żeby przetrwać, panie doktorze. Niech pan się o mnie nie martwi.

6

Junius Maltby był młody, niewielkiego wzrostu, wykształcony i pochodził z dobrej, kulturalnej rodziny. Kiedy jego ojciec zmarł jako bankrut, Junius utknął beznadziejnie na jakiejś biurowej posadce, przeciwko czemu walczył dziesięć lat słabymi siłami.

Po pracy Junius chronił się do swego sublokatorskiego pokoju, poprawiał poduszki fotela i spędzał wieczór na czytaniu. Uważał eseje Stevensona za niemal najświetniejsze dzieło, jakie kiedykolwiek napisano w języku angielskim; „Podróże z osłem” czytał wiele razy.

Pewnego wieczoru, wkrótce po swych trzydziestych piątym urodzinach, Junius zasnął na schodach domu, w którym mieszkał. Gdy przyszedł do siebie, spostrzegł po raz pierwszy, że oddychanie sprawia mu trudność. Zastanawiał się, od jak dawna już tak jest. Doktor, który go zbadał, był życzliwy i nawet optymistyczny.

– W każdym razie nie jest jeszcze tak źle, żeby nie mógł pan wyzdrowieć – powiedział. – Ale musi pan wywieźć swoje płuca z San Francisco. Jeśli zostanie pan tutaj, w tej mgłę, nie pożyje pan nawet roku. Trzeba się przenieść w ciepły, suchy klimat.

Juniusa raczej ucieszyło to niedomaganie, bo zrywało więzy, których nie umiał sam przeciąć. Miał pięćset dolarów, nie żeby je oszczędził, po prostu zapomniał wydać. „Za te pieniądze – myślał – albo się wykuruję i potem zacznę wszystko od nowa, albo umrę i cała historia się skończy”.

Kolega w biurze mówił mu o ciepłej, osłoniętej od wiatrów dolinie, o Pastwiskach Niebieskich, i Junius zaraz się tam wybrał. Spodobała mu się nazwa. „Albo jest to omen, że nie będę długo żył – myślał – albo jest to przyjemna, symboliczna namiastka śmierci”.

Zdawało mu się, że nazwa ta ma jakieś osobiste dla niego znaczenie, co go ucieszyło, bo od dziesięciu lat nic na świecie nie było mu bliskie i osobiste.

W Pastwiskach Niebieskich żyło kilka rodzin, które przyjmowały lokatorów. Junius rozpatrzył wszystkie możliwości, w końcu zamieszkał na farmie wdowy Quaker. Jej potrzebne były pieniądze, a jemu odpowiadało, że może sypiać w oddzielonej od domu szopie. Pani Quaker miała dwóch synków i trzymała parobka, który pracował na farmie.

Ciepły klimat z czułością traktował płuca Juniusa. W ciągu roku przybyło mu na wadze i nabrał kolorów. Na farmie żył szczęśliwie i spokojnie, najbardziej jednak cieszyło go, że przekreślił całkowicie te dziesięć lat pracy biurowej. Z czasem stał się niebywale leniwy i zaniedbany. Nigdy nie cesał swoich rzadkich blond włosów, okulary wisiały mu na końcu szerokiego nosa; wzrok mu się wzmocnił i nosił je tylko z nawyku. Zawsze żuł jakiś patyczek, co jest przyzwyczajeniem jedynie najleniwszych i najbardziej kontemplacyjnych ludzi. Ta jego rekonwalescencja odbywała się w roku 1910.

W 1911 roku panią Quaker zaczęło niepokoić, co o tym mówią sąsiedzi. Kiedy rozważała o następstwach tego, że na jej farmie przebywa nieżonaty mężczyzna, stawała się nerwowa i niespokojna. Gdy było już jasne, że Junius odzyskał zdrowie, wyznała mu swe obawy. Więc ożenił się z nią – chętnie i natychmiast. Miał teraz dom, a przed sobą świetlaną przyszłość, bo pani Maltby posiadała dwieście akrów łąk na zboczu wzgórza i pięcioakrowy ogród warzywno-owocowy u jego podnóża. Junius posłał po swoje książki, po swój fotel z ruchomym oparciem i po reprodukcję „Kardynała” Velasqueza. Przyszłość malowała się przed nim niby miłe, słoneczne popołudnie.

Pani Maltby odprawiła parobka i starała się skłonić męża do pracy na farmie, natrafiła jednak na opór tym bardziej obezwładniający, że nieuchwytny. Podczas swej rekonwalescencji

Junius pokochał lenistwo. Lubił dolinę i farmę, ale takimi, jakie były; nie chciał niczego dodawać ani ujmować, nie chciał sadzić nowych roślin ani zrywać starych. Gdy pani Maltby dała mu kiedyś do ręki motykę, żeby pracował w ogrodzie, zastała go w kilka godzin później, przebierającego nogami w łąkowym strumyku i zaczytanego w kieszonkowym wydaniu „Porwanego za młodu”. Mówił, że mu przykro, że nie wie, jak to się stało. I tak było naprawdę.

Początkowo wyrzekała na jego lenistwo i zaniedbanie, ale on rozwinął w sobie umiejętność niesłyszania jej łajañ. Uważał, że byłoby w złym guście zwracać na nią uwagę w momentach, gdy przestawała być damą. Zupełnie jak przyglądanie się kalece. Pani Maltby zaś, po bezskutecznych próbach przełamania jego nieuchwytnego oporu, sama przestała się cesać i głośno pociągała nosem.

W latach między 1911 a 1917 państwo Maltby bardzo zbiednieli. Juniusa nic farma nie obchodziła. Sprzedali kilka akrów łąki, żeby mieć pieniądze na żywność i ubranie, ale niewiele dostali i nie na długo starczyło. Bieda rozpanoszyła się na farmie, jej właściciele chodzili głodni i obszarpani. Nie stać ich nigdy było na nowe ubrania, ale Junius odkrył eseje Davida Graysona. Siadywał w roboczym kombinezonie pod platanami nad strumieniem. Czasem czytał głośno swojej żonie i dwóm pasierbom jego wiersze.

Na początku roku 1917 pani Maltby stwierdziła, że będzie mieć dziecko, a pod koniec tegoż roku epidemia influency z zimnym okrucieństwem zaatakowała całą rodzinę. Obaj chłopcy zachorowali jednocześnie, może dlatego, że byli jednakowo niedożywieni. Przez trzy dni dom pałał gorączką dzieci, które, chwytając nerwowymi palcami kołderki, kurczowo trzymały się życia. Przez trzy dni obaj chłopcy walczyli, słabnąc coraz bardziej, i czwartego dnia umarli. Ich matka nie wiedziała o tym, właśnie miała rodzić, a sąsiedzi, którzy przyszli pomóc w nieszczęściu, ani nie byli na tyle odważni, ani na tyle okrutni, by jej powiedzieć. Śmiertelna gorączka naszała ją w czasie porodu i zabiła, nim ujrzała swe dziecko.

Sąsiadki, które pomagały przy porodzie, rozповідаły później po całej dolinie, że podczas gdy jego żona i dzieci umierały, Junius Maltby czytał nad strumieniem książki. Ale była to tylko część prawdy. W dniu, w którym jego rodzinę powaliła choroba, Junius rzeczywiście siedział ze zwieszonymi nad strumieniem nogami, bo nie wiedział o tym, co się stało. Ale później krążył niepewnie od jednego umierającego chłopca do drugiego i opowiadał im beładnie jakieś historie. Starszemu mówił o szlifowaniu diamentów, przy łóżku młodszego rozprawiał o pięknie, zamierzchłym pochodzeniu i symbolizmie znaku swastyki. Jedno życie zgasło, gdy czytał na głos drugi rozdział „Wyspy Skarbów”, i zdał sobie z tego sprawę wtedy, gdy skończył i podniósł znad książki wzrok. W czasie tych dni był zupełnie zagubiony. Dał z siebie tyle, ile mógł, ale to było za mało wobec śmierci. Wiedział o tym z góry i tym straszliwsze było dla niego to, co się stało.

Kiedy zabrano z domu ciało, Junius wrócił nad strumień i przeczytał kilka stron „Podróży z osłem”. Zaśmiał się kilka razy niepewnie, ubawiony uporem Modesta. Kto prócz Stevensona mógł nazwać osła Modestem?

Jedna z sąsiadek zawołała go i zwymyślała tak ostro, że zmieszał się i przestał słuchać. Oparła ręce na biodrach, patrzyła na niego pałającym, pełnym pogardy wzrokiem. Potem przyniosła maleńkiego chłopczyka i wcisnęła mu w ramiona. Kiedy odwróciła się od furtki, zobaczyła, jak stał przytulając do siebie płaczące dziecko. Nie wiedział, co ma z nim zrobić, gdzie złożyć, więc trzymał je tak przez długi czas.

Ludzie w dolinie opowiadali o nim różne historyjki. Czasem nienawidzili go tą nienawiścią, jaką pracowici czują wobec leniwych, czasem zazdrościli mu lenistwa, ale najczęściej żal im go było, bo tak błędził. Nikt w całej dolinie nigdy nie odkrył, że Junius jest szczęśliwy.

Opowiadano, jak za poradą doktora chciał kupić kozę, żeby mieć mleko dla dziecka. Nie

określił wyraźnie, czy chodzi mu o kozę, czy kozła, ani nie powiedział, po co mu to zwierzę jest potrzebne. Kiedy przyprawiono kozła, zajrzał pod jego brzuch i bardzo poważnie zapytał:

– Czy to zwierzę jest normalne?

– A pewnie – rzekł sprzedawca.

– A czy nie powinno mieć takiego worka, czy coś między tylnymi nogami? Znaczy się na mleko?

W dolinie zarykiwano się z tego. Później, gdy kozła zastąpiono kozą, Junius przez dwa dni naciskał ją i macał, ale nie wytoczył ani kropli mleka. Chciał zwrócić kozę sądząc, że ma jakiś feler, w końcu jej dawny właściciel pokazał mu, jak ją należy doić. Niektórzy opowiadali, że Junius trzyma dziecko pod kozą, żeby samo ssało, ale to nie była prawda. Ludzie w dolinie nie mogli pojąć, jak, mimo wszystko, wychował to dziecko.

Pewnego dnia Junius wybrał się do Monterey, gdzie najął starego Niemca do pomocy na farmie. Dał mu pięć dolarów zaliczki i nigdy centa więcej. W ciągu dwóch tygodni jego pomocnik tak się rozleniwił, że tyle akurat pracował, co jego pan. Siadywali gdzieś na farmie i dyskutowali o rzeczach, które ich obu interesowały i dziwiły – jak to się dzieje, że kwiaty są kolorowe, gdzie była Atlantyda, jak Inkowie grzebali swych zmarłych.

Na wiosnę sadzili ziemniaki, zawsze za późno i nie przysypując ich popiołem dla ochrony przed robakami. Siali bób, zboże i groch, przez jakiś czas doglądali tego, co posadzili, później zapominali. Zielsko zakrywało wszystko przed wzrokiem. Widywano Juniusa, jak wdzierał się w gąszcz malw i wyłaniał stamtąd trzymając w rękę blade ogórek. Przestał nosić buty, bo lubił czuć ciepło ziemi, a poza tym nie miał butów.

Po południu Junius opowiadał swemu pomocnikowi.

– Wiesz, Jakubie – mówił – kiedy dzieci umarły, zdawało mi się, że osiągnąłem najwyższy szczyt przerażenia. I niemal w chwili, gdy to pomyślałem, przerażenie zmieniło się w rozpacz, a rozpacz w smutek. Nie znałem dobrze ani mojej żony, ani dzieci. Może byli zbyt blisko mnie. Dziwna to rzecz znać kogoś. Nic innego, tylko świadomość szczegółów. Istnieją umysły dalekowzroczne i krótkowzroczne. Nigdy nie byłem w stanie widzieć tego, co jest blisko mnie. Na przykład znacznie wyraźniej widzę Partenon niż mój własny dom, który stoi o, tam.

Twarz Juniusa drgnęła, oczy pojaśniały z zachwyty.

– Jakubie – powiedział – czyś widział kiedy fotografię partenońskiego fryzu?

– Tak, bardzo dobra rzecz – przyznał Jakub.

Junius położył rękę na kolanie swego parobka.

– Te konie – mówił – te piękne konie biegnące ku niebiańskim łąkom! Zapaleni, a jednak pełni godności młodzieńcy, idący na wspaniałą obchód święta, który odbywa się tuż za fryzem. Jak to się dzieje, że człowiek może wiedzieć, co odczuwa koń, kiedy jest bardzo szczęśliwy? Ten rzeźbiarz wiedział, bo jakżeby inaczej mógł stworzyć te konie.

Zawsze tak było. Junius nie umiał skupić uwagi na jednym przedmiocie. Często obaj chodzili głodni, bo nie udawało im się znaleźć w trawie jaja zniesionego przez kurę, kiedy nadeszła pora kolacji.

Syn Juniusa otrzymał imiona Robert Ludwik. Junius wołał tak na niego, ale Jakub buntował się przeciw temu, uważał to za literackie fanaberie.

– Chłopcy powinni mieć imiona krótkie, jak psy – utrzymywał. – Jeden dźwięk starczy za imię. Samo „Robert” też byłoby zbyt długie. Powinniśmy wołać na niego „Bob”.

Jakub prawie że wygrał sprawę.

– Jakoś się pogodzimy – rzekł Junius. – Będziemy nazywać go „Robbie”. „Robbie” jest krótsze niż „Robert”, nie uważasz?

Czasem ustępował Jakubowi, który stale, choć niezbyt energicznie, starał się walczyć z

oplątującą go nieuchwytną pajęczą siecią. Od czasu do czasu dostawał napadu szlachetnej pasji i robił porządki w domu.

Robbie rósł w atmosferze powagi. Chodził za obu mężczyznami, przysłuchiwał się ich dyskusjom. Junius nigdy go nie traktował jak małego chłopca, bo nie wiedział, jak małych chłopców należy traktować. Jeśli Robbie wtrącał się do dyskusji, Junius i Jakub uprzejmie słuchali, co ma do powiedzenia, po czym dalsza rozmowa toczyła się wokół uczynionej przez niego uwagi, a często nawet to, co powiedział, służyło im za załączek dalszych dociekań. Wiele kwestii rozstrzygali w ciągu jednego popołudnia. Każdego dnia kilkakrotnie wertowali encyklopedię Juniusa. Ogromny platan przegiął jeden ze swych konarów ponad strumieniem i na nim siadywali wszyscy trzej; mężczyźni zanurzali zwisające stopy w wodzie i palcami poruszali kamyczki na dnie, a Robbie bezskutecznie starał się ich naśladować. Dotknięcie stopami wody było jednym z jego kryteriów męskości. Jakub także już chodził boso, a Robbie nigdy w życiu nie miał na nogach bucików.

Ich rozmowy były uczone. Robbie nie znał języka dzieci, nigdy go nie słyszał. Właściwie nie były to rozmowy; pozwalali, aby ziarno myśli samo kiełkowało, a oni obserwowali tylko z podziwem, jak rozrasta się i puszcza pędy. Zdumiewały ich niezwykle owoce, jakie ich myśli wydają, gdyż puszczały je samopas, nie nadawali im żadnego kierunku, nie hamowali ich biegu, w przeciwieństwie do wielu ludzi.

Siadywali tak na potężnej gałęzi płatanu. Ubrania ich były postrzępione, włosy tyle że odgarnięte, by nie przesłaniały oczu. Obaj mężczyźni mieli długie, nie strzyżone brody. Obserwowali żyjątko prześlizgujące się po powierzchni wody, w której zanurzali leniwe stopy. Olbrzymie drzewo, kołysane łagodnie wiatrem, zrzucało od czasu do czasu liść, niby brązową chusteczkę. Robbie miał już pięć lat.

– Płatany to dobre drzewa – zauważył, gdy liść opadł mu na kolana.

Jakub wziął liść do ręki i wyłuskał miąższ z unerwienia.

– Tak – zgodził się. – Rosną przy wodzie. To, co dobre, kocha wodę. Co złe, jest suche.

– Płatany są duże i dobre – rzekł Junius. – Myślę, że dobre rzeczy muszą być bardzo duże, jeśli mają przetrwać. To, co dobre i małe, ginie niszczone przez małe i złe. Rzadko rzeczy duże są trujące i zdradliwe. Dlatego ludzie uważają, że wielkość jest atrybutem dobra, a małość – zła. Rozumiesz to, Robbie?

– Tak – rzekł Robbie – rozumiem. Jak słonie.

– Bywają złe słonie, ale gdy myślimy o słoniach, wydają nam się łagodne i dobre.

– A woda? – wtrącił Jakub. – Czy wiesz, jak to jest z wodą?

– Nie, nie wiem – rzekł Robbie.

– Ale ja wiem – powiedział Junius. – Woda jest nasieniem życia. Z trzech żywiołów – woda jest spermą, ziemia łonem, a światło słoneczne kształtuje rozrost.

Tak uczyli go nedorzeczości.

Po śmierci jego żony i dwóch chłopców ludzie z Pastwisk odsunęli się od Juniusa. Historie o tym, jak się zachował podczas epidemii, urosły do takich rozmiarów, że zawaliły się pod własnym ciężarem i prawie o nich zapomniano. Ale choć sąsiedzi nie pamiętali już, że Junius czytał książki, kiedy dzieci umierały, nie mogli pogodzić się z jego sposobem życia. Tu, w tej urodzajnej dolinie, żył obok nich w straszliwej nędzy. Podczas gdy inni dorabiali się małych fortun, kupowali Fordy i radia, zakładali elektryczność i dwa razy w tygodniu jeździli do Monterey do kina, Junius staczał się coraz niżej i w końcu stał się dzikusiem w łachmanach. Mężczyznom żal było jego dobrej, zachwaszczanej ziemi, zaniedbanych drzew w sadzie, walących się płotów. Kobiety myślały z obrzydzeniem o zapuszczonym domu, zaśmieconym podwórzu i brudnych oknach. Wszyscy zaś czuli pogardę dla jego lenistwa i braku ambicji. Przez

jakiś czas zachodzili do niego w nadziei, że ich dobry przykład wyciągnie go z gnuśności. Przyjmował ich z całą prostotą, przyjaźnie, jakby był taki jak oni. Nie wstydził się swych łachmanów, swojej nędzy. Z czasem zaczęto go uważać za wyrzutka i nikt już nie zjawiał się na drodze wiodącej do jego domu. Wyłączono go ze społeczności ludzi przyzwoitych, postanowiono nie przyjmować, gdyby kiedy zechciał kogo odwiedzić.

Junius nie zdawał sobie zupełnie sprawy z niechęci sąsiadów. Był wspaniale szczęśliwy. Jego życie stało się nierealne, romantyczne i nieważne – jak jego myśli. Wystarczało mu, że siadywał w słońcu, przebierając w strumieniu stopami. Nie miał porządnego ubrania, ale i nie miałby też gdzie iść w porządnym ubraniu.

Sąsiedzi prawie nienawidzili Juniusa, lecz litowali się nad jego małym synkiem. Kobiety mówiły: – Jakie to straszne, że dziecko musi rosnać w takim brudzie i nędzy. – Ale ponieważ w Pastwiskach Niebieskich żyli przeważnie ludzie dobrzy, więc nie wtrącali się w prywatne sprawy Juniusa.

– Poczekajmy, aż chłopiec będzie w wieku szkolnym – mówiła pani Banks kobietom zebranych w jej saloniku. – Teraz nie możemy nic zrobić, nawet gdybyśmy chciały. Należy do ojca. Ale zapewniam was, jak tylko skończy sześć lat, władze okręgowe będą miały coś do powiedzenia.

Pani Allen pokiwała głową i zmrużyła oczy.

– Ciągle zapominamy – odezwała się – że on jest również synem naszej kochanej nieboszczki, Mamie Quaker, a nie tylko tego Maltby'ego. Wydaje mi się, że już dawno powinniśmy się były nim zająć. Jak tylko pójdzie do szkoły, musimy mu dać to wszystko, czego mu zawsze brakowało.

– A przynajmniej zadbać, żeby miał co na siebie włożyć – zgodziła się jedna z kobiet.

Mogłoby się wydawać, że cała dolina przyczaiła się w oczekiwaniu dnia, w którym Robbie pójdzie do szkoły. Kiedy jednak po wakacjach i po swych szóstych urodzinach Robbie wcale się w szkole nie pokazał, John Whiteside, który był sekretarzem Rady Szkolnej, napisał w tej sprawie do Juniusa.

– Nie pomyślałem o tym – rzekł Junius, gdy list przeczytał. – Zdaje się, Robbie, że będziesz musiał pójść do szkoły.

– Nie chcę – rzekł Robbie.

– Wiem. Ja także tego nie chcę. Ale istnieją ustawy. Prawo posługuje się samoobroną, która nazywa się karą. Zawsze należy porównać przyjemność łamania prawa z karą, jaka nas za to czeka. Kartagińczycy karali nawet brak szczęścia. Jeśli generał przegrywał bitwę, bo nie miał szczęścia, zabijano go. Dzisiaj w ten sam mniej więcej sposób karze się ludzi za to tylko, że się przypadkiem urodzili i znaleźli w takich, a nie innych warunkach.

W toku dalszej dyskusji, jaka się wyłoniła, zapomnieli o liście. Więc John Whiteside znowu napisał krótkie upomnienie.

– Widzę, Robbie, że jednak będziesz musiał iść do szkoły – rzekł Junius. – Nauczają cię tam wielu pożytecznych rzeczy.

– Dlaczego ty mnie nie nauczysz? – prosił Robbie.

– O, ja nie mogę. Widzisz, zapomniałem wszystko, czego oni tam uczą.

– Nie chcę chodzić do szkoły. Nie chcę się uczyć.

– Wiem, że nie chcesz. Ale nie ma rady.

I pewnego ranka Robbie powlókł się do szkoły. Miał na sobie stare farmerki z dziurami na kolanach i siedzeniu, niebieską koszulę z wydartym kołnierzem i nic więcej. Długie włosy opadały na jego szare oczy jak grzywa dzikiego kucyka.

Dzieci otoczyły go kołem na szkolnym dziedzińcu i gapiły się w milczeniu. Słyszały o

nędzy na farmie Maltby'ch i o lenistwie Juniusa. Chłopcy od dawna już czekali chwili, kiedy się dobrać do Robbie'go i zacząć go gnębić. Oto nadeszła ta chwila: stał wśród nich, a oni nic, tylko się na niego gapili. Nikt nie powiedział: „Skądżeś wytrzasnął te szmaty” albo: „Spójrzcie na jego włosy”, tak jak oczekiwano. Dzieci były zdumione, że jakoś nie mogą się zdobyć na to, żeby go dręczyć. On zaś patrzył na nich pełnym powagi wzrokiem. Nie bał się zupełnie.

– Znacie jakieś gry? – zapytał. – Ojciec mówił mi, że doskonale umiecie się bawić.

Milczący krąg rozerwał się.

– On nie umie się w nic bawić! – krzyczały dzieci. – Nauczymy go grać w palanta! Nie, w czarnego luda! Nie, nie, w przerywane wojsko! On nie zna żadnych gier!

I choć nie wiedzieli, dlaczego tak jest, uważali, że to pyszna rzecz nie znać żadnych gier. Chuda twarzyczka Robbie'ego była skupiona.

– Najpierw spróbujemy palanta – zdecydował.

Źle mu szło, ale jego nauczyciele nie gniewali się na niego. Za to spierali się między sobą o przywilej pokazywania mu, jak należy trzymać kij do palanta. Istnieją bowiem co do tego różne teorie. Robbie stał chwilę z boku przysłuchując się kłótniom, po czym sam sobie wybrał instruktora.

Jego przybycie natychmiast odbiło się na życiu w szkole. Starsi chłopcy zostawili go w spokoju, młodsi zaś naśladowali we wszystkim – nawet porobili sobie dziury na kolanach spodni. Podczas dużej pauzy siadali w słońcu opierając się o mur i zajadali drugie śniadanie, a Robbie opowiadał o swoim ojcu i rosnącym nad strumieniem drzewie. Słuchali uważnie marząc w głębi duszy, żeby ich ojcowie też byli tak łagodni i leniwi.

Czasem kilku chłopców, mimo zakazu rodziców, wmykało się w sobotę na farmę Maltby'ch. Juniusa naturalnie ciągnęło do gałęzi płatanu, więc szli za nim i siadali po obu jego stronach, a on czytał im „Wyspę Skarbów” lub opowiadał o wojnach galickich czy bitwie pod Trafalgarem. I nie wiadomo kiedy, Robbie, dzięki własnym zaletom i dzięki temu, że miał tak wspaniałego ojca, stał się królem szkolnego dziedzińca. Najlepszym tego dowodem był fakt, że z żadnym z chłopców specjalnie się nie zaprzyjaźnił, że nie nadano mu przezwiska i że zawsze był arbitrem we wszelkich sporach. Nikt nigdy nie próbował nawet bić się z nim, tak wysokim cieszył się poważaniem.

Dopiero po pewnym czasie Robbie zdał sobie sprawę, że jest przywódcą wszystkich młodszych chłopców. Jego opanowanie i dojrzałość sprawiły, że koledzy sami mu się podporządkowali. Wkrótce też zaczął decydować o wyborze gier i zabaw. Zawsze sędziował podczas baseballu, bo nikt inny nie umiał tego robić bez wywołania awantury. Sam grał źle we wszystkie gry, ale w sprawach etyki i reguł zawsze zwracano się do niego.

Po długich naradach z Juniusem i Jakubem wymyślił dwie gry, które zdobyły ogromną popularność. Jedna otrzymała nazwę „Przebiegły kojot”, a druga „Złamana noga”. Robbie sam ułożył przepisy obu tych gier.

Nauczycielkę, pannę Morgan, intrygował ten mały chłopiec i zadziwiał ją zarówno w klasie, jak na dziedzińcu szkolnym. Umiał doskonale czytać, posługiwał się słownictwem dorosłego człowieka, lecz nie umiał pisać. Był obznajmiony z liczbami, nawet bardzo wysokimi, ale nie mógł się nauczyć najprostszych arytmetycznych działań. Nauka pisania sprawiała mu niesłychaną trudność. Jego ręka kreśliła w szkolnym zeszytcie jakieś zwariowane litery. Panna Morgan starała się mu pomóc.

– Wybierz sobie jakieś zdanie i przepisz je wciąż na nowo, aż napiszesz, jak trzeba – zaproponowała mu kiedyś.

Robbie poszukał w pamięci zdania, które by mu odpowiadało. W końcu napisał:

„Nie ma takiej potforności, w którą nie moglibyśmy sami uwieżyć”. Spodobało mu się słowo „potforność”. Nadawało wagę i głębię całej sprawie. Jeśli istnieją słowa, które jak zaklęcie mogą wyzwolić drzemiącego w ziemi ducha, to na pewno „potforność” jest jednym z nich. Przepisywał i przepisywał to zdanie, starannie kaligrafując ową „potforność”. Pod koniec lekcji panna Morgan chciała zobaczyć, jak mu idzie.

– Robert, skądżeś, na Boga, to wziął? – zapytała.

– To cytat ze Stevensona, proszę pani. Mój ojciec zna prawie całego Stevensona na pamięć.

Panna Morgan naturalnie słyszała wiele złego o Juniusie, ale jakoś była po jego stronie. Teraz poczuła, że bardzo by go chciała poznać.

Zapał do gier zaczął maleć na dziedzińcu szkolnym. Robbie martwił się tym i kiedyś przed pójściem do szkoły zwierzył się ze swej troski Juniusowi. Junius podrapał się po brodzie i chwilę myślał.

– Bardzo dobra jest zabawa w szpiega – powiedział w końcu. – Pamiętam, że pasjami lubiłem bawić się w szpiega.

– Ale kogo mamy szpiegować?

– To nieważne, kogo bądź. My szpiegowaliśmy Włochów.

Robbie, szalenie podniecony, pobiegł do szkoły i tegoż popołudnia, po dłuższym wertowaniu szkolnego słownika, zorganizował P.S.C.D.S.J. – co przetłumaczone, oczywiście szeptem, oznaczało: „Pomocnicza Służba Chłopców do Szpiegowania Japończyków”. Jeśliby nawet nie było innego powodu, to sama wspaniała nazwa wystarczyła, żeby uznać tę organizację za siłę, z którą należy się liczyć. Robbie prowadził kolejno każdego z chłopców w cień rosnącej na dziedzińcu wierzby i tam dopuszczał do tajemnicy pod przysięgą tak groźną, że przyniosłaby zaszczyt każdej łoży masońskiej. Potem zgromadził całą grupę i wyjaśnił, że pewnego dnia, bez najmniejszej wątpliwości dojdzie do wojny z Japonią.

– Musimy być przygotowani – oznajmił. – Im więcej teraz się dowiemy o niegodziwych praktykach tej niegodziwej rasy, tym więcej bezcennych i tajnych informacji będziemy mogli dać naszemu krajowi, gdy wojna wybuchnie.

To podniosłe przemówienie wywarło ogromne wrażenie na kandydatach do zawodu szpiegowskiego. Byli wstrząśnięci grozą sytuacji, która wymagała posługiwania się tego rodzaju słowami. Ponieważ szpiegowanie stało się obecnie głównym zajęciem całej szkoły, mały Takaszi Kato, który był w trzecim oddziale, nie miał już prywatnego życia. Jeśli Takaszi podnosił w czasie lekcji dwa palce, Robbie spoglądał znacząco na któregoś z członków P.S.C.D.S.J. i natychmiast druga ręka strzelała gwałtownie w górę. Gdy Takaszi wracał do domu, co najmniej pięciu chłopców skradało się za nim w przydrożnych zaroślach. Aż pewnej nocy pan Kato, ojciec Takasiego, strzelił w ciemność, gdy ujrzał białą twarz zaglądnącą przez okno. Robbie, chcąc nie chcąc, zwołał podkomendnych i zakazał im szpiegowania po zachodzie słońca.

– W nocy oni nie mogą robić nic naprawdę ważnego – wyjaśnił.

W sumie jednak Takaszi niewiele ucierpiał przez praktykowaną na nim akcję wywiadowczą, bo młodzi szpiegowie, chcąc ciągle mieć go na oku, brali go ze sobą na wszystkie wyprawy. Nikt nie zgodziłby się pozostać z nim, żeby go śledzić.

Organizacja szpiegowska otrzymała śmiertelny cios, gdy Takaszi, który skądś dowiedział się o jej istnieniu, zażądał, by go do niej przyjęto.

– Naprawdę nie wiem, jak możemy cię przyjąć – uprzejmie tłumaczył Robbie. – Rozumiesz przecież, jesteś Japończykiem, a my ich nienawidzimy.

Takaszi omal się nie rozplakał.

– Ja urodziłem się tutaj, tak samo jak ty – mówił przez łzy. – I jestem takim samym jak ty

Amerykaninem, może nie?

Robbie zamyslił się. Nie chciał robić Takasziemu przykrości. Nagle czoło mu się rozpozodziło.

– Słuchaj, ty umiesz po japońsku? – zapytał.

– Pewnie, zupełnie dobrze.

– Więc możesz zostać tłumaczem. Będziesz nam tłumaczył ich tajne raporty.

Takaszi rozpromienił się.

– Naturalnie, że mogę! – wykrzyknął z zapalem. – I jeśli chcecie, mogę szpiegować mojego ojca!

Ale na tym się skończyło. Do szpiegowania został tylko pan Kato, a pan Kato był nerwowy i miał strzelbę.

Minął Dzień Zaduszny i Święto Dziękczynienia. Wpływ Robbie'ego na kolegów uwidocznił się przez wzbogacenie ich słownictwa i zdecydowaną niechęć do noszenia butów, a właściwie wszelkiego porządniejszego odzienia. Robbie, nie zdając sobie z tego sprawy, wprowadził modę, może nie całkiem nową, ale bardziej obowiązującą niż dotąd. Noszenie całych porządnych ubrań uważano za rzecz niemęską, a nawet za coś, co osobiście obraża Robbie'ego.

Pewnego pięknego popołudnia, w piątek, Robbie napisał czternaście tajnych rozkazów, które przesłał czternastu chłopcom. Wszystkie te rozkazy brzmiały tak samo: „Banda Indian chce spalić na stosie Prezydenta Stanów Zjednoczonych, jutro o dziesiątej u mnie. Przedrzeć się do naszej farmy i zaszczekać jak lis. Będę na miejscu i poprowadzę was na ratunek tego nieszczęsnego człowieka”.

Panna Morgan już od paru miesięcy nosiła się z zamiarem odwiedzenia Juniusa Maltby. Historie, jakie o nim opowiadano, i styczność z jego synem, pobudziły w najwyższym stopniu jej ciekawość. Od czasu do czasu któryś z uczniów nieświadomie dostarczał jej zdumiewających informacji. Kiedyś chłopiec znany z lenistwa oświadczył jej, że Hengest i Horsa podbili Anglię. Przyciśnięty do muru wyznał, że dowiedział się tego od Juniusa Maltby i że jest to coś w rodzaju sekretu. Stara anegdota o tym, jak Junius kupował kozę, tak jej się spodobała, że zrobiła z niej opowiadanie, ale żaden z magazynów nie chciał tego wydrukować.

Pewnej grudniowej soboty obudziła się uradowana, że powietrze jest mroźne i świeci wspaniałe słońce. Po śniadaniu włożyła sztruksową spódnicę, mocne buty i wyszła z domu. Idąc przez podwórze starała się nakłonić farmerskie psy, żeby jej towarzyszyły, ale tylko pomerdały ogonami i znów zasnęły w słońcu.

Farma Maltby'ch leżała o dwie mile, w małym kanionie, zwanym Gato Amarillo. Droga szła nad strumieniem, obramowana olszynami, pod którymi bujnie rosła paproć. W kanionie było zimno, bo słońce nie ukazało się jeszcze zza wzgórz. W pewnej chwili pannie Morgan wydało się, że słyszy przed sobą kroki i głosy, ale gdy spiesznie minęła zakręt, nikogo nie zobaczyła. A jednak przydrożne gąszcze szeleściło tajemniczo.

Chociaż nigdy tu przedtem nie była, od razu poznała farmę Maltby'ch. Sfatygowane płoty chyliły się ku ziemi pod przygniatającym ciężarem krzaków. Drzewa owocowe wyciągały nagie gałęzie nad gęstwiną chwastów. Pędy dzikich jeżyn oplatały jabłonie; wiewiórki i króliki wrywały się spod stóp, a cichogłose gołębie fruwały ze świstem skrzydeł. Na wyniosłej, dzikiej gruszy zasiadł parlament sójek, rozćwierkany w hałaśliwej kłótni. Dalej, obok wiązu, który spowity był postrzępionym płaszczem powoju, panna Morgan ujrzała zarosłe mchem wypaczone gonty dachu. Miejsce to przez swój spokój i ciszę wydawało się od stu lat opuszczone. „Jakie to zniszczone i podupadłe! – pomyślała. – Jakie urocze i zaniedbane!”

Weszła w obejście przez plecioną z trzciny furtkę przymocowaną do płotu żelazną obręczą. Budynki farmy poszarzały od słońca, pnącza mackami czepiały się murów. Panna Morgan

minęła róg domu i zatrzymała się wpół kroku, szczeka jej opadła, zimny dreszcz przeszył kręgosłup. Na środku podwórza stał wbity w ziemię pał, do którego był przywiązany sznurem stary człowiek w łachmanach. Inny mężczyzna, młodszy i drobniejszy, ale może nawet jeszcze bardziej obszarpany, układał chrust u stóp swego jeńca. Panna Morgan zadygotała i tyłem cofnęła się za róg domu. „Takie rzeczy się nie zdarzają naprawdę – wmawiała w siebie. – Mnie się to śni. To niemożliwe”.

Nagle usłyszała jak najbardziej przyjazną rozmowę obu mężczyzn.

– Już prawie dziesiąta – mówił oprawca.

– Tak – rzekł pojmany. – Pamiętaj, nie podpalaj chrustu, póki nie będziesz zupełnie pewny, że już nadchodzą.

Panna Morgan odczuła tak gwałtowną ulgę, że omal nie krzyknęła. Trochę jeszcze niepewnym krokiem ruszyła w kierunku pała. Młodszy mężczyzna odwrócił się i spostrzegł ją. Przez moment był zaskoczony, ale szybko opanował się i skłonił. Ukłon tego człowieka w podartym kombinezonie i ze zwichrzoną brodą był śmieszny i czarujący zarazem.

– Jestem nauczycielką – wyjaśniła panna Morgan łapiąc oddech. – Wysłałam na spacer i natrafiłam na ten dom. Przez chwilę myślałam, że to całopalenie odbywa się na serio.

Junius uśmiechnął się.

– Bo też jest na serio – powiedział. – Bardziej na serio, niż pani sądzi. W pierwszej chwili myślałem, że pani przybywa z odsieczą. Odsiecz ma tu być punktualnie o dziesiątej.

W rosnących za domem wierzbach rozległo się dzikie szczekanie lisów.

– O, właśnie przybyła – ciągnął dalej Junius. – Przepraszam, zdaje się, że panna Morgan? Jestem Junius Maltby, a ten dżentelmen nazywa się na co dzień Jakub Stutz. Ale dziś jest prezydentem Stanów Zjednoczonych, którego pałą żywcem Indianie. Początkowo miał być Ginewrą, żoną króla Artura, ale mimo swego wyglądu nadaje się bardziej na prezydenta niż na królową, nie myśli pani? Poza tym za nic nie chciał włożyć sukni.

– Bzdura – wtrącił prezydent.

Panna Morgan roześmiała się.

– Panie Maltby, czy pozwoli mi pan być świadkiem wybawienia prezydenta?

– Nie jestem żaden pan Maltby. Jestem trzystu Indian.

Znowu rozległo się szczekanie lisów.

– Niech pani stanie tam, przy schodkach – powiedziało trzystu Indian. – Bo inaczej jeszcze wezmą panią za czerwonoskórego i rzucą się na panią.

Spojrzał w stronę strumienia. Gałąź jednej z wierzb poruszała się gwałtownie. Junius potarł zapałkę o spodnie i podpalił chrust złożony u stóp jeńca. Płomień strzelił w górę i w tym samym momencie rosnące nad strumieniem wierzby jakby się rozpadły na kawałki i każdy z tych kawałków okazał się rozwrzeszczanym chłopcem. Runęli naprzód, wymachując bronią groźną i różnorodną niczym lud francuski atakujący Bastylę. Wybawiciele natychmiast zdeptali ogień, który lizał już stopy prezydenta. Gorączkowymi palcami odwiązali sznur i Jakub Stutz był wolny i szczęśliwy. Uroczystość, która później nastąpiła, w niczym nie ustępowała scenie ratunku. Chłopcy stali wyprężeni, wzdłuż szeregu szedł prezydent i każdemu przypinał do piersi ołowiany krążek z wrytym słowem „Bohater”. Zabawa się skończyła.

– W następną sobotę powiesimy zbrodniarzy, którzy uknuli ten nikczemny spisek – ogłosił Robbie.

– Czemu nie zaraz? Powieśmy ich dzisiaj! – rozległy się okrzyki.

– Nie, moi żołnierze. Najpierw trzeba wszystko przygotować. Musimy zbudować szubienicę. Chyba powiesimy was obu – zwrócił się do ojca. Przez chwilę spoglądał łakomie na pannę Morgan; darował jej jednak życie, choć bardzo niechętnie.

Był to jeden z najprzyjemniejszych dni w życiu panny Morgan. Mimo że usadowiono ją na honorowym miejscu na konarze płatana, chłopcy zapomnieli, że jest nauczycielką.

– Znacznie przyjemniej, jak zdjąć buty – poradził jej Robbie. I przekonała się, że to prawda, gdy siedziała wraz z nimi, przebierając bosymi stopami w wodzie.

Tego popołudnia Junius opowiadał o ludożerstwie wśród aleuckich Indian; o zbuntowanych przeciw Kartaginie najemnych wojskach; o tym, jak Lacedemończycy czesali włosy, zanim zginęli w Termopilach; o pochodzeniu makaronu i odkryciu miedzi – jakby sam był przy tym wszystkim obecny. W końcu Jakub zaczął z uporem zaprzeczać jego teoriom na temat wygnania z rajy i wywiązała się między nimi długa dyskusja, a chłopcy zaczęli rozchodzić się do domów. Panna Morgan wracała sama daleko za nimi; chciała spokojnie pomyśleć o tym dziwnym człowieku.

Zarówno nauczycielka, jak jej uczniowie z przerażeniem oczekiwali wizytacji Rady Szkolnej. Był to zawsze dzień uroczysty i pełen napięcia. Zadane lekcje recytowano nerwowo, błędy wymowy były uważane za największe przestępstwo. Nigdy dzieci tak się nie myliły, nerwy nauczycielki nigdy nie były wystawione na cięższą próbę.

Wizytacja Rady Szkolnej w Pastwiskach Niebieskich odbyła się 15 grudnia po południu. Zaraz po drugim śniadaniu weszli do klasy, jeden za drugim, członkowie Rady, pogrzebowo poważni i trochę zawstyżeni. Pierwszy kroczył sekretarz, stary i siwowłosy John Whiteside, który miał dosyć pobłażliwy stosunek do kwestii wykształcenia, co mu brano za złe w dolinie. Za nim szedł Pat Humbert. Pat został wybrany członkiem Rady, bo bardzo tego chciał. Był to człowiek samotny, jakoś nie umiał nawiązywać kontaktów z ludźmi i chętnie korzystał z okazji, które mu to ułatwiały. Miał na sobie ubranie tak sztywne i oficjalne, jak ubranie z brązu, w którym Lincoln zasiada na cokole w Waszyngtonie. Dalej wtoczył się nastroszony Allen. Ponieważ był jedynym w dolinie kupcem, miejsce w Radzie należało mu się z urzędu. Za nim kroczył Raymond Banks, wielki i dobronudny, z czerwoną twarzą i czerwonymi rękami. Pochód zamykał Bert Munro, nowo obrany członek Rady. Była to jego pierwsza wizyta w szkole, więc czuł się trochę głupio, gdy szedł za innymi zająć miejsce w przednich ławkach.

Kiedy już Rada zasiadła w całej swej okazałości, weszły żony jej członków i zajęły miejsca w tylnych ławkach. Dzieci poruszyły się niespokojnie. Poczwały się osaczone; ucieczka, gdyby zaszła ku temu potrzeba, była odcięta. Wierciły się w ławkach i spostrzegały, że siedzące za nimi kobiety uśmiechają się przychylnie. Pani Munro trzymała na kolanach jakąś paczkę.

Lekcja się zaczęła. Panna Morgan z wymuszonym uśmiechem na ustach powitała Radę Szkolną.

– Wszystko będzie się odbywało jak zwykle, proszę panów – oświadczyła. – Myślę, że najbardziej panów interesuje, jak wygląda normalny dzień w naszej szkole.

I już w chwilę potem żałowała swego oświadczenia. Nigdy w życiu nie widziała tak głupich dzieci. Te, którym udawało się jakoś wydusić słowa ze zdławionego gardła, robiły przerażające błędy. Ich wymowa była fatalna. To, co czytały, brzmiało jak bełkot wariata. Rada Szkolna starała się zachować powagę, ale nie była w stanie powstrzymać uśmiechów. Na czoło panny Morgan wystąpiły kropelki potu. Widziała już w wyobraźni, jak oburzona do głębi Rada Szkolna zwalnia ją z pracy. Siedzące za dziećmi żony nie przestawały uśmiechać się nerwowo, czas posuwał się zastraszająco wolno. Gdy wreszcie pogmatwano i pokręcono całą arytmetykę, John Whiteside podniósł się z krzesła.

– Dziękuję, panno Morgan – powiedział. – Jeśli pani pozwoli, powiem kilka słów do dzieci, a później może je pani zwolnić. Powinny mieć jakąś nagrodę za to, że musiały znosić naszą obecność.

Nauczycielka odetchnęła z ulgą.

– Więc pan zdaje sobie sprawę, że nie odpowiadały tak dobrze, jak zwykle? Cieszę się, że pan to rozumie.

John Whiteside uśmiechnął się. Widział już tyle zdenerwowanych młodych nauczycielek w czasie poprzednich wizytacji.

– Gdybym sądził, że to maksimum tego, na co je stać, zamknąłbym szkołę – powiedział.

Potem przez kilka minut przemawiał do dzieci – mówił im, że powinny się pilnie uczyć i kochać swoją nauczycielkę. Było to krótkie, nieszkodliwe przemówienie, które powtarzał od lat. Starsi chłopcy nieraz je słyszeli. Kiedy skończył, poprosił nauczycielkę, by puściła wszystkich do domu. Dzieci wyszły z klasy spokojnie, ale gdy tylko znalazły się na dziedzińcu, odczuły tak ogromną ulgę, że musiały jakoś się wyładować. Z wrzaskiem i krzykiem runęły na siebie, jakby chciały się nawzajem rozszarpać.

John Whiteside potrząsał rękę panny Morgan.

– Nigdy nie mieliśmy nauczycielki, która by utrzymywała w szkole taki porządek i karność – mówił serdecznie. – Gdyby pani zdawała sobie w pełni sprawę, jak bardzo dzieci panią lubią, czułaby się pani zażenowana.

– To dobre dzieci – rzekła lojalnie panna Morgan. – To bardzo dobre dzieci.

– No, naturalnie – zgodził się John Whiteside. – Ale, ale, jak tam daje sobie radę mały Maltby?

– Zdolny chłopak i dosyć niezwykły. Myślę, że jest wybitnie zdolny.

– Mówiliśmy o nim na zebraniu. Pani, naturalnie, wie, że u niego w domu nie wszystko jest tak, jak być powinno. Obserwowałem go dziś specjalnie. Biedne dziecko, nie ma się nawet w co ubrać.

– Tak, u niego w domu jest inaczej niż u innych dzieci – panna Morgan czuła, że powinna bronić Juniusa. – To nie jest zwykły dom, ale nie jest zły.

– Niech mnie pani źle nie rozumie, panno Morgan. Nie chcemy się wtrącać. Chcielibyśmy tylko dać mu trochę niezbędnych rzeczy. Jego ojciec jest bardzo biedny, wie pani.

– Wiem – powiedziała miękko.

– Pani Munro kupiła mu coś z ubrania. Może go pani zawoła, chcemy mu to dać.

– O nie, nie... – zaczęła.

– Dlaczego? Mamy dla niego kilka koszul, farmerki i parę bucików.

– Proszę pana, obawiam się, że go to zawstydzi. To bardzo dumny chłopiec.

– Zawstydzi go, że wreszcie będzie porządnie ubrany? Nonsens! Według mnie bardziej wstydzi się tego, że nie ma co na siebie włożyć. Poza tym już za zimno, żeby biegał boso. Od tygodnia są już w nocy przymrozki.

– Lepiej by było, żeby pan tego nie robił – rzekła bezsilnie. – Naprawdę lepiej by było tego nie robić.

– Czy pani nie przesadza? Pani Munro była tak dobra, że kupiła mu najpotrzebniejsze rzeczy. Proszę, niech go pani zaraz zawoła.

Chwilę potem Robbie już stał przed nimi. Nie obcięte włosy spadały mu na twarz, oczy jeszcze błyszcząły rozpalone zabawą na dziedzińcu. Grupa dorosłych zebrała się w klasie przed ławkami. Spoglądali na niego przyjaźnie, udając, że nie widzą jego podartej odzieży. Robbie patrzył dokoła niespokojnie.

– Pani Munro chce ci coś dać, Robercie – powiedziała nauczycielka.

Pani Munro wysunęła się i włożyła Robbie'emu paczkę w rękę.

– Jaki miły chłopczyk – powiedziała.

Robbie ostrożnie położył paczkę na podłodze i schował ręce za siebie.

– Rozpakuj to, Robercie – rzekł surowo Allen. – Bądź grzeczny!

Robbie spojrział na niego z wyrzutem.

– Tak, proszę pana – powiedział i rozwiązał sznurek.

Koszule, nowe farmerki i buciki leżały przed nim na podłodze. Wpatrywał się w nie i nic nie rozumiał. Nagle pojął. Twarz mu się gwałtownie zaczerwieniła. Przez chwilę patrzył dokoła nerwowo i niespokojnie, jak schwywane zwierzątko, i nagle rzucił się do drzwi. Rada Szkolna usłyszała jeszcze kroki na ganku i już go nie było.

Pani Munro spojrzała bezradnie na nauczycielkę.

– Co mu się stało? – dziwiła się.

– Poczut się dotknięty – rzekła panna Morgan.

– Ale dlaczego? Tacy byliśmy dla niego mili.

Nauczycielka starała się wytłumaczyć, o co chodzi. Ogarnął ją gniew.

– Myślę, proszę państwa, że on do tej chwili nie wiedział, że jest biedny.

– To moja wina – rzekł John Whiteside. – Strasznie mi przykro.

– Co mamy teraz zrobić? – zapytał Bert Munro.

– Nie wiem. Doprawdy, nie wiem.

Pani Munro zwróciła się do męża:

– Bert, najlepiej by było, gdybyś poszedł do pana Maltby i pomówił z nim przyjaźnie i delikatnie. Powiedz mu, że mali chłopcy nie powinni w zimie biegać boso. Może to by coś pomogło. Pan Maltby mógłby nakłonić Roberta, żeby wziął to ubranie. Jak pan myśli, panie Whiteside?

– Jestem temu przeciwny. Musielibyście mnie przegłosować. Popełniłem już jedno głupstwo.

– Według mnie, zdrowie jest ważniejsze niż uczucia – nastawała pani Munro.

Dwudziestego grudnia zamknięto szkołę na Święta Bożego Narodzenia. Panna Morgan wybierała się do Los Angeles. Gdy czekała przy rozstaju dróg na autobus do Salinas, ujrzała z daleka mężczyznę i małego chłopca idących w jej kierunku. Obaj mieli na sobie nowe, tanie ubrania i szli, jakby ich nogi bolały. Gdy zbliżyli się, panna Morgan poznała w chłopcu Robbie'ego. Był poważny i smutny.

– Robert! – zawołała. – Co się stało? Dokąd jedziesz?

– Jedziemy do San Francisco – rzekł mężczyzna.

Szybko podniosła na niego wzrok. Tak, to był Junius. Brodę miał zgołąną. Nie uświadamiała sobie przedtem, że jest taki stary. Nawet jego oczy, które dawniej wydawały się młode, teraz były stare. Twarz miał bladą, bo broda uchroniła ją przed słońcem. Jego rysy zastygły w wyrazie głębokiej zadumy.

– Wyjeżdżacie gdzieś na święta? – pytała panna Morgan. – Uwielbiam gwiazdkowe wystawy sklepów. Mogę całymi dniami je oglądać.

– Nie – rzekł powoli Junius. – Wyjeżdżamy stąd na dobre. Jestem buchalterem, proszę pani. Przynajmniej byłem dwadzieścia lat temu. Postaram się o jakąś posadę.

W jego głosie był ból.

– Dlaczego pan to robi? – spytała.

– Widzi pani – rzekł po prostu – nie wiedziałem, że wyrządzam krzywdę mojemu chłopcu. Nie myślałem o tym, a chyba powinienem. Pani rozumie, nie należy go chować w biedzie. Rozumie pani, prawda? Nie wiedziałem, co ludzie o tym myślą.

– Dlaczego nie zostanie pan na swojej farmie? Tam przecież dobra ziemia, prawda?

– Bo nie umiem z niej żyć. Nie znam się na farmerstwie. Jakub będzie próbował tam gospodarować, ale Jakub jest leniwy. Może później uda mi się sprzedać farmę, żeby Robbie mógł mieć te parę rzeczy, których nigdy nie miał.

Panna Morgan poczuła gniew, a jednocześnie zbierało jej się na łzy.

– Pan chyba nie przejmuje się tym, co ci wszyscy głupcy gadają!

Popatrzał na nią ze zdziwieniem.

– Oczywiście, że nie. Ale chłopca nie można wychowywać, jakby był zwierzątkiem, prawda?

Z daleka na drodze ukazał się autobus i zbliżał się w ich kierunku. Junius wskazał na Robbie'ego.

– On nie chce jechać. Uciekł mi na wzgórze. Schwytaliśmy go z Jakubem wczoraj wieczór. Widzi pani, za długo żył jak dzikie zwierzątko. I nie wie, jak pysznie będzie mu w San Francisco.

Autobus zatrzymał się ze zgrzytem. Junius i Robbie zajęli tylne miejsca. Panna Morgan chciała sięść przy nich, ale odwróciła się nagle i usiadła przy kierowcy.

– Oczywiście – powiedziała do siebie – oczywiście. Wolą być sami.

Stary Guiermo Lopez umarł, kiedy jego córki były już prawie dorosłe. Zostawił im czterdzieści akrów skalistego zbocza i ani grosza pieniędzy. Mieszkały dalej w białym, zbitym z desek domku, z przybudówką, studnią i szopą. Na ich nędznej ziemi nic nie chciało rosnąć prócz pokręconego zielska i dzikiej szalwii, a choć obie ciężko pracowały w swym ogródku warzywnym, niewiele udało im się wyhodować. Jakiś czas głodowały w ponurym męczeństwie, w końcu jednak potrzeby ciała zwyciężyły. Były zbyt grube i zbyt wesołe, żeby skazywać się na dobrowolne męki z tak niepobożnej przyczyny jak jedzenie.

Któregoś dnia Róża wpadła na świetny pomysł.

– Czy nasze tortille nie są najlepsze w całej dolinie? – zapytała siostrę.

– Przejęłyśmy kunszt ich wypieku od naszej matki – odparła z nabożeństwem Maria.

– Jesteśmy więc uratowane. Będziemy robiły wszystko: tortille, tamale i enchilady. Będziemy je sprzedawały ludziom w Las Pasturas del Cielo.

– Myślisz, że zechcą je kupować? – zapytała sceptycznie Maria.

– Posłuchaj tylko, Mario. W Monterey jest kilka miejsc, gdzie można dostać tortille, i ci, co je sprzedają, są bardzo bogaci. Sprawiają sobie nowe ubrania trzy razy do roku. A czy ich tortille mogą się równać z naszymi? Pytam cię o to przez pamięć naszej matki!

Oczy Marii napęły się łzami wzruszenia.

– Przenigdy! – oświadczyła gorąco. – Na całym świecie nigdy nie było tortilli takich, jak te, które ubijały święte ręce matki!

– Więc *adelante*, załatwione! – rzekła Róża z przekonaniem. – Jeśli są aż tak dobre, ludzie będą je kupowali.

Nastąpił tydzień gorączkowych przygotowań. Siostry w trudzie i znoju zabrały się do porządków. Gdy skończyły, ich domek był świeżo wybielony wewnątrz i na zewnątrz. Przed drzwiami zasadziły pelargonie, nagromadzone od lat śmiecie zebrały i spaliły. Frontowy pokój został przemieniony w restauracyjkę. Ustawiły w nim dwa stoliki nakryte żółtą ceratą. Tablica na płocie przy drodze ogłaszała:

TORTILLE, ENCHILADY, TAMALE
i inne hiszpańskie przysmaki
R. i M. LOPEZ

Interes szedł niezbyt dobrze. Właściwie wcale nie szedł. Siostry siedziały przy swych żółtych stolikach i czekały. Były dziecinne, wesołe i nie zanadto czyste. Cierpliwie czekały na szczęście. Ale niech tylko zjawił się klient, zrywały się, by mu usłużyć. Zachwycały się wszystkim, co powiedział, chwaliły swym szlachetnym pochodzeniem i znakomitością swoich wypieków. Z zapałem zakasywały rękawy po łokcie pokazując białosc skóry na dowód, że nie płynię w nich indiańska krew. Ale niewielu miały klientów.

Szło im coraz gorzej. Nie mogły piec zbyt dużej ilości tortilli, bo psuły się. Do tamali potrzebne było świeże mięso. Więc nastawiały sidła, chwytaly króliki i ptaki, wróble, kosy i skowronki trzymały w klatkach, póki nie potrzebowały ich do swoich tamali. Mimo to interes kulał.

Pewnego ranka Róża powiedziała stanowczo do siostry:

– Musisz zaprząć starego Lindo i jechać do Monterey. Nie mamy już kukurydzy. –

Włożyła srebrną monetę w dłoń Marii. – Kup tylko małą ilość. Jak nam pójdzie lepiej, zrobimy większy zapas.

Maria ucałowała siostrę i posłusznie zaczęła szykować się do drogi.

– I słuchaj, jeśli ci coś zostanie, kup sobie i mnie po cukierku, wiesz, takim dużym.

Gdy po południu Maria wróciła do domu, zastała siostrę niezwykle spokojną. Żadnych powitalnych okrzyków, pisków, dopytywania się o szczegóły podróży, co zawsze następowało po każdym rozstaniu. Róża siedziała sztywno w krześle i patrzyła przed siebie zamyślona.

Maria podeszła nieśmiało do niej.

– Udało mi się bardzo tanio kupić kukurydzę – powiedziała. – A tu, patrz, Rózo, mam cukierki. Największe, jakie były, i tylko po cztery centy!

Róża wzięła ogromny cukierek i wsadziła jeden koniec w usta. Maria siedła obok, a w jej czułym uśmiechu była prośba, żeby siostra podzieliła z nią ciężar swoich myśli. Róża siedziała jak głaz i ssała cukierek. Nagle zajrzała przenikliwie w oczy Marii.

– Dziś – rzekła uroczyście – dziś oddałam się klientowi.

Maria aż się zachłysnęła z podniecenia i ciekawości.

– Nie myśl tylko – mówiła Róża – że wzięłam za to pieniądze. Ten człowiek zjadł trzy enchilady! Pomyśl tylko. Trzy!

Maria zaczęła pochlipywać, jak nerwowe dziecko.

– Uspokój się – mówiła Róża. – Co mam począć? Jeśli nasz interes ma się rozwijać, to trzeba zachęcać klientów. On zjadł trzy enchilady, Mario, trzy! I zapłacił za nie. Więc... o co chodzi?

Maria, słysząc nieodparte argumenty siostry, siąknęła nosem i zebrała w sobie całą moralną odwagę.

– Wydaje mi się, Rózo – rzekła – wydaje mi się, że nasza matka byłaby zadowolona i duszy twej też by ulżyło, gdybyś poprosiła o przebaczenie Matkę Boską i świętą Różę.

Jej siostra uśmiechnęła się i objęła ją.

– Już to zrobiłam, Mario. Gdy tylko wyszedł. Jeszcze był tu, jak już się modliłam.

Maria wyrwała się z objęć siostry i z oczyma pełnymi łez pobiegła do swego pokoju. Dziesięć minut klęczała przed małym posążkiem Madonny. Potem wstała i rzuciła się w ramiona Róży.

– Rózo, siostró moja! – wykrzyknęła uszczęśliwiona. – Ja chyba... ja chyba też będę zachęcała klientów.

I siostry Lopez długo tuliły się w objęciach, a ich łązy radości mieszały się z sobą.

Od tego dnia nastąpiła radykalna zmiana w życiu sióstr. Co prawda nie opływały w dostatki, ale odtąd sprzedawały tyle hiszpańskich przysmaków, że nie brakło im już w kuchni jedzenia dla siebie i zawsze miały nowe, jaskrawe suknie na krągłych, rozłożystych ciałach. I dalej były głęboko pobożne.

Gdy tylko któraś zgrzeszyła, natychmiast klękała przed porcelanową figurką Madonny, umieszczoną teraz dla wygody w sieni, między drzwiami ich pokojów, i modliła się o przebaczenie. Nie dopuszczały do nagromadzenia się grzechów. Wyznawały każdy świeżo popełniony. Wypolerowały kolanami podłogę pod posążkiem Madonny w miejscu, gdzie klękały w nocnych koszulach.

Życie sióstr Lopez stało się przyjemne. Nie rywalizowały ze sobą, nie miały powodu, bo wyglądały niemal jednakowo. Tyle że Maria była nieco grubsza, a Róża – wyższa.

Teraz dom ich pełen był śmiechu i radości. Pochylone nad kamienną płytą, śpiewały ubijając tortille mocnymi, pulchnymi rękami. I niech tylko który z klientów pożartował sobie trochę, niech tylko Tom Breman powiedział zajadając trzecią tamalę: – Rózo, tobie się za dobrze

powodzi, cała się niedługo rozpękniesz z tego dobrobytu – a już obie siostry zanosily się od śmiechu. I potem w ciągu dnia, wciąż ubijając tortille, jeszcze sobie przypominały, jakie to było zabawne, i znowu wybuchały śmiechem. Umiały pielęgnować i podsycać śmiech, póki nie wyczerpały go bez reszty. – Don Tom – mówiły – to dopiero mężczyzna! Dowcipny człowiek i bogaty człowiek. Kiedyś zjadł pięć talerzy chile eon carne. I jest w nim coś, co nieczęsto znajdziesz u bogatego mężczyzny, to *hombre fueite*, o, bardzo mocny! – Pochylone nad kamienną płytą, kiwały głowami mądrze i refleksyjnie, niby subtelni znawcy wspominający smak wina wysokiego gatunku.

Wszelkie podejrzenia, że siostry zbyt skwapliwie zachęcały klientów, byłyby nie na miejscu. Pieniądze przyjmowały jedynie za jedzenie. Jeżeli jednak ktoś zjadł trzy lub więcej porcji ich przysmaków, miękkie serca sióstr zalewała fala wdzięczności i stawał się on godnym zachęty.

Pewnego fatalnego wieczoru jakiś klient, któremu nie starczyło apetytu na zjedzenie trzech enchilad, zaofiarował Róży pieniądze hańby. Stało się to wobec innych gości. Ofertę swą rzucił wśród gwaru ogólnej rozmowy. Wszyscy natychmiast umilkli, zapanowała przerażająca cisza. Maria zasłoniła dłońmi twarz. Róża zbladła, potem zapłonęła z wściekłości. Zionęła oburzeniem, oczy jej ciskały błyskawice. Jej pulchne, mocne ręce uniosły się niby dwa orły, zanim spoczęły na biodrach. I opanowując wzburzenie zaczęła mówić:

– Pan mnie obraził – głos jej brzmiał szorstko. – Pan może nie wie, że generał Vallejo jest niemal naszym przodkiem, niemal naszym bliskim krewnym. W żyłach naszych płynie niczym nie skażona krew. Co by generał Vallejo powiedział, gdyby to słyszał? Czy dłoń jego nie chwyciłaby za szpadę, gdyby w jego obecności obrażono damy tak blisko z nim spokrewnione? Mówi pan nam: „Jesteście kobietami hańby”. My, które pieczemy najcieńsze, najdelikatniejsze tortille w całej Kalifornii!

Oddychała ciężko z wysiłku, żeby się opanować.

– Ja nic takiego nie myślałem – jęknął winowajca. – Jak Boga kocham, nic takiego.

Gniew ją opuścił. Jedna jej ręka poderwała się z biodra – tym razem jak skowronek – i niemal ze smutkiem wskazała drzwi.

– Precz – rzekła łagodnie Róża. – Wiem, że pan nie chciał nas dotknąć, ale obraza jest obrazą.

I gdy skazaniec wymknął się już za próg, zawołała:

– Dla kogo chile con frijoles? Kto sobie życzy? Chile eon frijoles, jakich nie ma nigdzie na świecie!

Ale na ogół szczęśliwie się żyło obu siostram. Maria, która miała naturę subtelną i pełną słodyczy, posadziła więcej pelargonii przy domu i dzikie róże wzdłuż ogrodzenia. Kiedyś, będąc w Salinas, kupiły sobie nawzajem w prezencie czepeczki nocne, niby odwrócone gniazdko uwite z niebieskich i różowych wstążek. Cóż to była za radość! Stały obejmując się przed lustrem, zwróciły ku sobie twarze, uśmiechały się do siebie myśląc trochę smutno: „Cudowny dzień! Tę chwilę zawsze będziemy wspominały jako chwilę szczęścia. Szkoda, że nie może trwać dłużej”.

W obawie, że szczęście ich może być niezbyt długotrwałe, Maria zawsze stawiała wazony kwiatów przed figurką Madonny.

Ale złe przeczucia rzadko je nawiedzały. Maria kupiła gramofon i płyty – tanga i walce. Puszczały podczas pracy gramofon i klepały swe tortille w rytm muzyki.

Ale stało się to, co jest nieuchronne, i w dolinie Pastwisk Niebieskich zaczęto szeptać, że siostry Lopez są kobietami zepsutymi. Miejscowe panie chłodno je witały przy spotkaniu. Nie wiadomo, jak się dowiedziały. Na pewno nie od mężów, ale wiedziały, zawsze wiedzą.

Pewnego sobotniego ranka Maria wyniosła z szopy zniszczoną, pozszywaną uprzęż i

przystroila nią, niby festonami, kości starego Lindo.

– Nie bój się, przyjacielu – powiedziała, zapinając rzemień pod ogonem. – Teraz otwórz pysk, Lindo – mówiła zakładając wędzidło.

Potem wprowadziła go tyłem między dyszle antycznej bryki. Lindo umyślnie potknął się o dyszel, jak to zawsze od trzydziestu lat robił. Gdy Maria przymocowywała postronki upręży do bryki, odwrócił łeb i popatrzał na nią z filozoficznym smutkiem. Był już stary, nie obchodziło go nigdy, dokąd mają jechać, a nawet nie cieszyły powroty do domu. Obnażył długie, żółte zęby i wykrzywił się z niechęcią.

– Niedaleko – uspokajała go Maria. – Będziemy sobie wolniutko jechali. Nie masz się czego bać, Lindo.

Ale Lindo się bał. Nie cierpiał jazdy do Monterey i z powrotem.

Bryka przechyliła się gwałtownie, gdy Maria sadowiła się na ławeczce. Ostrożnie ujęła lejce.

– Ruszaj, Lindo! – zawołała. Koń zadrzał i obejrzał się. – Musimy jechać po zakupy do Monterey! Słyszysz?

Potrząsnął głową i zgiął kolano, jakby dygając.

– Lindo! – nagliła Maria. – Kazałam ci jechać! Myślisz, że ustąpię? Zaczynasz mnie irytować!

Gwałtownie potrząsnęła lejcami smagając boki konia. Lindo opuścił głowę nisko do ziemi, jak węszący pies, i ruszył wolno z podwórza. Dziewięć mil do Monterey i dziewięć z powrotem. Wiedział to i był zrozpaczony. Maria rozpogodziła się, usiadła wygodnie i zaczęła nucić „Walc księżycowy”.

Wzgórza lśniły rosą. Maria wdychała świeże, wilgotne powietrze i śpiewała coraz głośniej. Nawet Lindo poczuł się na tyle młody, że zaczął parskać. Polny skowronek przelatywał od słupa telegraficznego do słupa wyśpiewując zapamiętałe. Maria zobaczyła idącego drogą człowieka. Z daleka już poznała po jego niepewnym, jakby małpim kroku, że jest to Allen Hueneker, najbrzydszy i najbardziej nieśmiały człowiek w okolicy.

Allen Hueneker nie tylko chodził jak małpa – wyglądał jak małpa. Niejeden mały chłopiec, chcąc dokuczyć koledze, wskazywał palcem nadchodzącego Allena i mówił: – Tam idzie twój brat. – Uważano to za dotkliwą drwinę, śmiertelną obrazę. Allen był tak nieśmiały i tak przerażony własnym wyglądem, że usiłował zapaść bokobrody, by zasłonić twarz, ale rzadka, szorstka szczecina wyrastała w niewłaściwych miejscach, tylko wzmagając podobieństwo do małpy. Żona poślubiła go, bo miała już wtedy trzydzieści siedem lat. Allen zaś był jedynym mężczyzną, który nie umiał się przed nią obronić. Później okazało się, że należy ona do tych kobiet, których organizm wymaga uczucia zazdrości, żeby mógł normalnie funkcjonować. A że w życiu Allena nie zdarzało się nic, o co by mogła być zazdrosna, więc pomagała sobie fantazją. Opowiadała sąsiadom długie historie o jego sukcesach z kobietami, o jego niewierności i różnych miłosnych sprawkach. Tak długo opowiadała, aż sama uwierzyła, a sąsiedzi zaśmiewali się za jej plecami, bo każdy w Pastwiskach Niebieskich wiedział, jak nieśmiały i wiecznie przerażony jest ten niepozorny, brzydki człowieczek.

Stary Lindo kuśtykał już łeb w łeb z Allenem. Maria ściągnęła lejce, jakby wstrzymywała rozpędzonego, rasowego ogiera.

– Pomału, Lindo! Spokojnie! – wołała raczej niepotrzebnie, bo przy najmniejszym pociągnięciu lejc Lindo natychmiast kamieniał i przeistaczał się w posąg kompletnego wypoczynku.

– Dzień dobry – rzekła uprzejmie Maria.

Allen chyłkiem skradał się ku skrajowi drogi.

– Dzień dobry – powiedział oglądając z niezwykłym zainteresowaniem zbocze wzgórza.

– Jadę do Monterey – mówiła Maria. – Podwieźć pana?

Allen skurczył się w sobie i zaczął badać wzrokiem niebo, szukając obłoków czy jastrzębi.

– Ja tylko do autobusu – mruknął.

– To też kawałek drogi, nie?

Allen skubał bokobrody usiłując powziąć decyzję. W końcu, bardziej żeby wybrnąć z sytuacji niż dla wygody, wlaź do bryki i siadł obok grubej Marii. Z trudem uniosła się, by mu zrobić miejsce, i znowu opadła ciężko na ławeczkę.

– Jazda, Lindo! – zawołała. – Słyszysz? Bo mnie rozgniewasz! – Lejce zatrzepotały po karku Linda. Opuścił nos do ziemi i ruszył chwiejnie.

Jechali w milczeniu, póki Marii nie przypomniało się, że uprzejmość wymaga rozpoczęcia rozmowy.

– Jedzie pan gdzieś dalej? – spytała.

Allen wpatrywał się w mijany dąb i milczał.

– Nigdy nie jechałam pociągiem – zwierzyła się Maria po chwili – ale moja siostra Róża jeździła. Raz do San Francisco i raz z powrotem. Podobno bogaci ludzie uważają, że podróż to dobra rzecz. Moja rodzona siostra Róża mówi to samo.

– Ja tylko do Salinas – rzekł Allen.

– Byłam tam wiele razy. Mamy bliskich przyjaciół w Salinas. Nasza matka stamtąd pochodziła. A nasz ojciec woził tam drzewo.

Allen walczył z nieśmiałością.

– Mój stary Ford się zepsuł – oświadczył. – Inaczej pojechałbym Fordem.

To wywarło wrażenie na Marii.

– Ma pan Forda?

– To bardzo stary wóz.

– Nieraz sobie mówiłyśmy, Róża i ja, że nieźle by było mieć Forda. Wszędzie byśmy sobie jeździły. Podobno bogaci ludzie uważają, że podróż to dobra rzecz.

Jak, gdyby dla podkreślenia tego, co mówiła, zza wzgórza wyłonił się stary Ford i z hukiem pędził w dół prosto na nich. Maria mocniej chwyciła lejce.

– Spokojnie, Lindo! – zawołała.

Lindo nie zwrócił najmniejszej uwagi ani na samochód, ani na Marię. Fordem jechał Bert Munro z żoną. Bert omal nie skręcił karku oglądając się, gdy ich mijali.

– Rany! Widziałaś? – spytał żonę ze śmiechem. – Widziałaś tego starego uwodziciela z Marią Lopez?

Pani Munro uśmiechnęła się tylko.

– A to byłby kawał powiedzieć pani Hueneker, żeśmy widzieli, jak jej mąż uciekał z Marią! Co? – mówił Bert.

– Nie waż się tego robić – powiedziała stanowczo jego żona.

– Ale byłoby śmiechu! Przecież wiesz, co ona opowiada.

– Nie rób tego, Bert!

Tymczasem Maria dalej gwarzyła ze swoim opornym gościem.

– Pan nigdy do nas nie przychodzi na enchilady – mówiła. – Nie ma to jak nasze. Bo, wie pan, matka nas nauczyła, jak je robić. Kiedy żyła, to nawet w San Juan, nawet w Gilroy mówiono, że nikt nie potrafi piec takich enchilad jak ona! A trzeba wiedzieć, że wszystko zależy, jak je się ubija, nic innego jak tylko to daje im właściwy smak i cienkość. Nikt nigdy, nawet

Róża, nie ubija enchilad tak długo, jak matka to robiła. Właśnie jadę do Monterey po mąkę, bo tam tańsza.

Allen Hueneker siedział skulony i modlił się, żeby już wreszcie dojechali do przystanku autobusowego.

Późnym popołudniem Maria wracała z Monterey.

– Zaraz będziemy w domu! – wołała radośnie do Linda. – Jeszcze mały kawałeczek. Odwagi, przyjacielu!

Wrzała niecierpliwością powrotu. W przystępie szaleńczej rozrzutności kupiła aż cztery duże cukierki. Ale to jeszcze nie wszystko. Wiozła prezent dla Róży: parę szerokich, jedwabnych podwiązek z wielkimi, czerwonymi makami naszytymi po bokach. Oczyma wyobraźni widziała, jak Róża zakłada podwiązki, a potem unosi – naturalnie bardzo skromnie – spódnicę. Będą się razem przyglądały podwiązkom w lustrze ustawionym na podłodze. Róża lekko wysunie czubek pantofla i będą płakać ze szczęścia.

Wolno rozprzęgała konia na podwórzu. Dobrze jest odwlec czekającą radość, jest potem tym większa. Dom był bardzo spokojny. Nie stały przed nim żadne pojazdy, znaczy, że nie ma klientów. Powiesiła w szopie uprzęż i wyprowadziła Linda na łąkę. Potem wzięła cukierki i podwiązki i wolno weszła do domu. Przy jednym ze stolików siedziała Róża. Róża cicha i spokojna, Róża smutna i cierpiąca. Jej oczy były szklane i niewidzące. Pulchne, mocne ręce leżały na blacie i nie odwróciła się, nie poruszyła, gdy Maria weszła. Więc Maria zatrzymała się i patrzyła na nią.

– Różo – rzekła nieśmiało – Różo, wróciłam do domu. – Jej siostra wolno skierowała na nią wzrok.

– Tak – powiedziała.

– Jesteś chora, Różo?

Szklane oczy znowu patrzyły w stół.

– Nie.

– Przywiozłam ci prezent. Spójrz, Różo.

Trzymała w rękach dwie podwiązki.

Wolno, bardzo wolno oczy Róży podniosły się i spojrzały na przepiękne czerwone maki, a potem na twarz Marii. Maria czekała na głośny okrzyk zachwytu. Ale powieki Róży opadły i dwie grube łzy spłynęły po obu stronach nosa.

– Widzisz, co ci przywiozłam? Nie podobają ci się, Różo? Nie założysz ich?

– Jesteś moją kochaną, dobrą siostrzyczką.

– Różo, powiedz, co się stało? Może jesteś chora? Powiedz swojej Marii. Czy ktoś tu był?

– Tak – rzekła bezdźwięcznie Róża. – Szeryf.

Maria wybuchła radosnym podnieceniem.

– Szeryf? Sam szeryf? No, teraz dopiero nam świetnie pójdzie! Będziemy bogate! Ile zjadł enchilad? Powiedz, Różo, ile enchilad dla pana szeryfa?

Róża strząsnęła z siebie apatię. Podeszła do Marii i objęła ją macierzyńskim uściskiem.

– Moja kochana, mała siostrzyczko – powiedziała. – Nie będziemy już nigdy sprzedawały enchilad. Będziemy żyły jak dawniej. Skończyło się kupowanie nowych sukienek.

– Różo, chyba oszalałaś! Dlaczego tak mówisz?

– Bo to prawda! Szeryf był tutaj. „Otrzymałem skargę – powiedział. – Otrzymałem skargę, że prowadzicie tu dom zepsucia”. „Ależ to kłamstwo i obraza naszej matki i generała Vallejo” – ja mu na to. „Otrzymałem skargę – powtórzył. – Nie wolno wam nikogo wpuszczać za próg albo aresztuję was za prowadzenie domu zepsucia”. „Ależ to kłamstwo” – starałam się mu wytłumaczyć. „Dziś po południu otrzymałem skargę – powiedział – a jak otrzymam skargę, to

nic nie mogę poradzić, bo widzisz, Rózo – mówił bardzo przyjaźnie – bo widzisz, Rózo, jestem po to, by służyć tym, którzy się skarżą”.

Odeszła od skamieniałej siostry i znów siadła przy stole. Maria usiłowała pojąć, co się naprawdę stało, i po chwili zaczęła histerycznie płakać.

– Uspokój się – powiedziała Róza. – Myślałam już nad tym wszystkim. Sama wiesz, że czeka nas głód, jeśli me będziemy mogły sprzedawać enchilad. I powiem ci, że już wiem, co zrobić. Słuchaj, Mariol Pojadę do San Francisco i stanę się naprawdę zepsutą kobietą.

Opuściła głowę nisko na swe pulchne ręce. Płacz Marii ustał. Podeszła do siostry.

– Za pieniądze? – szepnęła przerażona.

– Tak – załkała gorzko Róza. – Za pieniądze. Za mnóstwo pieniędzy! I niech mi nasza matka przebaczy!

Maria odsunęła się od siostry, wybiegła do sieni i stanęła przed porcelanową Madonną.

– Paliłam ci świece – krzyczała – i przynosiłam świeże kwiaty każdego dnia! Matko Święta, co się z nami dzieje? Czemu dopuściłaś do tego?

Potem klękała i odmówiła pięćdziesiąt Zdrowaś Maria. Wreszcie przeżegnała się i wstała z kolan. Twarz jej wyrażała napięcie i zdecydowanie.

Obok w pokoju Róza wciąż siedziała pochylona nad stołem.

– Rózo! – zawołała spazmatycznie. – Jestem twoją siostrą, a więc jestem, czym ty jesteś!

– Wzięła głęboki oddech. – Rózo, pojadę z tobą do San Francisco. Ja też będę zepsutą kobietą.

To przerwało zadumę Rózy. Szeroko rozwarła ramiona.

Siostry Lopez długo płakały tuląc się nawzajem w objęciach.

8

Molly Morgan wysiadła w Salinas z pociągu i czekała trzy kwadranse na autobus. Wielki samochód był pusty, prócz Molly i kierowcy nikt nie jechał.

– Nigdy nie byłam w Pastwiskach Niebieskich – odezwała się Molly. – Daleko tam od głównej drogi?

– Będzie ze trzy mile – rzekł kierowca.

– Czy znajdę jakie auto, żeby mnie odwiozło na miejsce?

– Nie. Chyba że ktoś przyjedzie po panią.

– A jak normalnie można się tam dostać?

Kierowca z widoczną satysfakcją przejechał leżące na drodze, rozpląszczone ciało królika.

– Żywego bym nie ruszył – wyjaśnił. – Zawsze wymijam, jak je w nocy reflektor oślepi.

– Tak, tak. Ale jak ja się dostanę do Pastwisk Niebieskich?

– A na piechotę. Wszyscy tam idą pieszo, chyba że ktoś podjedzie na spotkanie.

Pomógł jej wysiąść u wylotu bocznej drogi. Molly Morgan, chcąc nie chcąc, podniosła walizkę i ruszyła pod górę. Stary ciężarowy Ford zahamował tuż koło niej.

– Idzie pani do doliny?

– Tak, tam idę.

– Pani siada. Nie ma się co bać. Jestem Pat Humbert z Pastwisk.

Molly spojrzała na jego pokrytą kurzem twarz i też mu się przedstawiła.

– Jestem nową nauczycielką. To znaczy, mam nadzieję, że będę. Czy wie pan, gdzie mieszka pan Whiteside?

– Pewnie że wiem. Będziemy tamtędy jechać. On jest sekretarzem Rady Szkolnej. Ja też jestem w Radzie. Wie pani, zastanawialiśmy się, jak pani wygląda.

Powiedział to, zawstydził się i zaczerwienił pod warstwą kurzu.

– Znaczy, jaka w ogóle pani jest – poprawił się. – Z naszą ostatnią nauczycielką były same kłopoty. Niby nic takiego, tyle że nerwowa. W końcu wyjechała z powodu choroby.

Molly skubała czubki palców swoich rękawiczek.

– Mam się zgłosić do pana Whiteside'a. Tak mi piszą w liście. To porządny człowiek? Nie, nie o to mi chodzi. Chciałam zapytać – czy on... jaki on w ogóle jest?

– O, wszystko będzie dobrze. To zacy człowiek. I niemłody. Urodził się w tym samym domu, w którym dziś mieszka. Porządny człowiek. Kończył szkołę. Jest sekretarzem naszej Rady od dwudziestu lat.

Gdy Molly została sama przed dużym, starym domem, ogarnęło ją przerażenie.

– Trudno – powiedziała do siebie. – Nie ma się w końcu czego bać. Nie zje mnie przecież.

Molly miała dopiero dziewiętnaście lat. Zdawało jej się, że ta pierwsza rozmowa w sprawie pierwszej posady zaważy na całym jej życiu.

Bynajmniej nie uspokoiła jej dróżka wiodąca od furki do drzwi domu. Wiodła między gęstymi rabatami kwiatów, obrzeżonymi równo przyciętym bukszpanem. Rabaty te założono jakby z upomnieniem: „Rośnijcie i rozmnażajcie się, ale nie rośnijcie zbyt wysoko i nie rozmnażajcie się zbyt bujnie – a nade wszystko nie wkraczajcie na ścieżkę.” Znać było na tych kwiatach rękę człowieka, który kierował i naprawiał błędy. Duży, biały dom wyglądał bardzo godnie. Żaluzje z żółtego drzewa opuszczono, by nie wcisnęło się do środka słońce południa.

Dopiero gdy się znalazła w połowie drogi od furtki, mogła zobaczyć samo wejście i werandę – obszerną, ciepłą i życzliwą jak rozłożone w powitalnym geście ramiona.

„Gościnność domu poznaje się po wejściu” – przeleciało jej przez głowę.

Ale mimo zapraszającej werandy wiodących do niej szerokich stopni była onieśmielona i pełna lęku, gdy pociągała za sznur dzwonka. Wielkie drzwi rozwarły się, stanęła w nich miła, duża kobieta i uśmiechnęła się do Molly.

– Mam nadzieję, że panienka niczego nie sprzedaje – rzekła pani Whiteside. – Nigdy nic nie chcę kupować, ale zawsze kupuję i potem jestem wściekła.

Molly roześmiała się. Poczowała się nagie bardzo szczęśliwa. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była wystraszona.

– Nie, nie! – zawołała. – Jestem nową nauczycielką. Dostałam list, że mam się zobaczyć z panem Whiteside'em. Czy zastałam go w domu?

– Właśnie kończy obiad. A pani już jadła?

– O, naturalnie. To znaczy – nie.

Pani Whiteside zaśmiała się i zaprosiła ją do środka.

– Dobrze przynajmniej, że jest pani tego pewna.

Zaprowadziła Molly do obszernej jadalni, gdzie stały oszklone mahoniowe szafki z zastawą. Na kwadratowym stole były nie uprzątnięte jeszcze talerze i półmiski.

– Widać John zjadł już obiad i poszedł. Niech pani siada, zaraz przyniosę pieczeń.

– Ależ nie. Naprawdę, dziękuję bardzo Pomówię tylko z pani mężem.

– Niech pani siada. Musi się pani pokrzepić, nim będzie pani miała z Johnem do czynienia.

– Czy... czy on jest bardzo surowy? Znaczy się... dla nowych nauczycielek?

– To zależy – rzekła pani Whiteside. – Jeśli przed widzeniem się z nim nie zjedzą porządnego obiadu, rzuca się na nie jak niedźwiedź. I ryczy przy tym. Ale jak wie, że zjadły obiad, traktuje je tylko ze zwykłym sobie okrucieństwem.

Molly roześmiała się beztrzesko.

– Na pewno ma pani dzieci – powiedziała. – O, na pewno wychowała pani mnóstwo dzieci i kocha je pani.

Pani Whiteside nachmurzyła się.

– Mam tylko jedno. I to ono mnie wychowało. Wychowało mnie, jak się patrzy. Za dużo tego było dla mnie. Teraz wychowuje krowy, biedactwo. Nie bardzo wysoko zaszło.

Kiedy Molly skończyła jeść, pani Whiteside otworzyła boczne drzwi i zawołała:

– John, przyszedł ktoś do ciebie!

Lekko wepchnęła Molly do pokoju będącego czymś w rodzaju biblioteki, bo stały tam półki, a na nich stare, grube tomy ze złotymi tłoczeniami. Ale była to jednocześnie bawialnia. Kominek z czerwonej cegły zdobiły wazy niezwykłego kształtu, a powyżej, na wbitym w ścianę haku, wisiała piankowa faja, niby strzelba na ramieniu myśliwego. Przy kominku stały wielkie, kryte skórą fotele na biegunach, skrzypiące przy lada poruszeniu. Wreszcie pokój ten był również czymś w rodzaju gabinetu, bo jeden jego kąt zajmowało ogromne staroświeckie biurko amerykańskie, za którym siedział John Whiteside. Spojrzał na Molly i zobaczyła najłagodniejsze, a zarazem najpoważniejsze oczy, jakie w życiu widziała – i najbielsze, jakie kiedykolwiek widziała, włosy. Niebieskawobiałe, jedwabiste, cała ich strzecha.

– Jestem Mary Morgan – zaczęła oficjalnie.

– Ach tak, spodziewałem się pani. Proszę, niech pani siada.

Siadła na jednym z wielkich foteli, którego sprężyny jęknęły niby w słodkim bólu.

– Lubię takie fotele – powiedziała. – Kiedy byłam mała, mieliśmy jeden taki w domu. –

Naraz poczuła się głupio. – Przyszłam w sprawie posady nauczycielki. Dostałam list, że mam się do pana zgłosić.

– Niech się pani czuje całkiem swobodnie, panno Morgan. Od lat zajmuję się przyjmowaniem nowych nauczycielek do naszej szkoły, i przyznam się, że dotychczas nie wiem, jak się do tego zabrać – rzekł z uśmiechem.

– Och, jak to dobrze, proszę pana. Bo ja nigdy jeszcze nie szukałam pracy i mam wielką treść.

– No cóż, proszę pani, wyobrażam sobie, że w naszej rozmowie powinienem dowiedzieć się coś nieośmielona o tym, co pani dotychczas robiła. Teraz, gdy już wiadomo, o co mi chodzi, będzie się pani pewnie czuła jeszcze bardziej onieśmielona i będzie się pani starała wyrzucić na mnie jak najlepsze wrażenie. Ale wystarczy mi zupełnie, jeśli powie mi pani kilka słów o sobie, skąd pani pochodzi i jaka pani jest...

Molly szybko skinęła głową.

– Rozumiem. Postaram się to zrobić, proszę pana – powiedziała i cofnęła się myślami do przeszłości.

Stary, zaniedbany dom z obszernym gankiem, na nim oparte o poręcz balie. Wysoko, na stojącej przy domu wierzbie siedzą jej dwaj bracia, Joe i Tom. Wspinają się po trzeszczących gałęziach i krzyczą: – Jestem orłem! – A ja papugą! – A teraz jestem kurą! – Patrz!

Drzwi z siatką drucianą wychodzące na ganek uchylają się i matka ruchem pełnym zmęczenia opiera się o futrynę. Jej włosy nigdy nie chcą się gładko ułożyć, żeby nie wiedzieć jak długo je czesała. Grubymi strączkami opadają na twarz. Oczy ma zawsze zaczerwienione, dłonie i przeguby rąk boleśnie spękane.

– Tom! Joe! – woła. – Bo jeszcze pospadacie! Zawsze mam z wami tyle zmartwienia! Czy już zupełnie nie kochacie waszej mamy?

Głosy na wierzbie cichną. Rozkrzywane duchy orła i kury pograżają się w wyrzutach sumienia. Molly siedzi na ziemi owijając starannie jakiś patyk gałgankami i wyobraża sobie, że jest to smukła, pięknie wystrojona dama.

– Molly, chodź tu i pobądź ze mną. Jestem dziś tak zmęczona!

Molly wbija patyk w ziemię.

– Zaraz wrócę i spuszczę ci lanie na goły tyłek, moja panno – szepcze do patyka i posłusznie wchodzi do domu.

Matka siedzi w kuchni na krześle.

– Chodź tu do mnie bliżej, Molly – mówi. – Posiedź ze mną chwilę. Ach, kochaj mnie, Molly! Kochaj choć troszkę mamusię! Wiesz dobrze, że jesteś moją najmilszą córeczką!

Molly wierci się w krześle.

– Nie kochasz swojej mamusi?

Molly czuje się bardzo nieszczęśliwa. Za chwilę matka zacznie płakać, będzie musiała gładzić jej postronkowane włosy. I ona, i jej bracia wiedzą, że mamę należy kochać. Wszystko dla nich robi, wszystko. Wstydzą się sami przed sobą, że nie cierpią być blisko przy niej – nic nie mogą na to poradzić. Kiedy ich woła, gdy są poza zasięgiem jej wzroku, kryją się, udają, że nie słyszą, mówią do siebie szeptem.

– Więc powiem od razu, że byliśmy bardzo biedni – zaczęła Molly. – Była to chyba prawdziwa nędza. Miałam dwóch braci, obaj trochę ode mnie starsi. Ojciec był komiwojażerem, ale matka musiała ciężko w domu pracować. Bardzo, bardzo ciężko.

Mniej więcej raz na sześć miesięcy przychodziło to wielkie wydarzenie. Wczesnym rankiem matka cicho wysuwała się z sypialni. Włosy już wyszczotkowała – najlepiej, jak mogła. Oczy jej błyszczały, była szczęśliwa i prawie ładna. Mówiła cicho – Nie hałasujcie, dzieci. Ojciec przyjechał.

Molly i jej bracia wymykali się z domu, ale nawet na podwórzu mówili podnieconym szeptem. Wieść szybko obiegała sąsiedztwo. Wkrótce podwórze było pełne szepczących dzieci.

– Podobno przyjechał wasz ojciec? Czy to prawda? Gdzie teraz był?

Do południa zbierało się już na podwórzu kilkanaścioro dzieci, które czekały w napięciu, przestrzegając się wzajemnie, że trzeba się cicho zachowywać.

Wreszcie drzwi otwierały się, gwałtownie uderzając o mur. Z domu wybiegał ojciec.

– Hej! – wołał. – Hej, dzieciarnia!

Molly i jej bracia rzucali się do niego, czepiali się jego nóg, a on chwycił ich i podrzucał w powietrze niby kocięta.

Pani Morgan trzepotała się dokoła, gdacząc jak podniecona kura.

– Malcy, malcy! Nie podrzyjcie ojcu ubrania.

Dzieci sąsiadów fikały koziołki, wrzeszczały i tłukły się nawzajem z radości. To było prawdziwe święto!

– Zaraz zobaczycie, co wam przywiozłem! – wołał ojciec. – Zaraz zobaczycie! Ale na razie to sekret!

I gdy ogólna histeria uspokoiła się nieco, wynosił na ganek walizkę i otwierał. Były w niej prezenty zupełnie niebywałe: mechaniczne zabawki, jakich nikt dotąd nie widział – pełzające żuki, tańczący Murzyni z drzewa, wspaniałe koparki. I śliczne szklane kulki z niedźwiedziami i psami w środku. Miał dla każdego jakiś prezent, po kilka prezentów. Było tak, jakby wszystkie największe święta zbiegły się jednego dnia.

Zwykle dopiero późnym popołudniem dzieci uspokajały się na tyle, że przestawały wrzeszczeć wszystkie naraz. George Morgan siadał wówczas na schodkach, dzieci zbierały się wokół niego, a on opowiadał swoje przygody. Tym razem był w Meksyku, właśnie gdy wybuchła rewolucja. I był w Honolulu, i widział wulkan, i jeździł tratwą po rwącej rzece. Zawsze opowiadał o miastach i ludziach – dziwnych miastach i dziwnych ludziach. Zawsze miewał niebywałe przygody i setki zabawnych przeżyć, znacznie zabawniejszych niż to, co dotąd dzieci słyszały. Niepodobna było wszystkiego za jednym zamachem opowiedzieć, więc przychodziły po szkole następnego dnia i następnego. Po całym świecie włóczył się George Morgan, żeby kolekcjonować swoje wspaniałe przygody.

– Jeśli chodzi o moje życie rodzinne – mówiła panna Morgan – to jakbym nie miała ojca. Rzadko przyjeżdżał do domu ze swych podróży handlowych.

John Whiteside kiwnął poważnie głową.

Ułożone na kolanach dłonie Molly poruszyły się niespokojnie, oczy jej się zamgliły.

Kiedyś przywiózł w pudle krótkonogiego, wełnistego szczeniaka, który natychmiast narobił na podłogę.

– Jakiej rasy jest ten pies? – tonem znawcy zapytał Tom.

Ojciec zaśmiał się głośno. Taki był młody! Wyglądał o dwadzieścia lat młodziej niż matka.

– To pies półtoral dolarowy – wyjaśnił. – Za półtora dolara można kupić wielorasowego psa. To jest tak... Przypuśćmy, że idziesz do sklepu ze słodyczami i mówisz: „Proszę mieszankę owocową za pięć centów”. Ja też wszedłem do sklepu i powiedziałem: „Proszę psią mieszankę za

półtora dolara". I dali mi tego psa. Taka jest jego rasa. Będzie należał do Molly i ona musi mu wybrać imię.

– Chcę, żeby się nazywał George, jak ty, tatusiu – rzekła Molly.

Ojciec skłonił się jakoś dziwnie. – Dziękuję ci, Molly – powiedział. I wszyscy zauważyli, że wcale się z niej nie wyśmiewał.

Następnego ranka Molly wstała bardzo wcześnie. Wyprowadziła George'a na podwórze chcąc wszystko mu pokazać i we wszystko wtajemniczyć. Odkopła skrytkę, w której leżały zagrzebane dwa pensy i złoty guzik z munduru policjanta. Oparła go przednimi łapami o płot, żeby mógł popatrzeć na ulicę i na budynek szkolny. W końcu wdrapała się na wierzbę przyciskając George'a ramieniem do siebie. Tom wyszedł z domu i kręcił się niespokojnie pod drzewem.

– Uważaj, bo go upuścisz! – zawołał i w tym samym momencie szczeniaczek poruszył się i z nieprzyjemnym plaśnięciem spadł na twardą, ubitą ziemię. Jedna nóżka zgięła się pod nieprawdopodobnym kątem, zaczął wyc głośno i przeraźliwie, przerywając wycie żałosnym skomleniem. Molly zsunęła się z drzewa otępieła ze zgrozy. Tom stał z pobladałą, wykrzywioną twarzą, a psiak wył i skowyczał bez przerwy.

– Nie można go tak zostawić! – krzyczał Tom. – Nie można go tak zostawić!

Rzucił się do stosu drzewa na opał i szybko wrócił z siekierą. Molly była zbyt oszołomiona, żeby w czas odwrócić wzrok. Tom zamknął oczy i uderzył. Skowyt nagle ustał. Tom odrzucił siekiere i przeskoczył przez płot. Molly widziała, jak ucieka, jakby go kto gonił.

W tym samym momencie ojciec i Joe wyszli z domu. Molly pamięta jeszcze twarz ojca, ściągniętą i poszarzałą, gdy patrzył na szczeniaka. Widok twarzy ojca wyzwolił w niej płacz.

– Upuściłam go i potłukł się, i Tom go uderzył, a potem uciekł.

W jej głosie brzmiał wyrzut. Ojciec przytulił ją do swego uda.

– Biedny Tom! – powiedział. – Pamiętaj, Molly, nigdy nie mów z nim o tym, co się stało. Nigdy nie patrz na niego tak, jakbyś o tym nie mogła zapomnieć. – Zarzucił worek na ciało pieska. – Musimy wyprawić mu pogrzeb – mówił dalej. – Czy opowiadałem wam kiedy, jak raz byłem na chińskim pogrzebie? Jak rzucali kolorowe papierki w powietrze i kładli małe pieczone prosiaczki na grób?

Joe przysunął się bliżej do ojca, w oczach Molly błysnęło zaciekawienie.

– To było tak...

Molly podniosła wzrok na Johna Whiteside'a, który w skupieniu patrzył na czystą kartkę papieru leżącą przed nim na biurku.

– Kiedy miałam dwanaście lat, mój ojciec zginął w wypadku...

Wspaniałe odwiedziny ojca trwały zwykle około dwóch tygodni. Zawsze jednak nadchodziło popołudnie, kiedy George Morgan wybierał się do miasta i wracał dopiero późną nocą. Matka kładła dzieci spać wcześniej, ale słyszały, jak przychodzi, jak zatacza się i potyka o meble. Przez ścianę słyhać było jego głos. I wtedy, tylko wtedy brzmiał w nim smutek i zniechęcenie. Leżące w łózkach dzieci wstrzymywały oddech. Wiedziały, co to znaczy. Rano ojciec wyjdzie, zabierając ze sobą ich serca.

Ale rozmowy o jego przygodach i czynach trwały nieustannie. Ojciec wydawał się im radosnym argonautą, srebrnym rycerzem. Cnota, Odwaga i Piękno były w jego herbie.

– Kiedyś – mówili chłopcy – kiedyś, jak będziemy dorośli, wybierzemy się z nim razem i zobaczymy to wszystko.

– Ja też pojedę – napierała się Molly.

– O nie, jesteś dziewczyną, nie będziesz mogła jechać.

– Ale on mi pozwoli, na pewno pozwoli. Sam mnie ze sobą zabierze. Zobaczycie!

Po jego wyjeździe matka znowu popłakiwała, znowu miała czerwone oczy. Gderliwie żądała od swych dzieci miłości, jakby to była paczuszka, którą mogli włożyć jej do ręki.

Raz ojciec wyjechał i więcej nie wrócił. Nigdy nie przysyłał im pieniędzy, nigdy nie pisał, ale tym razem znikł na dobre. Czekali dwa lata, aż matka powiedziała, że ojciec pewnie nie żyje. Dzieci zadrżały na samą myśl, nie chciały w to uwierzyć, bo czyż mógł umrzeć ktoś tak piękny i doskonały jak ojciec? Gdzieś tam, na końcu świata, przeżywa właśnie wspaniałe przygody. Jakieś bardzo ważne sprawy nie pozwalają mu wrócić. I przyjedzie pewnego dnia, jak tylko będzie mógł. Znowu się zjawi któregoś ranka z mnóstwem prezentów jeszcze piękniejszych niż zwykle i z zapasem jeszcze ciekawszych niż zwykle opowieści. Ale matka twierdziła, że musiał go spotkać jakiś wypadek. Na pewno nie żyje. Nie wiedziała, co począć, jak sobie dać radę. Czytała ogłoszenia szukając pracy, którą mogłaby wykonywać w domu. Dzieci robiły kwiaty z papieru i wstydliwie próbowały je sprzedawać. Później chłopcy starali się zarobić zdobywaniem prenumeratorów dla pism. Cała rodzina głodowała. W końcu Tom i Joe mieli tego dosyć, uciekli z domu i zaciągnęli się do marynarki. Molly widywała ich rzadko, równie rzadko jak dawniej ojca. Ale nie bolała nad tym; zmienili się bardzo, stali się głośni i nieokrzesani, byli jej obcy.

– Skończyłam szkołę, wyjechałam do San Jose i wstąpiłam do Seminarium Nauczycielskiego. Pracowałam w domu państwa Morit, w zamian za pokój i utrzymanie. Moja matka umarła, kiedy byłam jeszcze w szkole, więc można by powiedzieć, że jestem sierotą.

– To smutne – szepnął miękko John Whiteside.

Molly zarumieniła się.

– Nie powiedziałam tego, żeby wzbudzać współczucie, proszę pana. Tylko że pan chce wszystko o mnie wiedzieć. Każdy z czasem staje się sierotą.

– Tak – zgodził się. – Ja też właściwie jestem.

Molly pracowała na pokój i utrzymanie. Była zwykłą służącą, tylko że nie dostawała żadnej pensji. Pieniądze na ubranie zarabiała pracując w sklepie w czasie letnich wakacji. Pani Morit dawała dobrą szkołę swoim dziewczętom.

– Mogę wziąć do siebie taką, co nic nie umie, co nie jest warta nawet centa – mawiała często – a już po półrocznej pracy u mnie może łatwo zarobić pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Różne panie wiedzą o tym i wyrwywają sobie moje dziewczyny. Taką, która skończyła szkołę, mam po raz pierwszy, ale nawet ona wykazuje pewne postępy. Tylko że za dużo czyta. Uważam, że służąca powinna już spać o dziesiątej, bo inaczej nie może dobrze pracować.

Metoda wychowawcza pani Morit polegała na ustawicznym łajaniu i krytyce wygłaszanej równym, stanowczym głosem:

– Molly, ja nie czepiam się drobiazgów, ale jeśli nie będziesz starannie wycierać srebra, to porobią się smugi. Nóż do masła kładzie się tutaj, a tam trzeba postawić szklanę.

– Zawsze staram się wszystko dokładnie wyjaśnić – mówiła pani Morit swoim przyjaciółkom.

Wieczorem, po zmyciu naczyń, Molly siadała na łóżku i zaczynała się uczyć. Po zgaszeniu światła kładła się i rozmyślała o ojcu. Wiedziała, że to strata czasu, że to po prostu śmieszne. Pojawiał się w drzwiach w cylindrze, tużurku i spodniach w prążki. W ręku miał ogromny bukiet czerwonych róż.

– Nie mogłem przyjść wcześniej, Molly – mówił. – Szybko, wkładaj płaszcz. Przede wszystkim pójdziemy kupić tę wieczorową suknię, która jest na wystawie u Prausta. Ale musimy

się spieszyć. Już mam bilety na wieczorny pociąg do Nowego Jorku. Prędeż, Molly! Nie gap się tak na mnie!

To było śmieszne i głupie. – Ojciec umarł. Nie, w głębi duszy w to nie wierzyła. Gdzieś tam żyje sobie wspaniale i kiedyś wróci.

Molly powiedziała raz w szkole do jednej z przyjaciółek:

– Właściwie nie wierzę w to, a jednocześnie nie jestem pewna. Gdybym była przekonana, że on nie żyje, byłoby to dla mnie straszne. Nie wiem, co bym zrobiła. Nie chcę nawet myśleć.

Kiedy umarła jej matka, Molly nie odczuła prawie nic poza zawstydzeniem. Matka tak bardzo pragnęła, by ją kochano, ale nie umiała wzbudzać miłości. Jej ciągłe domaganie się uczucia odstręczyło od niej dzieci.

– Tak, to chyba już wszystko – powiedziała Molly. – Dostałam dyplom i przysłano mnie tutaj.

– Chyba nigdy jeszcze nie poszła mi tak łatwo rozmowa z nową nauczycielką – rzekł John Whiteside.

– Więc pan sądzi, że otrzymam tę posadę?

Rzucił szybkie spojrzenie na wiszącą nad kominkiem fajkę.

„To jego przyjaciel – pomyślała Molly. – Mają wspólne sekrety”.

– Tak. Sądzę, że pani otrzyma tę posadę. Wydaje mi się nawet, że już ją pani otrzymała. No, a teraz proszę mi powiedzieć, gdzie pani zamieszka? Musi sobie pani znaleźć jakiś pokój z utrzymaniem.

– Chcę tu mieszkać – wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć.

John Whiteside otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Ale my nie wynajmujemy pokoiów.

– Och, przepraszam, że to powiedziałam. Tak bardzo mi się tu u państwa podoba.

– Willa! – zawołał. A kiedy jego żona stanęła w uchylonych drzwiach, powiedział: – Ta młoda osoba chce z nami mieszkać. Jest nową nauczycielką.

Pani Whiteside zmarszczyła się.

– Nie ma mowy. Nigdy nie mieliśmy lokatorów. Ona jest za ładna, żeby mieszkać pod jednym dachem z tym głupcem Billem. Kto będzie za niego pał krowy? Same kłopoty z tego wynikną. Damy pani pokój na górze – zwróciła się do Molly. – Wygodny i nie za słoneczny.

Życie Molly zmieniło się. Nagle odkryła, że jest królową. Dzieci w szkole uwielbiały ją od pierwszego dnia, bo rozumiała je i, co więcej, sprawiła, że one ją rozumiały. Po jakimś czasie pojęła, jak ważną stała się w dolinie osobą. Jeśli w sklepie Allena utknęła na martwym punkcie dyskusja w kwestiach dotyczących historii, literatury lub matematyki, zawsze ktoś się w końcu odezwał: – Chodźmy z tym do nauczycielki. Jeśli nawet nie wie, to sprawdzi w swoich książkach. – Molly bardzo była z tego dumna. Proszono ją również o pomoc w urządzaniu zabaw i przyjęć. Radziła, czym poczęstować gości, jak udekorować pokoje.

– Chyba byłoby najlepiej wetknąć, gdzie się da, gałązki sośniny – mówiła. – Sosna ma taki odświeżający zapach.

Powszechnie uważano, że zna się na wszystkim i wszystkiemu umie zaradzić, i bardzo ją to cieszyło.

W domu pomagała w kuchni, pracowała ciężko wśród nieustannego szemrzącego potoku słów Willi Whiteside. Po sześciu miesiącach pani Whiteside mruknęła do męża:

– Gdyby Bill miał trochę oleju w głowie... Ale z drugiej strony – dodała – jeśli ona ma trochę rozumu... – I na tym urwała.

Wieczorem Molly pisywała listy do nielicznych przyjaciółek z seminarium – listy pełne radości i historyjek o życiu w dolinie. Zapraszana jest na wszystkie przyjęcia i zabawy, gdyż

liczą się tu z jej stanowiskiem. W soboty wybiera się zwykle na wzgórze, skąd przynosi paprocie i polne kwiaty, które sadi przy domu.

Bill Whiteside raz tylko spojrzął uważniej na Molly i uciekł do swoich krów. Sporo upłynęło czasu, nim zdobył się na odwagę, żeby z nią swobodnie rozmawiać. Był to duży, prosty chłopak, który nie odziedziczył ani rozważliwości swego ojca, ani humoru matki. Ale włóczył się za Molly i z daleka na nią spoglądał.

Pewnego wieczoru, ogarnięta uczuciem wdzięczności za szczęście, jakie ją spotkało, opowiedziała mu o swoim ojcu. Siedzieli na obszernej werandzie czekając wschodu księżyca. Mówiła o niespodziewanych wizytach ojca i o jego nagłym zniknięciu.

– Rozumiesz, co to dla mnie znaczy, Bill? – zapytała. – Mój wspaniały ojciec gdzieś tam żyje na świecie. Mój ojciec. Wierzysz, że on żyje, prawda, Bill?

– Może być – rzekł Bill. – Choć z tego, co mówisz, wynika, że to nieodpowiedzialny gość. Przepraszam cię, Molly. Ale jeśli żyje, to dlaczego nigdy nie pisze?

Molly poczuła w sercu chłód. Było to rozumowanie, którego dotąd z powodzeniem unikała.

– Naturalnie – powiedziała sztywno. – Wiem o tym. Idę już, Bill. Mam jeszcze coś do zrobienia.

Wysoko, na jednym z okalających Pastwiska Niebieskie wzgórz, stała opuszczona chata. Roztaczał się stamtąd widok na całą dolinę i wszystkie wiodące do Pastwisk drogi. Mówiono, że bandyta Vasquez postawił tę chatę i mieszkał w niej cały rok, podczas gdy ścigano go po całej okolicy. Chatka ta była miejscową osobliwością. Każdy mieszkaniec doliny raz chociaż poszedł ją obejrzeć i prawie każdy pytał Molly, czy już ją widziała.

– Nie – mówiła Molly – ale któregoś dnia wybiorę się. Wiem, jak się tam idzie.

Pewnego sobotniego ranka włożyła nowe, mocne buty i sztruksową spódnicę. Bill już się przy niej kręcił i chciał iść razem z nią.

– Nie – powiedziała. – Masz swoją robotę. Nie mogę cię od niej odrywać.

– Do diabła z robotą. Może poczekać.

– Ale ja wolę iść sama. Nie gniewaj się, Bill, po prostu chcę iść tam sama.

Było jej przykro, że nie pozwoliła mu sobie towarzyszyć, ale to, co Bill powiedział o jej ojcu, spłoszyło ją.

– Chcę, żeby to była przygoda – mówiła do siebie. – A jeśli Bill ze mną pójdzie, nie będzie to przygoda, tylko zwykły spacer.

Półtorej godziny wdrapywała się stromą ścieżką biegnącą pod dębami. Ich opadłe liście były śliskie jak szkło, słońce mocno grzało. Przyjemny zapach paproci, wilgotnego mchu i werbeny nasycił powietrze. Gdy Molly doszła w końcu do szczytu, była mokra i zadyszana. Chata stała na polance – mała, kwadratowa izba bez okien. Otwór wejścia jak smuga czarnego cienia. Panowała tu cisza, brzęcząca cisza much, os i koników polnych. Wzgórze nuciło w słońcu. Molly szła na palcach. Serce jej biło mocno.

– Oto przeżywam przygodę – szeptała. – Oto właśnie spotyka mnie przygoda, tu, w chatce Vasqueza.

Zajrzała przez drzwi. Mignęła jej uciekająca jaszczurka. Na czoło opadła pajęczyna, jakby próbując ją powstrzymać. Chata była pusta; próchniejące ściany, ubity piach zamiast podłogi, suchy, jałowy zapach ziemi, której od lat nie dosięgło słońce. Molly była niezwykle podniecona.

– Siedział tu nocami. Czasem posłyszał szmer, jakby ktoś skradał się po niego. Wtedy niby duch cienia wysuwał się z chaty i wtapiał w ciemność.

Spojrzała na dolinę Pastwisk Niebieskich. Sady tworzyły kwadraty ciemnej zieleni, łąny były żółte, wzgórza za nimi jasnobrązowe, obmyte barwą lawendy. Kręta droga między farmami wymijała pola, okalała drzewa, biegła półkolistą podnóżami pagórków. Nad wszystkim drgająca i roziskrzona mgiełka upału.

– Fantastyczne – szepnęła Molly – nieprawdziwe. Jak bajka. To jest bajka i ja ją przeżywam.

Z doliny, jak westchnienie uśpionego, przywiał wietrzyk i pomknął gdzieś dalej.

– W dzień Vasquez patrzył na tę dolinę, tak jak ja teraz. Stał w tym samym miejscu, spoglądał na drogę. W purpurowej kamizelce wyszywanej złotem, na smukłych nogach wąskie spodnie rozszerzone u dołu niczym trąbka. Kółka ostróg owinał jedwabną wstążką, żeby nie brzęczały. Czasem widział na drodze ścigających go ludzi. Na szczęście pochylali głowy do końskich szyi i nie patrzyli na szczyty wzgórz. Vasquez szydził z nich, choć ich się bał. Czasem śpiewał. Jego śpiew był cichy i smutny, bo wiedział, że niewiele mu zostało życia.

Siadła na zboczu i oparła brodę na splecionych dłoniach. Młodzieńczy Vasquez był przy niej. Miał radosną twarz i błyszczące oczy jej ojca, gdy wychodził na ganek i wołał: – Hej! Dzieciarnia!

To była przygoda w stylu ojca. Molly otrząsnęła się i wstała.

– Muszę raz jeszcze to wszystko od początku przemyśleć.

Przed wieczorem pani Whiteside posłała Billa, żeby szukał Molly.

– Mogła sobie skrócić nogę – powiedziała.

Ale Molly ukazała się na górskiej ścieżce, właśnie gdy Bill szedł ku niej od drogi.

– Myśleliśmy, żeś może zablądziła – powiedział. – Byłaś tam przy tej chacie?

– Tak.

– Po prostu stara drewniana buda i już. Zwykła szopa. Mnóstwo takich jest tu na wzgórzach. Dziwne, że wszyscy chodzą to oglądać, a najlepsze, że wcale nie wiadomo, czy Vasquez tam w ogóle kiedy był.

– O, mnie się zdaje, że był tam na pewno.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

Bill spowaźniał.

– Każdy go uważa za coś w rodzaju bohatera, a tak naprawdę to był zwykłym złodziejem. Najpierw kradł owce i konie, a w końcu napadał na dyliżanse. Przy okazji zabił kilku ludzi. Według mnie, powinno się nienawidzić bandytów, a nie ich czcić.

– Masz rację, Bill – powiedziała Molly znużonym głosem. – Masz zupełną rację. Ale czy mógłbyś się do mnie przez chwilę nie odzywać? Jestem zmęczona i trochę zdenerwowana.

Mijał czas. Witki wierzb znów zakwitły kotkami, dzikie kwiaty znów pokryły wzgórze. Molly czuła się coraz bardziej potrzebna w dolinie. Uczestniczyła teraz w zebraniach Rady Szkolnej. Te sekretne i pełne powagi obrady za zamkniętymi drzwiami wzbudzały w każdym, kto nie brał w nich udziału, poczucie trwogi i tajemniczości. Lecz gdy poproszono Molly, by przestąpiła próg gabinetu Johna Whiteside'a, przekonała się, że Rada Szkolna rozprawia o zbiorach, że jej członkowie opowiadają sobie anegdotki i wymieniają nieszkodliwe ploteczki.

Bert Munro został wybrany do Rady Szkolnej wczesną jesienią, a z nadejściem wiosny był już jej najbardziej czynnym członkiem. Organizował tańce w szkole, nalegał, by urządzano amatorskie przedstawienia i pikniki. Ufundował nawet nagrody dla dzieci, które dostawały najlepsze stopnie. Z czasem Rada coraz bardziej zdawała się na Berta Munro.

Któregoś wieczoru Molly wyszła ze swego pokoju później niż zwykle. Odbywało się właśnie zebranie Rady Szkolnej i pani Whiteside siedziała w jadalni.

– Chyba nie pójde dziś na zebranie – oznajmiła Molly. – Zostawię ich samych. Czasem mam wrażenie, że gdyby nie moja obecność, opowiadaliby sobie całkiem inne anegdotki.

– Idź tam, Molly, idź! Bez ciebie nie ma zebrania. Przywykli do ciebie, sami nic nie uradzą. A poza tym wcale mi się te ich inne anegdotki nie podobają.

Molly posłusznie zapukała w drzwi i weszła do gabinetu. Bert Munro grzecznie przerwał rozpoczęte opowiadanie.

– Mówię o moim nowym parobku na farmie, panno Molly. Zacznę jeszcze raz od początku, bo to zabawne. Widzi pani, potrzebowałem kogoś do pomocy przy sianokosach i znalazłem tego właśnie człowieka pod mostem w Salinas. Był pijany, ale szukał pracy. Teraz, kiedy już go mam, przekonałem się, że jako robotnik niewart jest złamanego centa – ale nie mogę się go pozbyć. Ten skurczybyk włóczył się po całym świecie. Trzeba słyszeć, jak o tym opowiada! Nawet gdybym chciał, moje dzieci nie dałyby mi go wyrzucić. Zaczyna mówić o byle czym, co widział albo robił, i nagle powstaje z tego wspaniała opowieść. Dzieci siadają wokół niego, nastawiają uszy i nic, tylko słuchają, co mówi. Ale mniej więcej dwa razy w miesiącu jedzie do Salinas i upija się. Typowy alkoholik. Zawsze do mnie dzwonią z Salinas z policji, jak go znajdą gdzie w rynsztoku, i muszę jechać po niego. I wiecie, jak tylko wy trzeźwieje, zawsze znajdzie w kieszeni jakiś prezencik dla mojego synka. Co można z takim zrobić? On człowieka zupełnie rozbraja. Ale jego miesięczna praca nie jest warta nawet dolara.

Molly poczuła duszący strach. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– Jesteś za miękki, Bert – mówili. – Nie możesz sobie pozwolić na utrzymywanie błazna. Ja bym się go na pewno szybko pozbył.

Molly wstała z krzesła. Śmiertelnie się bała, że ktoś spyta o imię tego człowieka.

– Nie czuję się dziś dobrze – powiedziała. – Jeśli panowie pozwolą, pójde już do siebie.

Mężczyźni podnieśli się, gdy wychodziła z pokoju.

Leżała z twarzą ukrytą w poduszkach.

– To szaleństwo – mówiła sobie. – Taki przypadek jest niemożliwy. Muszę natychmiast przestać o tym myśleć.

Ale spostrzegła z trwogą, że płacze.

Minęło kilka tygodni – strasznych dla Molly. Niechętnie wychodziła z domu. Gdy szła do szkoły lub gdy wracała, bacznie patrzyła na biegnącą przed nią drogę.

– Jak tylko zobaczę kogoś obcego, zacznę uciekać. Ależ to szaleństwo! Ja zwariowałam.

Tylko w swoim pokoju czuła się bezpiecznie. Strach odebrał blask jej oczom, twarz jej poszarzała.

– Molly, powinnaś się położyć – namawiała ją pani Whiteside. – Nie rób głupstw! Czy mam ci dać klapsa jak Billowi?

Ale Molly nie chciała się położyć. Zbyt wiele myśli przychodziło jej do głowy, gdy leżała w łóżku.

Bert Munro nie zjawił się na następnym zebraniu Rady Szkolnej. Molly poczuła się pewniej, była zadowolona, że nie przyszedł.

– Czuje się pani lepiej, panno Molly?

– O tak. To było głupstwo, lekkie przeziębienie. Gdybym się położyła, dopiero bym się na dobre rozchorowała.

Zebranie trwało już godzinę, gdy przyszedł Bert Munro.

– Przepraszam za spóźnienie – tłumaczył – ale znowu to samo. Znowu mojego tak zwanego pomocnika znaleziono w Salinas, jak spał na ulicy. Co za paskudztwo! Odsypia to teraz w moim samochodzie, tu przed domem. Będę musiał jutro wszystko splukiwać gumowym węzłem.

Przeraźliwy strach ścisnął jej gardło. Przez sekundę myślała, że zemdleje.

– Przepraszam – jęknęła i wybiegła z pokoju.

Weszła w ciemną sień i oparła się o ścianę. Po chwili wolno, poruszając się jak automat, wyszła przez frontowe drzwi. Wiosenny wieczór był pełen szmerów. Na drodze dostrzegła ciemną bryłę – samochód Berta. Zdziwiło ją, że jej kroki same stąpają po ścieżce, bez udziału jej woli.

– Zabijam się sama – szeptała do siebie. – Niszczę wszystko. Ciekawam dlaczego?

Oparła rękę na furtce i nacisnęła ją, żeby otworzyć. Nagły, lekki podmuch przyniósł ostrą woń wymiotów i bełkotliwe, pijackie chrapanie. Poczowała szum w głowie. Zawróciła w miejscu i jak szalona pobiegła z powrotem do domu. Wpadła do swego pokoju i siadła sztywno, ciężko dysząc, wyczerpana szybkim biegiem. Zdawało jej się, że wiele minęło godzin, nim usłyszała, jak członkowie Rady wychodzą, życząc sobie nawzajem dobrej nocy. Potem doszedł ją warkot zapuszczonego przez Berta silnika, cichnący w miarę, jak się samochód oddalał. Teraz, kiedy już powzięła decyzję, czuła się jak sparaliżowana.

John Whiteside pisał coś przy biurku, gdy Molly weszła do jego gabinetu. Spojrzał na nią pytająco.

– Pani jest chora, panno Molly. Trzeba wezwać lekarza.

Sztywnym krokiem podeszła do biurka.

– Mógłby pan znaleźć nauczycielkę, która by mnie zastąpiła w szkole? – zapytała.

– Naturalnie. Niech pani idzie prosto do łóżka, a ja zaraz wezwę doktora.

– To nie o to chodzi, proszę pana. Chcę stąd wyjechać jeszcze dziś wieczór.

– Co pani opowiada? Pani jest chora.

– Powiedziałam panu, że mój ojciec nie żyje. Ale nie wiem, czy nie żyje. Ja się boję... ja chcę zaraz stąd wyjechać.

Patrzył na nią uważnie.

– Proszę mi to wytłumaczyć – rzekł miękko.

– Gdybym zobaczyła tego pijanego człowieka pana Munro... – Zatrzymała się nagle, przerażona tym, co chciała powiedzieć.

John Whiteside skinął głową bardzo powoli.

– Nie! – wykrzyknęła Molly. – Ja tak nie myślę! Na pewno nie!

– Chciałbym jakoś ci pomóc, Molly.

– Nie chcę stąd wyjeżdżać, jest mi tu tak dobrze... Ale boję się. To dla mnie zbyt ważne.

John Whiteside wstał, podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

– Wydaje mi się, że niezupełnie rozumiem – powiedział. – I chyba nie chcę zrozumieć. To nie jest konieczne. – Mówił to jakby do siebie. – Byłoby niedelikatnie... zrozumieć.

– Jak już znajdę się daleko stąd, będę mogła w to nie wierzyć! – załkała Molly.

Mocniej przycisnął ją do siebie.

– Biegnij na górę, Molly, i szybko się spakuj – powiedział. – Tymczasem wyprowadzę wóz. Odwiozę cię do Salinas.

9

Pastwiskach Niebieskich najbardziej podziwiano farmę Raymonda Banksa. Hodował na niej pięć tysięcy białych kur i tysiąc białych kaczek. Farma ta leżała na północnej równinie, najładniejszym miejscu w okolicy. Raymond obsiał swoje pola w kwadraty lucerny i jarmużu. Podłużne, niskie kurniki bielono tak często, że zawsze wyglądały jak nowe i jeszcze nie używane. Nie było tam nigdy tego brudu, który często ludzie kojarzą z drobiarską farmą.

Kaczki miały duży, okrągły staw, do którego dwucalowa rura nieprzerwanie doprowadzała świeżą wodę przelewającą się na gęste grzędy jarmużu i pola lucerny. W słoneczny poranek przyjemnie było popatrzeć na wielkie stada czystych, białych kur, które pasły się grzebiąc w ciemnozielonej lucernie, a jeszcze przyjemniejszy widok sprawiało tysiąc białych kaczek żeglujących po stawie, wspaniale i uroczyście, jakby były tak wielkie jak lewiatany. Całe rancho rozbrzmiewało gdakaniem i kwakaniem nieustannie krzątającego się drobiu.

Ze szczytu pobliskiego wzgórza widziało się kwadraty lucerny, po której krążyły tysiące ruchliwych białych cętek, niby drobiny kurzu na zielonym tle. Czasem nadlatywał jastrząb bacząc uważnie na dom Raymonda. Białe plamki natychmiast przerywały swój bezładny ruch i zbiegały się pod opiekuńcze skrzydła kogutów, a w niebo wzbijał się rozpaczliwy wrzask przerażonych kurcząt. Tylne drzwi domu otwierały się z trzaskiem i wybiegał Raymond ze strzelbą w rękę. Jastrząb wlatywał wysoko w górę i znikał. Białe kłębki rozsypywały się w białe punkciki, które znów zaczynały krążyć bez celu.

Plamy zieleni były oddzielone płotami, żeby jeden kwadrat mógł odpoczywać i nabierać sił, podczas gdy kury znęcały się nad innym. Ze wzgórza widoczny był dom Raymonda przysiadły na skraju dębowego lasu. Wokół domu rosły kwiaty: nagietki, wielkie aksamitki, rumianek i kosmos wysoki jak małe drzewka; a za domem był jedyny w Pastwiskach Niebieskich ogród różany wart tej nazwy. Miejscowi ludzie uważali tę farmę za wzór dla całej doliny.

Raymond Banks był bardzo silny. Jego grube, krótkie ręce, szerokie bary i biodra, ciężkie nogi, nawet wypukłość brzucha pod kombinezonem sprawiały, że wydawał się wspaniale silny, by pchnąć, ruszyć z miejsca i unieść każdy ciężar. Jego skóra w miejscach nie osłoniętych była spalona słońcem do czerwoności surowego befsztyka. Mocne ręce po łokcie, szyja i twarz, a zwłaszcza uszy i nos były boleśnie spękane.

Rzadkie blond włosy nie chroniły przed słońcem skóry na czaszce. Oczy Raymonda były niezwykle, bo – choć włosy i brwi miał jasne, co przeważnie łączy się z niebieskim kolorem oczu – czarne jak smoła. Usta, pełne i dobroduszne, nie pasowały do długiego i groźnie zakrzywionego nosa. Ten nos i uszy niemiłosiernie traktowało słońce. Rzadko kiedy w ciągu całego roku zdarzało się, żeby nie były posiekane aż do krwi i żeby się nie łuszczyły.

Raymond Banks miał czterdzieści pięć lat i był z usposobienia wesoły. Nigdy nie mówił spokojnie, zawsze wydawał z siebie urywane okrzyki nabrzmiałe udaną wściekłością. O sprawach najbardziej zwykłych mówił zawsze, jakby to było coś bardzo śmiesznego. Ludzie śmiali się ze wszystkiego, co powiedział. Na gwiazdkowych zabawach w szkole zawsze był świętym Mikołajem, bo miał donośny głos, czerwoną twarz i kochał dzieci. Krzyczał na nie z tak okrutną wściekłością, że pękały ze śmiechu. Przebrany czy nie przebrany w czerwony strój świętego Mikołaja, Raymond pozostawał zawsze dla dzieci w dolinie kimś w rodzaju świętego Mikołaja. Tak umiał je podrzucać do góry, tarmosić i tłamsić, że było to przyjemne jak pieszczota. Od czasu do czasu przestawał żartować i opowiadał dzieciom rzeczy równie ważne jak najważniejsze lekcje.

Czasem, w sobotę mali chłopcy zachodzili na farmę Banksa przyjrzeć się jego pracy. Pozwalał im zaglądać przez okienko do sztucznej wylęgarni. Zdarzało się, że właśnie pisklęta wykluwały się z jajek potrzepując mokrymi skrzydełkami i chwiejąc się na niepewnych nóżkach. Raymond pozwalał chłopcom unosić pokrywy inkubatorów i garściami wybierać żółto upierzone pisklęta, które robiły tyle hałasu, co sto małych nie naoliwionych mechanizmów. Potem prowadził chłopców nad staw i rzucali tam kawałeczki chleba dostojnie żeglującym kaczkom. Ale wszyscy chłopcy najbardziej lubili asystować przy biciu drobiu. Wtedy kończyły się żarty i Raymond stawał się poważny.

Chwytał małego koguta z kojca i wieszał za nogi na drewnianym pręcie. Na jego dziko bijące skrzydła nasuwał drucianą klamrę. Kogut głośno skrzeczał. Raymond miał specjalny nóż z ostrzem w kształcie włóczni, który leżał w pogotowiu na skrzyni. Chłopcy podziwiali ten nóż, jego groźny kształt i błysk; szpikulec miał ostry jak igła.

– Zginiesz marnie, stary kogucie – mówił Raymond.

Chłopcy przysuwali się bliżej. Pewnymi, szybkimi palcami Raymond ścisnął głowę koguta zmuszając go do otwarcia dzioba, nóż szybko jak błysk przeszywał rozwarty dziób i trafiał w mózg, skrzydła drgały tłukąc o drut klamry. Przez sekundę szyja koguta wyciągała się tęsknie to w jedną, to w drugą stronę, mała strużka krwi wypływała z dzioba.

– Teraz uwaga! – krzyczał Raymond.

Rozcapierzonymi palcami ściągał z piersi koguta pierze. Drugi ruch – i skóra na plecach była naga. Skrzydła już nie były tak mocno. Raymond zostawił tylko trochę pierza na ich końcach. Potem dwoma ruchami oskubywał nogi.

– Widzicie? Trzeba to robić szybko – tłumaczył pracując. – Tylko dwie minuty czasu, póki pierze siedzi luźno. Jak je zostawić, trzyma się mocno.

Zdejmował koguta z pręta; dwa cięcia innym nożem, ruch ręki – i w podstawionym garnku już leżały wnętrzności. Wycierał ścierką ręce.

– A to? – wołali chłopcy. – A to? Co to jest?

– Serce.

– Ono się rusza! Żyje!

– Nie, jest martwe – zapewniał ich Raymond. – Kogut umiera w momencie, gdy nóż dotyka jego mózgu. Serce jeszcze uderza chwilę, ale kogut już nie żyje na amen.

– Dlaczego pan ich nie zabija odrabując głowę, jak mój ojciec?

– Bo to czysta robota i rzeźnicy też wolą je w całości, z głowami. Więcej waży, rozumiecie? No dalej, stary kogucie!

Sięgał do kojca po następną trzepoczącą się ofiarę.

Gdy już bicie kogutów było skończone, Raymond wyławiał z garnka wola i rozdawał chłopcom. Uczył ich, jak wole należy oczyścić i nadmuchać, żeby zrobić z niego balonik. Był zawsze bardzo poważny, gdy pokazywał chłopcom, jak wygląda praca na jego rancho. Ale nigdy im nie dawał pomagać przy biciu drobiu, chociaż prosili go o to wiele razy.

– Mógłby który z was z przejęcia nie trafić nożem w mózg – tłumaczył. – Kogut męczyłby się i cierpiał.

Pani Banks dużo i często się śmiała – był to miły, dźwięczny śmiech, oznaczał lekkie rozbawienie, a nawet roztrzepanie. Śmiała się łatwo, jakby z uznaniem dla wszystkiego, co ktoś powiedział, i aby zdobyć ten aplauz, ludzie starali się mówić przy niej w sposób zabawny. Gdy kończyła pracę w domu, zabierała się do kopania w ogródku. – Jest z miasta, dlatego lubi kwiaty – mówili sąsiedzi. Przybywających do domu gości zawsze witał dźwięczny śmiech Cleo Banks i goście też zaczynali chichotać, gdy go słyszeli. Taka była wesoła! Ludzie czuli się dobrze w jej towarzystwie. Nikt nie mógłby sobie przypomnieć, co kiedy powiedziała i czy coś w ogóle

powiedziała, ale dźwięk jej śmiechu, jego dokładna tonacja na długo zostawały w pamięci.

Raymond Banks natomiast rzadko się śmiał. Ale udawał ponurość z tak ogromną przesadą, że przyjmowano to za doskonały humor. Tych dwoje ludzi stanowiło najbardziej lubianą parę gospodarzy w dolinie. Każdy u nich bywał na piknikach, które urządzali w dębowym lasku przy domu. Pieczono wtedy kurczęta na węglach z kory dębowej i szły w ruch setki butelek warzonego w domu piwa. Cieszono się z góry na te pikniki i długo je potem w dolinie wspominano.

Kiedy Raymond był w szkole, zaprzyjaźnił się z chłopcem, który później został naczelnikiem więzienia w San Quentin. Przyjaźń ich przetrwała lata. Wciąż jeszcze wymieniali prezenciki na Boże Narodzenie i pisywali do siebie o ważniejszych wydarzeniach w ich życiu. Raymond był dumny z tej znajomości. Dwa lub trzy razy do roku otrzymywał od naczelnika więzienia zaproszenie, żeby przyjechał do niego i asystował przy egzekucji. Zawsze te zaproszenia przyjmował. Wycieczki do więzienia były jedynymi wakacjami, na jakie sobie pozwalał.

Lubił zajeżdzać do przyjaciela w wieczór poprzedzający egzekucję. Siadali obaj w fotelach i wspominali szkolne czasy. Przypominali sobie nawzajem rzeczy, które obaj doskonale pamiętali. Za każdym razem powracali do tych samych szkolnych zdarzeń i o nich mówili. Raymond lubił podniecenie panujące następnego ranka w biurze naczelnika więzienia, lubił ten nastrój niemal histerycznego napięcia, źle ukrywanego przez innych świadków egzekucji. Powolny krok skazańca wzbudzał w nim poczucie dramatu, wywoływał dreszcz emocji. Samo wieszanie nie było najważniejsze, ale cała ostra, przejmująca atmosfera robiła na nim wrażenie. Wszystko to było poważne, uroczyste i ponure, jakby odbywało się w jakiejś świątyni. Dawało mu to poczucie pełni doznania, wzniosłe przeżycie, z którym żadne inne nie mogło się równać.

Sam skazaniec interesował Raymonda akurat tyle, co kogut, któremu wbijał ostrze w mózg. Ale to nie poryw okrucieństwa, nie jakieś zapamiętanie w cudzym cierpieniu ciągnęło go pod szubienicę. Miał głód mocnych wrażeń, którego nie zaspokajała jego własna, uboga wyobraźnia. W więzieniu udzielało mu się pulsowanie napiętych nerwów innych obecnych ludzi. Gdyby znalazł się na sali egzekucyjnej sam – tylko ze skazańcem i katem – nie uczyniłoby to na nim większego wrażenia.

Raymond lubił też te chwile, kiedy po oficjalnym ogłoszeniu śmierci skazańca, zbierano się po raz drugi w biurze naczelnika. Wyczerpani nerwowo mężczyźni usiłowali nadmierną wesołością doprowadzić do równowagi pogwałconą wyobraźnię. Byli wtedy bardziej rubaszni, bardziej hałaśliwi niż normalnie. Kpili ze świadka, zwykle jakiegoś młodego reportera, który zemdlał lub płacząc opuścił salę egzekucyjną. Raymond był w swoim żywiole. Czuł, że żyje; zdawało mu się nawet, że żyje wtedy bardziej intensywnie.

Gdy już było po wszystkim, zjadał u naczelnika dobry obiad i ruszał do domu. W pewnym, niewielkim może stopniu przeżywał podobne emocje, gdy pokazywał małym chłopcom, jak się zabija koguta. Przejmował wtedy wążką iskierkę ich podniecenia.

Bert Munro i jego żona, wkrótce po przybyciu do Pastwisk, dowiedzieli się o pięknym rancho Raymonda Banksa i o jego wizytach w więzieniu. Ludzi w dolinie intrygowały, fascynowały i w niemałym stopniu przerażały te wyjazdy, których celem było przyglądanie się wieszaniu człowieka. Bert, zanim spotkał Raymonda, wyobrażał sobie, że wygląda on tak, jak zgodnie z tradycją kat powinien wyglądać – że jest chudy i ciemny, o tępych, martwych oczach, zimny i bez nerwów. Na samą myśl o nim Bert doznawał uczucia zgrozy zaprawionej ciekawością.

Kiedy w końcu ujrzał Raymonda Banksa, jego wesołe oczy i zdrową, spaloną słońcem twarz, był jakby rozczarowany a jednocześnie poczuł coś w rodzaju niesmaku. To, że Raymond

jest tak wesoły, że tak zdrowo wygląda, było dla Berta niezrozumiałe i uważał, że jest w tym coś nieprzyzwoitego. Paradoksem nie do przyjęcia było jego pogodne usposobienie i miłość do dzieci.

Pierwszego maja Banksowie wyprawili piknik u siebie, pod dębami. Była to najpiękniejsza pora roku, pora kwitnienia łąbinów i boży kwiatów, leśne fiołki i pierwiosnki znaczyły kolorowymi smugami krótką trawę na zboczach. Dęby przystroiły się w świeże liście, lśniące jak mokry ostrokrzew. Ciepło słońca zaprawiło powietrze zapachem szaławii, oszalałe ptaki święciły hałaśliwie święto, a z farmy dochodziło zadowolone gdakanie grzebiących w ziemi kur i cyniczne, dumne pokwakiwanie kaczek.

Co najmniej pięćdziesiąt osób zebrało się wokół długich stołów pod dębami. Setki butelek piwa wstawiono w waniutki pełne lodu i soli, mieszaniny tak zimnej, że na szyjkach butelek pojawił się szron. Pani Banks krążyła wśród gości witając ich śmiechem i śmiechem przyjmując ich powitania. Poza tym prawie się nie odzywała. Raymond stał przy ogniu i piekł na rusztach kurczęta w asyście podziwiających go mężczyzn, którzy od czasu do czasu dawali mu żartobliwe rady.

– Jeśli ktoś umie lepiej to robić, proszę bardzo, niech mnie zastąpi! – wołał do nich Raymond. – Zaraz się wezmę za steki dla tych wariatów, co nie lubią kurcząt!

Bert Munro stanął w pobliżu i obserwował czerwone ręce Raymonda. Pociągał mocne piwo z butelki. Fascynowały go te silne, czerwone ręce, które bezustannie obracały kurczęta na ruszcie.

Zaniesiono do stołów ogromne półmiski pełne kurcząt, ale Raymond piekł je dalej dla znawców, którzy chcieliby zjeść drugą czy trzecią nawet porcję. Był teraz sam, bo jego widzowie zgromadzili się już przy stołach. Bert Munro podniósł wzrok znad swojego talerza ze stekiem i zobaczył, że przy Raymondzie nie ma nikogo. Odłożył widelec i podszedł do niego.

– Co z panem, panie Munro? Nie smakuja panu moje kurczęta? – zagadnął go Raymond z prawdziwą troską.

– Zjadłem stek, był bardzo smaczny. Zawsze bardzo szybko jem. Ale, wie pan, nie lubię kurcząt.

– Naprawdę? Nie rozumiem, jak można nie lubić, choć wiem, że są tacy. Zaraz panu zrobię drugi stek.

– O, już się najadłem. Według mnie, nie należy jeść za dużo. Człowiek powinien wstawać od stołu trochę głodny. Wtedy jest zawsze zdrow.

– Może pan ma rację – rzekł Raymond i obrócił kurczęta na ogniu. – Ja też zauważyłem, że lepiej się czuję, jak nie jem za dużo.

– O, na pewno. Ze mną jest to samo. I z każdym. Ludzie w ogóle za dużo jedzą.

Obaj mężczyźni spojrzeli ciepło na siebie, bo zgodzili się w kwestii, co do której żaden z nich nie miał zbyt mocnych przekonań.

– Ma pan ładny kawałek ziemi – zauważył Raymond chcąc przypieczerować przyjazne uczucia jeszcze jednym porozumieniem.

– Bo ja wiem. Powiadają, że rośnie na niej trujące ziele, ale go jeszcze nie zauważył.

Raymond zaśmiał się.

– Zanim pan tu przyjechał i tak ładnie się zagospodarował, mówiono, że tam straszy na tej farmie. Widział pan jakie duchy?

– Jakoś nie. Bardziej się boję trującego ziela niż duchów.

– Nic dziwnego. Moim kurom ono nie bardzo szkodzi. Ale dla was, co chowacie bydło, to prawdziwe przekleństwo.

Bert podniósł patyk z ziemi i lekko roztrzącił nim mrugające w palenisku węgielki.

– Słyszałem, że pan zna naczelnika więzienia z San Quentin.
– A owszem, nawet bardzo dobrze. W szkole z nim byłem. Zna go pan może, panie Munro?

– Nie, nie. Tylko że czasem piszą o nim w gazetach. Nic dziwnego, człowiek na takim stanowisku.

– Taaak – powiedział Raymond z dumą i powagą. – Tak, sporo o nim piszą. To fajny gość, panie Munro, nieczęsto się taki trafia. Tyle ma na głowie kłopotów z tymi swoimi więźniami, a zawsze jest wesoły i przystępny. Jakby go pan spotkał, nie domyśliłby się pan nawet, że ma tak odpowiedzialne stanowisko.

– Nie może być? A zdawałoby się, że taki człowiek nic tylko myśli o swoich więźniach. Często go pan widuje?

– Dostyc często. Mówiłem panu, że razem chodziliśmy do szkoły. I trzymaliśmy się razem. No, i nie zapomniał o mnie. Od czasu do czasu zaprasza mnie do swojego więzienia, jak kogo wieszają.

Bert zdrygnął się, mimo że do tego właśnie zmierzał.

– Nie może być?

– Tak. Uważam to za wielki zaszczyt. Mało kogo tam wpuszczają. Tylko dziennikarzy, oficjalnych świadków, szeryfów i policję. Naturalnie, miło mi też zobaczyć się z Edem.

Coś dziwnego stało się z Bertem. Jakby stał się nie tym samym człowiekiem. Głos mówił sam, bez udziału jego woli:

– Ciekawym, czy naczelnik zgodziłby się, gdyby pan wziął kogo ze sobą?

Ze zdumieniem słuchał tych słów. Wcale ich nie chciał wypowiedzieć. Raymond gwałtownie poruszył węgle. Był zakłopotany.

– Nie wiem, panie Munro, nie mam pojęcia. Nigdy o tym nie myślałem. Chciałby pan kiedy wybrać się ze mną?

Znowu głos Berta mówił sam z siebie: – Tak – powiedział głos.

– Dobrze. Powiem panu, co zrobię. Napiszę do Eda. Dostyc często do niego pisuję, rozumie pan, więc nie pomyśli, że to specjalnie. I napomknę, że pan chciałby się ze mną wybrać. Może następnym razem przyśle dwa zaproszenia. Naturalnie, nie mogę ręczyć. Zjadłby pan jeszcze kawałek steku?

Bertowi zebrało się na wymioty.

– Nie – powiedział. – Już dostyc zjadłem. Nie czuję się zbyt dobrze. Poleżę chwilę pod drzewem.

– Może, jak pan pił piwo, zmaćił pan drożdże w butelce? Trzeba z tym bardzo uważać.

Bert siadł na szeleszczących, suchych liściach u stóp dębu. Na prawo od niego stały otoczone hałaśliwymi gośćmi stoły. Szorstki śmiech mężczyzn i przenikliwe okrzyki rozmawiających kobiet dochodziły do niego ściszone poprzez mur zamyślenia. Między pniami drzew widział Raymonda Banksa, który wciąż krzątał się przy rusztach piekąc kurczęta dla tych, co jeszcze nie zaspokoiili swoich niewiarogodnych apetytów. Dławiące mdłości, które zmusiły go do usunięcia się na bok, przemieniły się w dziwne, wzbierające w nim pożądanie. Bert był tym zaskoczony. Przecież nie chce jechać do San Quentin. Nie chce patrzeć, jak wieszają człowieka. A jednak był zadowolony, że o to prosił. I właśnie fakt, że był z tego zadowolony, niepokoił go. Obserwował Raymonda, który zakasał wyżej rękawy na swych grubych ramionach i zabierał się do czyszczenia rusztów. Bert poderwał się na nogi i ruszył ku niemu. I znowu go chwyciły mdłości. Zmienił kierunek i podszedł do stołu, przy którym siedziała jego żona wykrzykując głośno żartobliwe uwagi znad ogryzionych szczątków kurczaka.

– Mój mąż to nigdy nie jada kurcząt! – wołała.

– Wracam do domu – powiedział Bert. – Źle się czuję.

Jego żona położyła na talerz nie dojedzony kawałek kurczaka i wytarła palce i usta w papierową serwetkę.

– Co z tobą, Bert?

– Nie wiem. Po prostu źle się czuję.

– Chcesz, żebym też pojechała?

– Nie, zostań. Pójdę pieszo. Jim odwiezie cię później.

– No dobrze – powiedziała pani Munro. – Tylko pożegnaj się z panią Banks i z jej mężem.

Bert odwrócił się ze złością.

– Pożegnaj ich ode mnie – powiedział. – Zbyt źle się czuję. – I szybko odszedł.

W tydzień później Bert Munro zjechał swoim Fordem przed bramę farmy Banksów. Raymond ze strzelbą w rękę wyłonił się zza krzaka, skąd próbował upolować jastrzębia. Podeszedł do swego gościa i przywitał się z nim.

– Tyle słyszałem o pańskiej farmie, że chciałyby ją sobie obejrzyć.

Raymond był zachwycony.

– Zaraz panu wszystko pokażę, tylko odstawię strzelbę – powiedział.

Całą godzinę chodzili po farmie. Raymond objaśniał mu wszystko, a Bert podziwiał czystość i celowość wszystkich urządzeń.

– Chodźmy teraz do domu na szklankę piwa – rzekł Raymond, gdy już obejrzelili całą farmę. – Nie ma to jak zimne piwo w taki dzień.

Gdy już się wygodnie rozsiedli, Bert zapytał z pewnym zakłopotaniem:

– Pisał pan już do naczelnika więzienia, panie Banks?

– Tak, pisałem. Niedługo powinienem mieć odpowiedź.

– Pewnie pana dziwi, dlaczego o to prosiłem. Zawsze myślę, że człowiek powinien zobaczyć wszystko, co może. Na tym polega doświadczenie życiowe. Im większe ma się doświadczenie, tym lepiej. Człowiek powinien wszystko zobaczyć.

– Zgadza się z tym. Tak. Chyba tak – powiedział Raymond.

Bert wychylił szklankę piwa i otarł usta.

– Czytałem naturalnie w gazetach o różnych egzekucjach, ale to nie to samo, co widzieć na własne oczy. Podobno na szafot prowadzi trzynaście stopni. To prawda?

Twarz Raymonda wyrażała skupienie.

– Nie wiem, nigdy nie liczyłem.

– A jak ci... bardzo się szarpia i wrywają, jak już zawisną?

– Chyba tak. Widzi pan, są związani i głowy mają okryte czarną płachtą. Niewiele można zobaczyć. Ale to bardziej wygląda, jakby się trzepotali.

Bertowi poczerwieniała twarz, malowało się na niej napięcie. W oczach błyszczała ciekawość.

– W gazetach piszą, że to trwa od kwadransa do pół godziny, zanim nastąpi śmierć. To prawda?

– Chyba... chyba tak. W rzeczywistości jednak już są, można by powiedzieć, nieżywi w chwili powieszenia. To tak, jak się obcina kurze głowę, a kura jeszcze się miota, choć naprawdę już nie żyje.

– Tak... to pewnie tak jest. Odruch, jak to nazywają. To musi robić wrażenie, kiedy się pierwszy raz widzi.

Raymond uśmiechnął się lekko ubawiony.

– Pewnie. Prawie zawsze ktoś mdleje. Młodzi reporterzy z gazet często płaczą jak dzieci,

a niektórzy wymiotują, wie pan, po prostu zwracają cały obiad na miejscu. Zwykle ci, co pierwszy raz. Napijmy się jeszcze piwa, panie Munro. Dobre i zimne, nie?

– Doskonale – zgodził się Bert z roztargnieniem. – Muszę wziąć od pana przepis. Trzeba mieć flaszkę dobrego piwa pod ręką, jak jest gorąco. No, czas na mnie, panie Banks. Dziękuję, że mi pan wszystko pokazał. Mógłby pan uczyć tych speców z Petalomy, jak się hoduje drób.

Raymond pokraśniał z zadowolenia.

– Zawsze staram się stosować najnowsze metody. Gdy tylko Ed do mnie napisze, zaraz dam panu znać.

Bert zdradzał nerwowość i poirytowanie przez następne dwa tygodnie. Pani Munro była poważnie zaniepokojona, bo rzadko to się zdarzało.

– Co z tobą, Bert? – mówiła. – Powinieneś pojechać do doktora, żeby cię zbadał.

– Och, nic mi nie jest – upierał się Bert.

Większą część dnia pracował na farmie, ale ilekroć przejeżdżał jakiś samochód, oczy jego zwracały się ku drodze. Dopiero w sobotę Raymond Banks podjechał swoją półciężarówką i zaparkował ją przed bramą Munrów. Bert odłożył łopatę i poszedł go powitać. Kiedy farmer odwiedza farmera, rzadko wchodzi do domu. Za to łążą leniwie po całej farmie, zrywając tu kępkę trawy z ziemi, tam liść z drzewa, trą je w palcach, jakby jakąś próbkę, i cały czas gadają. Lato się zaczynało. Liście w sadzie zachowały jeszcze swą delikatną, jasną zieleń, ale drzewa straciły cały okwiat i zaczynały się już pokazywać owoce. Czereśnie nabierały koloru. Bert i Raymond chodzili wolno pod drzewami sadu.

– Roi się od ptaków tego lata – >mówił Bert. – Zniszczą masę czereśni.

Dobrze wiedział, z czym przyjechał Raymond.

– A więc, miałem list od Eda, panie Munro. Pisze, że może się pan ze mną zabrać. Powiada, że nie chcą tam za dużo ludzi, zwłaszcza takich, których ciągnie niezdrowa ciekawość. Ale pisze, że wpuści każdego z moich przyjaciół. Jedziemy w następny czwartek. W piątek jest egzekucja. – Bert szedł w milczeniu. Oczy utkwiał w ziemi. – Ed to bardzo miły facet. Spodoba się panu. Zanocujemy u niego.

Bert podniósł jakiś patyk i napiął go w łuk.

– Dużo o tym myślałem, panie Banks – powiedział. – Zrobiłoby panu różnicę, gdybym się w ostatniej chwili wycofał?

Raymond spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Zdawało mi się, że pan chce jechać. Co się stało?

– Pomyśli pan, że jestem miękki, jak panu powiem. Chodzi o to... Zastanawiałem się nad tym i po prostu boję się. Boję się, że nigdy już nie będę mógł o tym zapomnieć.

– To nie takie znów straszne – oponował Raymond.

– Może i nie. Nie wiem. Ale boję się, że mi to nie wyjdzie na dobre. Nie każdy widzi jednakowo tę samą rzecz.

– To prawda.

– Chciałbym, żeby pan zrozumiał, jak to ze mną jest, panie Banks. Pan wie, że nie jem drobiu. Nie mówię nikomu dlaczego. Mówię po prostu, że mi nie smakuje. Ale sprawiłem panu mnóstwo kłopotu, więc powiem, żeby jakoś wyjaśnić.

Patyk złamał mu się w palcach, odrzucił oba jego końce i wsadził ręce w kieszenie.

– Kiedy miałem dwanaście lat, zawsze przed pójściem do szkoły roznosiłem paczki ze sklepu spożywczego. Mieszkał tam, przy browarze, pewien staruszek, kaleka. Nie miał jednej nogi, aż po biodro, i nie miał protezy, tylko takie staroświeckie szczudło, wie pan, długi kij z oparciem pod pachę. Dobrze sobie z tym dawał radę, tyle że chodził trochę wolno. Kiedyś, jak szedłem tamtędy z moim koszykiem, ten staruszek właśnie zarzynał na podwórzu koguta. Był to

największy karmazyn, jakiego dotąd widziałem. A może dlatego wydawał mi się duży, że sam byłem mały. Staruszek ścisnął swoje szczudło pod pachą, a ręką trzymał koguta za nogi.

Bert zatrzymał się, znowu podniósł patyk z ziemi i też go zgiął. Twarz mu pobladła.

– No i – mówił dalej – w drugą rękę trzymał tasak. I jak chciał odciąć kogutowi łeb, szczudło obsunęło mu się pod pachą, kogut poruszył się i staruszek odciął mu jedno skrzydło. Wtedy staruszek jakby oszalał. Machał, tasakiem i machał, i zawsze trafiał w niewłaściwe miejsce – to w pierś, to w brzuch. Szczudło jeszcze bardziej się obsunęło i stracił równowagę właśnie wtedy, jak się znowu zamierzył. Odrąbał kogutowi jedną nogę i sam zaciął się w palec.

Bert otarł rękawem pot z czoła. Raymond bokiem podeszwy zgarniał piasek w małą kupkę.

– Wtedy puścił koguta i pokuśtykał do domu trzymając się za palec. A kogut pełzał wlokąc za sobą wyprute bebechy. Pełzał i pełzał, i nic, tylko skrzeczał.

Patyk złamał się. Bert gwałtownie odrzucił obie jego części.

– No i, panie Banks, od tego czasu nigdy nie zarzynałem ani nie jadłem kury. Nawet próbowałem jeść, ale zawsze stawał mi przed oczyma ten cholerny pełzający kogut.

Pierwszy raz spojrział wprost na Raymonda Banksa.

– Rozumie pan, jak to jest?

Raymond popatrzał w bok, unikając jego oczu.

– Tak. Tak, mój panie. To musiało być dosyć okropne.

Bert zebrał się w sobie.

– Więc, zacząłem myśleć o tym wieszaniu. Może się zdarzyć jak z tym kogutem. On wciąż mi się śnił, kiedy byłem dzieckiem. Za każdym razem, jak bolał mnie brzuch i miałem koszmary, to zawsze śnił mi się ten kogut. Gdybym z panem pojechał na to wieszanie, potem wciąż by mi się to śniło. Niedawno wieszali kobietę w Arizonie i sznur odciął jej głowę. Jakby coś takiego akurat się stało, to byłoby sto razy gorzej niż z tym kogutem. Nigdy bym już nie miał potem spokoju.

– Ale to się prawie nigdy nie zdarza – zapewniał Raymond. – Mówię panu, to wcale nie takie straszne, jak się wydaje.

Bert jakby go nie słyszał. Na jego wykrzywionej twarzy malowała się zgroza.

– I powiedział pan, że niektórzy tam mdleją i wymiotują. Wiem dlaczego. Wyobrażają sobie, że to oni stoją pod szubienicą z pętlą na szyi. Czują się tak, jak ten człowiek, z którym to się dzieje. Sam przez to przeszedłem. Wyobraziłem sobie, że mają mnie powiesić, że zostało mi tylko dwadzieścia cztery godziny życia. To najpotworniejszy koszmar na świecie. Więc pomyślałem, po co mam jechać i ginąć z przerażenia? Zwymiotuję. Wiem, że tak będzie. Przeżyję wszystko razem z tym biedakiem na szubienicy. Myślałem o tym całą noc, czułem sznur na szyi. I jak zasnęłam, prześcieradło nasunęło mi się na twarz i śniło mi się, że to ten cholerny czarny kaptur.

– Powiadam panu, nikt się nad tym nie zastanawia! – zawołał gniewnie Raymond. – A jeśli panu takie rzeczy łążą po głowie, nie ma pan prawa tam jechać. Powtarzam, to nie takie straszne, jak się wydaje. Chciał pan jechać, więc wystarałem się o pozwolenie i tyle. Po diabła mi pan to wszystko opowiada? Jak pan nie chce jechać, to niech pan po prostu powie i już!

Z oczu Berta znikła zgroza. Skwapliwie wykorzystał gniew Raymonda.

– Nie ma się co złościć, panie Banks. Chciałem tylko wytłumaczyć, czemu nie chcę jechać. Nie musiałbym tego robić, gdyby pan miał choć trochę wyobraźni. Wtedy zrozumiałby pan. I sam by pan nie jeździł patrzeć, jak się tych biedaków uśmierca.

Raymond odwrócił się z pogardą.

– Pan jest po prostu tchórz – powiedział i pomaszerował do swej półciężarówki.

Wściekle gnał drogą, do swego rancho. Gdy przyjechał, zgasił silnik i pomału powlókł się do domu. Jego żona ścinała róże.

– Co z tobą, Ray? Wyglądasz na chorego! – zawołała.

Raymond spojrział na nią spode łba.

– Głowa mnie boli i tyle. Przejdzie. Wiesz, że Bert Munro chciał jechać ze mną w przyszłym tygodniu?

– Wiem.

– Teraz nie chce.

– Co mu się stało?

– Stchórzył. Boi się na to patrzeć.

Żona zaśmiała się z przymusem.

– Nie jestem pewna, czybym sama chciała.

– Ty jesteś kobieta, ale on podobno mężczyzna.

Następnego ranka Raymond siedział osowiały przy śniadaniu i prawie nic nie jadł. Żona patrzyła na niego z niepokojem.

– Wciąż cię głowa boli, Ray? Może byś co zażył?

Raymond zignorował to pytanie.

– Muszę napisać do Eda i nie wiem, jak mu wytłumaczyć.

– Co wytłumaczyć?

– A bo zdaje się, że się zaziębił. Nie wiem, czy będę mógł we czwartek jechać. Daleka droga i na zatoce zimno.

Pani Banks zamyśliła się.

– Czemu go do nas nie zaprosisz? Nigdy u nas nie był, a ty u niego tyle razy.

Raymondowi twarz się rozjaśniła.

– Do licha! Świetna myśl! Tyle lat do niego jeżdżę i że też mi to do głowy nie wpadło!

Zaraz napiszę, żeby do nas przyjechał.

– Urządzimy na jego cześć piknik z pieczeniem kurcząt – zaproponowała pani Banks.

Raymond się nachmurzył.

– O, lepiej nie. Taki bliski przyjaciel jak Ed będzie wolał być sam z nami. Ale piwo – mówię ci, jak on lubi piwo! Już do niego piszę.

Wyjął z szuflady pióro, blok listowego papieru i butelkę atramentu. I gdy jego ręka zawahała się nad papierem, znowu spochmurniał.

– Diabli nadali z tym całym Bertem Munro! Tylko głowę zawracał. Ale skąd mogłem wiedzieć, że stchórzy.

10

Rodzice Pata Humberta byli w średnim wieku, kiedy się urodził, a nim doszedł do dwudziestego roku życia, byli już starzy, uparci i złośliwi. Rósł w atmosferze starczych dolegliwości i chorób, utyskiwań i zarozumiałości podeszłego wieku. Rodzice nie liczyli się z jego zdaniem, gardzili nim, bo był młody.

– Jak będziesz żył tak długo jak my, inaczej będziesz na wszystko patrzył – mawiali. Nienawidzili jego młodości, bo była bezbolesna. Ich wiek, jak uważali, jest stanem wyższym, niemal boskim w swym dostojeniu i nieomyślności. Nawet reumatyzm jest czymś godnym pozazdroszczenia, bo płaci się nim za wielką mądrość osiągniętą z wiekiem. Wmówili w Pata, że wszystko, co młode, nic nie jest warte. Młodość jest nieudolnym, niezdarnym przygotowaniem do doskonałej starości. Młodzi nie powinni myśleć o niczym innym jak tylko o obowiązkach, jakie mają wobec ludzi starych, o należytej im czci i poważaniu. Z drugiej strony młodym nic się od starych nie należy.

Kiedy Pat miał szesnaście lat, cała praca na farmie spadła na niego. Ojciec usunął się z życia na fotel na biegunach stojący przy kominku w bawialni, skąd wydawał rozkazy, edykty i wyroki.

Humbertowie zajmowali stary, rozbudowany farmerski dom, w którym było pięć pokoi: zawsze zamknięty salon, zimny i okropny jak zły los, duszna i nagrzana bawialnia, zalatująca zapachem medykamentów, dwie sypialnie i obszerna kuchnia. Staruszkowie siadywali na miękkio wyściełanych bujakach i żalili się gorzko, jeśli Pat nie odrywał się kilka razy dziennie od pracy na farmie, żeby przyjść i dorzucić węgla do pieca. Pod koniec życia czuli do niego prawdziwą nienawiść za to, że jest młody.

Żyli długo. Pat miał trzydzieści lat, gdy oboje umarli w ciągu jednego miesiąca. Byli nieszczęśliwi, zgorzkniali i niezadowoleni z życia, ale trzymali się kurczowo tej iskierki, co się w nich jeszcze ledwo tliła, i umarli dopiero po długiej, zaciętej walce.

Były to dla Pata dwa straszne miesiące. Przez trzy tygodnie doglądał leżącej nieruchomo w łóżku matki, której oddech grzechotał, gdy go wciągała i wypuszczała z płuc. Obserwowała go kamiennym, oskarżającym wzrokiem, gdy zabiegał, by jej ulżyć. A kiedy umarła, oczy jej dalej go oskarżały.

Pat otworzył z klucza straszny salon; sąsiedzi zasiedli rzędami przed trumną, jak w kościelnych ławach. Z sypialni dochodziło zrzędlawe popłakiwanie starego pana Humberta.

Drugi okres pielęgniarstwa zaczął się zaraz po pierwszym pogrzebie i trwał trzy tygodnie. I znowu sąsiedzi zasiedli rzędami u stóp drugiej trumny. Przed tymi dwoma pogrzebami salon niemal zawsze był zamknięty na klucz. Otwierano go tylko raz w miesiącu do sprzątnięcia. Zasłony były w nim stale opuszczone, żeby chronić zielone chodniki przed słońcem. W środku pokoju stał stół z marmurowym blatem na złoconych nogach, na nim makatka z „Aniołem Pańskim” Milleta, a na serwecie – ogromna Biblia w głęboko tłoczonej oprawie. Po obu stronach Biblii przycupnęły dwa wazony z nieśmiertelnikami. Stały jeszcze w salonie cztery wysokie krzesła, zwykle pod ścianami, a w razie potrzeby – dwa pod trumnę i dwa dla tych, co przy niej czuwali. Wisiały tam także trzy wielkie obrazy w złoconych ramach – dwie powiększone, kolorowe fotografie obojga starych Humbertów, tak zrobione, że oczy ich stale szły za intruzem, który wtargnął do tego pokoju; na trzecim obrazie wyobrażone było ciało Elaine płynące łodzią po smutnej wąskiej rzece. Z burty łodzi zwisał całun i zanurzał się w wodzie. W rogu pokoju stał na trójkątnym stoliku wysoki, szklany klosz, pod którym trzy wypchane wilgi siedziały na

gałązce wiśni. Tak zimny i ponury był ten salon, że nikt w nim nigdy nie przebywał z wyjątkiem nieboszczyków i tych, co przy nich czuwali. Był w istocie prywatną kostnicą. Pat widział już trzy ciotki i jednego wuja, których wyniesiono z tego pokoju, by ich pochować.

Stał teraz spokojnie przy mogile, na której sąsiedzi usypywali kopiec ziemi nadając mu kształt namiotu. Grób jego matki już się trochę obsunął i dokoła wzniesienia powstała zygzakowata szpara. Mężczyźni uklepywali nową mogiłę, wyrównywali jej wierzchołek, wygładzali skośne boki. To byli zamiłowani rolnicy; zawsze starali się porządnie wykonać każdą robotę związaną z ziemią – czy mieli ją zorać, czy usypać z niej mogiłę.

Kopiec był już idealnie równy, ale jeszcze to tu, to tam przyklepywali ziemię łopatami. Kobiety poszły do pojazdów i czekały na mężów. Mężczyźni jeden po drugim podchodzili do Pata, potrząsali mu rękę i mruczeli jakieś uroczyste i przyjazne słowa. Wozy, bryki i bryczki zaczynały wolno odjeżdżać, stopniowo znikwały w oddaleniu. Pat wciąż stał na cmentarzu wpatrzony w dwie mogiły. Nie wiedział, co pocnie teraz, kiedy już nikt nie będzie nic od niego żądał.

W powietrzu czuło się jesień, jej ostry zapach i lekkie podmuchy wiatru, które zrywały się nagle i nagle cichły. Dzikie gołębie siadły rządkiem na cmentarnym płocie, wszystkie zwrócone głowami w jedną stronę, wszystkie nieruchome. Kawałek starej wyblakłej gazety unosił się nad ziemią i przylgnął do kostek Pata. Schylił się, podniósł go, chwilę popatrzał i odrzucił. Od drogi doszedł zgrzyt kół bryki. Właściciel sklepu Allen uwiązał konia przy płocie i podszedł do Pata.

– Myśleliśmy z żoną, że pewno nie chciałbyś być sam dziś wieczór – rzekł trochę zmieszany – więc może zjesz z nami kolację i zostaniesz na noc.

Pat wyrwał się z odrętwienia.

– Dawno powinienem stąd pójść – powiedział. Nieporadnie szukał jeszcze jakichś słów. – Nie wiem, po co tu stoję.

– Lepiej stąd odejść – rzekł Allen.

– Ciężko odejść. To taka rzecz, co raz ją się chce zapamiętać, a raz zapomnieć. Ale ciężko stąd odejść, bo wtedy wiadomo, że to już koniec – na zawsze.

– Zjemy razem kolację u nas w domu.

Pat już się nie bronił.

– Nigdy jeszcze nie jadłem kolacji poza domem – wyznał. – Oni – wskazał głową dwie mogiły – oni nie lubili wychodzić po zmroku. Nie służyło im nocne powietrze.

– Dobrze ci zrobi, jak zjesz u nas kolację. Nie powinieneś wracać do pustego domu, przynajmniej dziś. Człowiek powinien się trochę oszczędzać.

Wziął Pata pod ramię i pociągnął w kierunku furtki.

– Pojedź za mną swoim wozem – rzekł.

Gdy już wychodzili z cmentarza, nasunęła mu się smętna refleksja.

– Należy umierać jesienią – powiedział Allen. – Źle umierać na wiosnę i nie wiedzieć, czy spadły deszcze ani jak się udały zbiory. Jesienią wszystko mamy za sobą.

– Ich by to nie obchodziło. Oni nigdy nawet o zbiory nie pytali. I nie cierpieli deszczu, bo mieli reumatyzm. Oni tylko chcieli żyć. Nie wiem po co.

Na kolację była zimna wołowina, ziemniaki smażone z cebulą i budyń chlebowy z rodzynkami. Pani Allen starała się jakoś pocieszyć Pata, często wspominając jego rodziców, jacy byli dobrzy, jaki z jego ojca był porządny człowiek, jak świetnie gotowała jego matka. Pat wiedział, że kłamie, byle mu jakoś pomóc, ale on wcale tej pomocy nie potrzebował. Nie był pogrążony w głębokim smutku. Wciąż go spowijało otepienie i z wielkim trudem zmuszał się do mówienia.

Przypomniął sobie coś, co zdarzyło się w czasie pogrzebu. Kiedy sąsiedzi zdejmowali trumnę z dwóch krzeseł, któryś z nich popchnął marmurowy stół przewracając wazon z nieśmiertelnikami i przesuując Biblię leżącą na serwecie. Pat wiedział, że należałoby wszystko przywrócić do dawnego porządku. Krzesła odstawić pod ściany i Biblię położyć na miejsce. I powinien znowu zamknąć salon na klucz. Przez pamięć dla matki.

Allenowie namawiali go, żeby u nich przenocował, ale po chwili wahania powiedział apatycznie „dobranoc” i wyszedł na dwór zaprząc konia. Niebo było czarne i chłodne tam, gdzie nie świeciły gwiazdy, wzgórza nuciły cicho w zimnym mroku. Słyszał poprzez warstwę oszołomienia człapanie podków konia na drodze, krzyk nocnych ptaków, powiewy wiatru wśród schnących liści.

Prawdziwiej brzmiały mu głosy jego rodziców: – Ma się na mróz – mówił jego ojciec. – Już wolę szczury niż mróz. – I matka włączała się w te jego narzekania: – Właśnie, zdaje się, że w piwnicy są szczury. Ciekawam, czy Pat nastawił pułapki w tym roku. Mówiłam mu, ale on zapomina wszystko, co mu się mówi.

– Założyłem trutki w piwnicy – odpowiedział Pat. – Trutki lepsze niż pułapki.

– Najlepszy jest kot – mówił płaczący głos matki. – Nie wiem, czemu nie mamy kota. Pat nigdy nie chce kota.

– Trzymałem koty, matko, ale zagryzały susły, dziczały i uciekały. Nie możemy ich tu trzymać.

Dom był ciemny i niewysławienie ponury, gdy wrócił. Pat zaświecił lampę i rozpałił ogień w piecu, żeby ogrzać kuchnię. Gdy płomień zahuczał w polanach, usadowił się w fotelu i było mu dobrze i wygodnie. „Może by tak – pomyślał – przynieść tu łóżko i spać przy piecu? Jutro można będzie wszystko w domu uporządkować, a jak nie jutro, to któregoś dnia”.

Otworzył drzwi bawialni i owiała go fala zimnego, martwego powietrza, w nozdrza uderzył zapach pogrzebowych kwiatów, starości i lekarstw. Przeszedł szybko do swej sypialni i przesunął łóżko do ciepłej, jasnej kuchni.

Po chwili zdmuchnął lampę i położył się. Ogień w piecu z cicha potrzaskiwał. Noc była spokojna, lecz stopniowo dom ożył złowróżbnymi głosami. Pat leżał w napięciu, ciało miał zimne. Nasłuchiwał szmerów z bawialni, czy nie zaskrzypi bujający fotel, czy nie dojdzie go głośny oddech rodziców. Zatrzeszczało gdzieś w domu i choć Pat na to czekał, drgnął gwałtownie. Głowa i nogi pokryły się potem. Udręczony wysunął się ostrożnie z łóżka i zamknął na klucz drzwi bawialni. Potem znów się położył i drżał pod kocami. Noc była teraz bardzo cicha, a on – bardzo samotny.

Następnego ranka Pat obudził się z chłodnym poczuciem nie spełnionego obowiązku. Zastanowił się, jaki to obowiązek ma spełnić. Oczywiście – Biblia wciąż leży nie na swoim miejscu. Trzeba ją przesunąć na środek stołu. Wazon nieśmiertelników też należy ustawić tak, jak był. Potem trzeba posprzątać w całym domu. Pat czuł, że powinien wszystko to zrobić, ale wzdrygał się przed otwarciem drzwi bawialni. Drżał na myśl o tym, co zobaczy – dwa fotele na biegunach po obu stronach kominka, na poduszkach wgniecenia wytłoczone ciężarem ciał zmarłych rodziców. Czuł już niemal woń starości, lekarstw i zwiędłych kwiatów, która czała się po drugiej stronie drzwi. Ale to było jego obowiązkiem. Musi to zrobić.

Napalił w kuchennym piecu, przygotował sobie śniadanie. I kiedy pił gorącą kawę, jego myśli zaczęły nagle biec innym torem, stały się całkiem odmienne od jego dotychczasowego sposobu myślenia. Były to myśli niezwykle, owładnęły nim, zdumiały go swoją prostotą i zuchwałością.

– Po co mam tam wchodzić? – przekonywał się. – Nikomu na tym nie zależy, nikogo to nie obchodzi. Nie muszę tego robić, jeśli nie chcę.

Poczuł się jak chłopiec, który wagaruje, żeby pospacerować po przyjemnym głębokim lesie. Ale w uszach zabrzmiał mu zrzędlawy głos matki, protestujący przeciw temu wybuchowi wolności: – Pat powinien sprzątnąć dom. Pat nigdy się o nic nie troszczy.

Szarpnęła nim radość buntu. – Nie żyjesz! – powiedział. – Jesteś tylko w mojej wyobraźni. Nikt mi już nie będzie mówił, co mam robić. Nikt się nie dowie, czy robię tu wszystko, co trzeba, czy nie. Nie wejdę tam ani teraz, ani nigdy!

I szybko, póki starczyło mu jeszcze ducha, podszedł pewnym krokiem do drzwi, wyjął z nich klucz i rzucił w wysokie zarośla za domem. Potem pozamykał wszystkie okiennice, z wyjątkiem okiennic kuchni, i zaryglował je długimi prętami.

Radość odzyskanej wolności nie trwała długo. Cały dzień pracował na farmie, ale przed wieczorem zatęsknił do dawnych obowiązków, które pochłaniały długie godziny i skracały czas. Zdawał sobie sprawę, że boi się wejść do domu, że boi się tych wgniecionych poduszek i nie leżącej na miejscu Biblii. Trzymał pod kluczem dwa watele i stare duchy, ale nie odjął im mocy dokuczania.

Tego wieczoru po kolacji zasiadł przy piecu. Przerażliwa samotność opadła go jak mgła na pustkowiu. Nasłuchiwał ukradkowych głosów starego domu, szeptów i trzasków. Czekał w takim napięciu, że po chwili usłyszał skrzyp bujaków w sąsiednim pokoju i lekki zgrzyt odkręcanej pokrywki słoika z maścią. Nie mógł tego dłużej znieść. Poszedł do stodoły, zaprzągnął konia i pojechał do sklepu Allena.

Trzech mężczyzn siedziało wokół pękatego pieca i z najwyższym skupieniem wpatrywało się w jego nierówności. Zrobili miejsce, żeby Pat mógł sobie przysunąć krzesło. Nikt na niego nie spojrzał, bo człowiekowi w żałobie należą się takie same towarzyskie względy jak kalece. Pat siadł na krześle i też zaczął wpatrywać się w piec.

– Przypomnijcie mi, że przed wyjściem mam wziąć trochę mąki – powiedział.

Mężczyźni wiedzieli, co to znaczy. Wiedzieli, że mąka wcale mu nie jest potrzebna, ale każdy w podobnych okolicznościach też by poszukał jakiejś wymówki. Allen otworzył drzwiczki pieca, zajrzał i splunął na węgle.

– W takim domu człowiek z początku czuje się trochę samotny – zauważył.

Pat był mu wdzięczny, chociaż jego słowa były towarzyskim uchybieniem.

– Trzeba mi też trochę tytoniu i naboi – powiedział, żeby mu się jakoś odplacić.

Od tego czasu Pat zmienił swoje obyczaje. Zdecydowanie szukał ludzi. Za dnia pracował na farmie, ale wieczorami zawsze chodził tam, gdzie zbierali się ludzie. Na urządzane w szkole zabawy i tańce zawsze przychodził wcześniej i zostawał, póki ostatni gość nie wyszedł. Przesiadywał w domu Johna Whiteside'a, pierwszy przychodził na wspólne ogniska. W dniu wyborów tkwił w lokalu wyborczym aż do zamknięcia. Gdziekolwiek zebrano się trochę ludzi, pewne było, że Pat się zjawi. To ciągłe szukanie towarzystwa stało się w nim niemal instynktowne.

Pat nie był przystojny, miał duży nos, mocne szczęki. Wyglądał jak Abraham Lincoln w młodości. Ubrania leżały na nim równie źle, jak na Lincolnie. Nozdrza i uszy miał duże, pełne włosów. Mogło się здаwać, że kryją się w nich jakieś kosmate zwierzątka. Nie był rozmowny; sam wiedział, że mało co wnosi do zebrań, w których uczestniczył, i starał się to wyrównać swoją aktywnością, wyświadczeniem przysług, załatwianiem wszystkiego, co trzeba. Cieszył się, gdy go wybierano do komitetu organizującego tańce w szkole, bo mógł z tego tytułu zachodzić do innych jego członków i omawiać z nimi wszystkie sprawy; poświęcał całe wieczory dekorowaniu sali szkolnej lub biegał po dolinie pożyczając od jednych krzesła, od innych talerzy. Jeśli zdarzył się wieczór, że nie było żadnego zebrania, w którym mógłby wziąć udział, jechał swoim ciężarowym Fordem do Salinas i siedział w kinie przez dwa seanse. Od czasu tych dwóch

pierwszych nocy straszliwej samotności nigdy więcej nie spędził wieczoru w swym opustoszałym domu. Przerażało go wspomnienie Biblii, czekających foteli na biegunach, zadawnionych zapachów.

Już dziesięć lat Pat Humbert dryfował po dolinie w poszukiwaniu towarzystwa. Postarał się, by go wybrano do Rady Szkolnej; wstąpił do Łoży Masońskiej i towarzystwa wzajemnej pomocy „Odd Fellows” w Salinas. I nigdy nip zauważono, żeby opuścił jakie zebranie.

Mimo że tak bardzo lgnął do ludzi, nie stał się integralną częścią żadnej z grup, do których należał. Raczej trzymał się gdzieś na krańcach, nie odzywał się, jeśli się do niego nie zwracano. Ludzie w dolinie uważali jego obecność za nieuniknioną i bezlitośnie go wykorzystywali nie podejrzewając, że tego właśnie pragnie.

Kiedy zebranie się kończyło i Pat musiał wreszcie wracać do domu, odstawiał Forda do stodoły i szybko kładł się do łóżka. Rzadko udawało mu się zapomnieć o strasznych pokojach po drugiej stronie nieruchomych drzwi. Nieraz ich obraz stawał mu przed oczyma. Warstwa kurzu już na pewno jest gruba, pajęczyny rozpięte we wszystkich kątach, na wszystkich meblach. Gdy ta wizja nacierała na niego tak, że nie mógł się przed nią obronić, drżał w swoim łóżku i usiłował stosować wszystkie znane mu sposoby, żeby zasnąć.

Pat nie dbał o swój dom, bo go nienawidził. Stary budynek niszczał i rozpadał się. Biała róża, która przez całe lata była jedynie małym, pękatym krzewem, niespodzianie rozrosła się, jakby wstąpiło w nią nowe życie, i zaczęła się pięć po frontonie domu. Pokryła ganek, rozwiesiła festony nad zamkniętymi okiennicami i spuściła długie wstęgi z okapu. Po tych dziesięciu latach dom wyglądał jak wielki różany kopiec. Ludzie przechodzący drogą zatrzymywali się podziwiając wielkość i urodę tej róży. Pat prawie nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. Nie chciał myśleć o domu, jeśli nie musiał.

Farma Humbertów była dobrą farmą. Pat dbał o nią i wyciągał z niej pieniądze, a że mało wydawał, miał ładnych parę tysięcy dolarów odłożonych w banku. Kochał farmę dla niej samej, ale i dlatego, że za dnia chroniła go przed lękiem. Gdy pracował, nie nachodziła go zimna samotność, strach przed pustką. Rodził mu się na tej farmie piękny owoc. Ale głównie zajmował się hodowlą malin. Rzędy podpartych krzaków bieging równolegle do szosy. Co roku mógł sprzedawać swoje owoce wcześniej niż ktokolwiek w dolinie.

Kiedy rodzina Munrów przybyła do Pastwisk, Pat miał czterdzieści lat. Powitał ich po sąsiedzku. Przybył jeszcze jeden dom, gdzie będzie mógł spędzać wieczory. A że Bert Munro był człowiekiem towarzyskim, więc lubił, gdy Pat do niego zachodził. Pat był dobrym farmerem. Bert często prosił go o radę. Pat nie zwracał szczególnej uwagi na Mae Munro; spostrzegł tylko – i szybko o tym zapomniał – że to ładna dziewczyna. Nieczęsto myślał o ludziach jako o poszczególnych jednostkach, byli dla niego po prostu pewnego rodzaju antidotum na truciznę osamotnienia, ucieczką od uwięzionych w domu duchów.

Pewnego popołudnia wczesnym latem Pat pracował wśród swoich malin. Klęczał między krzakami i okopywał motyką korzenie. Owoce już się zawiązywały, liście były bladozielone i śliczne. Pat posuwał się powoli wzdłuż rzędu krzaków. Robota dawała mu zadowolenie i nie drżał przed nadchodzącą nocą, bo miał być u Munrów na kolacji. Nagle usłyszał dochodzące od drogi głosy. Choć zza krzewów nie mógł dojrzeć, poznał, że to pani Munro i jej córka Mae przechodzą koło jego domu.

– Mamo, spójrz no tylko! – Pat przestał pracować, żeby lepiej słyszeć. – Czy widziałas kiedy taką piękną różę?

– Rzeczywiście, ładna – rzekła pani Munro.

– Ona mi coś przypomina – mówiła dalej Mae. – Pamiętasz pocztówkę z tym ślicznym domem w Vermont, którą nam wujek Keller przysłał? Ten dom obrosły różami wygląda zupełnie

jak na tej pocztówce. Chciałabym zobaczyć go wewnątrz.

– Wątpię, czy ci się to uda. Pani Allen mówiła, że nikt nie był w tym domu, odkąd rodzice Pata Humberta umarli. A minęło już dziesięć lat od tego czasu. Nic nie mówiła, czy ten dom jest ładny w środku.

– Jeśli na zewnątrz jest obrośnięty tak pięknie różami, to na pewno też musi być piękny wewnątrz. Ciekawam, czy pan Humbert pozwoli mi kiedyś go obejrzeć...

Oddaliły się i nie było już słycać ich rozmowy. Kiedy znikły, Pat podniósł się i popatrzył na wspaniałą różę. Nigdy dotąd nie zauważył jej urody – wielki stóg zielonych liści, gęsto pokryty białymi kwiatami.

– Jest ładna – powiedział. – I przypomina piękny dom w Vermont. Przypomina piękny dom w Vermont i... Tak, ładna, bardzo ładna róża.

poprzez gęstą zieleń i poprzez mur domu ujrzał nagle wizję bawialni. Szybko wrócił do pracy i walczył ze sobą, żeby nie myśleć o domu. Ale słowa Mae wracały i wracały: „Musi być piękny w środku”.

Pat zamyślił się. Jak też wyglądają wnętrza domów w Vermont? Znał solidną i okazałą rezydencję Johna Whiteside'a i wraz z całą doliną podziwiał pluszowe wygody domu Berta Munro, ale domu naprawdę pięknego nigdy nie widział. Przebiegł pamięcią wszystkie wnętrza, jakie znał, ale na pewno żadne nie było tym, co Mae miała na myśli. Przypomniał sobie ilustrację, jaką widział kiedyś w magazynie – pokój z błyszczącą podłogą, białe boazerie i schody; był to chyba dom Washingtona w Mount Vernon. Ta ilustracja zrobiła na nim wrażenie. Może o tym Mae mówiła?

Chciałby zobaczyć pocztówkę z widokiem domu w Vermont, ale jak poprosi, żeby mu pokazali, domyślał się, że podsłuchiwał. Czuł nieodpartą chęć zobaczenia tego pięknego domu, który by wyglądał jak jego własny. Odłożył motykę i zaczął się przechadzać przed gankiem. Naprawdę, róża była cudowna. Niby baldachim, niby markiza z białych gwiazd nad zamkniętymi oknami. Dziwiło go, że nigdy jej dotąd nie zauważył.

Tego wieczoru zrobił rzecz, która nigdy by mu przedtem nie przysłała do głowy. Gdy już stał w drzwiach domu Munrów, nagle postanowił, że nie spędzi z nimi wieczoru.

– Mam ważną sprawę w Salinas – wytłumaczył się. – Mogę stracić dużo pieniędzy, jeśli zaraz tam nie pojedę.

W Salinas poszedł prosto do biblioteki publicznej.

– Macie tu jakie obrazki domów w Vermont, ale ładnych? – zapytał bibliotekarkę.

– Znajdzie je pan w różnych pismach. Pokażę panu, gdzie szukać.

Siedział tam aż do zamknięcia. Znalazł ilustracje rozmaitych domów, wnętrz, jakich sobie nawet nie wyobrażał. Pokoje z góry zaplanowane; każda ozdoba, każdy mebel, nawet podłogi i ściany były ze sobą zharmonizowane, stanowiły część ogólnej kompozycji. Gdy patrzył na te ilustracje, odezwało się w nim głębokie i instynktowne poczucie porządku, koloru, kształtu. Nie wiedział, że pokoje mogą tak wyglądać i że mogą stanowić jednolitą całość. Te, które dotychczas widywał, były wynikiem stopniowego i przypadkowego gromadzenia przedmiotów. Ciotka Zofia przysłała wazon, ojciec kupił krzesło. W kominek wstawiono piec, bo dawał więcej ciepła. Spółka Handlu Mąką wydała kalendarz i matka kazała oprawić wycięte z niego obrazki. Wysyłkowy dom towarowy ogłaszał, że ma nowe modele lamp. Tak meblowano domy, które znał. A patrząc na te ilustracje wiedziało się, że ktoś miał jakąś myśl, jakąś ideę i że wszystko w tych wnętrzach było jej podporządkowane. Tuż przed zamknięciem biblioteki znalazł dwie umieszczone obok siebie ilustracje. Jedna przedstawiała wnętrze pokoju takiego, jakie nieraz widywał, a na drugiej był ten sam pokój, z którego wyniesiono wszystkie graty i ustawiono meble według jakiegoś planu. Po raz pierwszy w życiu Pat chciał być jak najszybciej w domu.

Pragnął położyć się i rozmyślać, bo zaczynał mu świtać dziwny pomysł.

Nie mógł spać tej nocy. Zbyt wiele rzeczy kłębiło mu się w głowie. Raz nawet wstał i zapalił lampę, bo chciał zajrzeć do swojej książeczki czekowej. Jeszcze przed świtem wstał, ubrał się i przygotował śniadanie, a gdy jadł, wzrok jego nieustannie wędrował ku zamkniętym drzwiom. W oczach błyszczało światelko złośliwej uciechy.

– Będzie ciemno – powiedział. – Lepiej otworzę okiennice, zanim tam wejdę.

Kiedy zrobił się dzień, wziął żelazny drąg i obszedł dom dokoła wybijając pręty i otwierając okiennice. Nie podchodził do okien salonu, bo nie chciał uszkodzić róży. Wreszcie wrócił do kuchni i stanął przed zamkniętymi drzwiami. Dawna wizja wstrzymała go na chwilę.

– To potrwa najwyżej minutę – przekonywał sam siebie. – Od razu zacznę wszystko rozwalać.

Żelazny drąg zabalansował w jego ręku i grzmotnął w zamek. Drzwi rozwarły się skrzypiąc żałośnie w zawiasach. Straszliwy pokój stanął przed nim otworem. Wewnątrz było mglisto od pajęczyn, stęchła, zastała woń wtargnęła w otwarte drzwi. Po obu stronach pokrytego rdzą pieca stały fotele na biegunach. Nawet poprzez grubą warstwę kurzu znać było wgłębienia w ich poduszkach. Ale nie to było najgorsze. Pat dobrze wiedział, gdzie jest źródło jego strachu. Szybko przeszedł przez bawialnię ściągając pajęczyny z oczu. W salonie było ciemno, bo nie otworzył okiennic. Nie musiał błdzić, żeby znaleźć stół, dobrze wiedział, gdzie stoi. Dziesięć lat go prześladował! Chwycił stół razem z Biblią, przebiegł kuchnię i cisnął wszystko na podwórze.

Teraz mógł działać wolniej. Strach zniknął. Okna zawarte były tak mocno, że musiał je wywazać żelaznym drągiem. Pierwsze poszły fotele na biegunach, tocząc się i podskakując, gdy odbijały się od ziemi; potem obrazy, ozdoby z kominka, wypchane wilgi. A gdy już wszystko, co dało się ruszyć – meble, ubrania, serwety i wazony – leżało porozrzucone pod oknami, Pat zerwał przymocowane do podłogi chodniki i rzucił je na kupę za okno. Potem zaczął wnosić kubły wody i oblewał dokładnie ściany i sufit. Wszystko to robił z głęboką satysfakcją. Gdy wyrzucał krzesła – łamał im umyślnie nogi.

Podczas gdy ściemniała ze starości tapeta nasiąkała wodą, Pat wyszedł na dwór, zebrał wszystko spod okien w jeden stos i podpalił. Stare, spleśniałe obicia i nasiąkłe pokostem drzewo niechętnie się tliły wydzielając smród stęchlizny, wilgoci i brudu. Płomień buchnął dopiero, jak oblał wszystko naftą. Fotele trzeszczały oddając płomieniom swe duchy. Radośnie patrzył na stos.

– Siedzieliście tam przez wszystkie te lata, może nie? – wykrzykiwał. – Myśleliście, że nigdy się nie zdobędzie, żeby was spalić? Gdybyście tu tylko gdzieś byli i zobaczyli, co robię. Stare, zgniłe rupiecie!

Zielone chodniki spaliły się do cna, zostały po nich tylko czerwone pląty. Wazony i dzbany pękały w gorącu na drobne kawałki. Pat słyszał syk mentolu i maści uśmierzającej bóle, która wyciekała ze słoików i smażyła się w ogniu. Czuł się tak, jakby przewodził straceni wroga. Odszedł dopiero, gdy cały stos doszczętnie spłonął. Ściany nasiąkły tymczasem wodą i tapeta odlepiła się długimi, szerokimi pasami.

Tego popołudnia Pat pojechał do Salinas i kupił wszystkie pisma poświęcone architekturze wnętrz, jakie mógł znaleźć. Wieczorem, po kolacji, dokładnie je przeglądał. W końcu znalazł ów idealny pokój. Co do innych miał różne wątpliwości; ten nie nastreczał żadnej.

I mógł łatwo urządzić taki sam w swoim domu. Jeśli usunie ścianę działową między bawialnią a salonem, otrzyma pomieszczenie długości trzydziestu stóp i na piętnaście stóp szerokie. Okna trzeba będzie poszerzyć, zrobić większy kominek, podłogi wycyklinować, zabejcować i pociągnąć lakierem. Pat wiedział, że sam wszystkiemu podoła. Ręce swędziły go do roboty.

– Zacznę jutro – powiedział.

Ale jeszcze coś go wstrzymało:

– Jej się ten dom podoba już teraz. Nie może wiedzieć, że dopiero zaczynam wszystko robić. Domyśliłaby się, że słyszałem, co mówiła o domu w Vermont. Nikt nie powinien wiedzieć, co tu robię. Zaraz będą pytać dlaczego. – I zastanowił się, dlaczego właściwie chce wszystko to zrobić. – Nie ich interes – odpowiedział sam sobie. – Nie muszę się każdemu tłumaczyć. Mam swoje powody. Jak Boga kocham, będę to wszystko robił w nocy!

Zaśmiał się cicho do siebie. Rozbawiła go myśl, że przebuduje swój dom w sekrecie. Będzie sam tu pracował i nikt się nie dowie. Potem, jak wszystko już doprowadzi do końca, zaprosi kilka osób i będzie udawał, że zawsze tu tak było. Nikt nie pamiętał, jak było dziesięć lat temu.

Teraz inaczej zorganizował sobie życie. W ciągu dnia pracował na farmie, a gdy tylko robiło się ciemno, spieszył radośnie do domu. Ilustrację, przedstawiającą gotowy już pokój, powiesił w kuchni na ścianie. Spoglądał na nią co najmniej dwadzieścia razy dziennie. Kiedy wmurowywał ławeczki do wnęk okiennych, kiedy wylepiał ściany zielonkawą tapetą i pokrywał boazerie kremową emalią, widział już przed sobą gotowy pokój. Po potrzebne materiały jeździł wieczorem do Salinas i przywoził je nocą. Pracował do późna i zasypiał niewypowiedzianie szczęśliwy.

Ludzie z doliny zauważyli, że Pat przestał się udzielać. Gdy czasem zachodził do sklepu Allena, pytano go, co się z nim dzieje. Ale miał już przygotowaną odpowiedź:

– Chodzę na jeden z tych korespondencyjnych kursów. Uczę się wieczorami.

Mężczyźni uśmiechali się. Samotność nikomu nie służy – o tym wiedzieli. Nieżonaty mężczyzna na farmie zawsze trochę dziwacznie, wcześniej czy później.

– Czego to się uczysz, Pat?

– Czego? O, po prostu budownictwa.

– Czas by się ożenić, Pat. Latka idą.

Pat czerwieniał ze złości.

– Nie gadajcie głupstw – mówił.

Budując w nocy swój pokój, Pat układał sobie coś w rodzaju małej sztuki teatralnej, która wyglądała mniej więcej tak: Pokój już jest całkiem gotowy, wszystkie meble na swoich miejscach. Ogień w kominku płonie czerwonym płomieniem, lampy rzucają światło na błyszczącą podłogę i politurowane meble. Podchodzi do niej i mówi, ot tak, od niechcenia: „Słyszałem, że podobają ci się te vermonckie domy”. Nie! To na nic! Lepiej spytam: „Podobają ci się domy w Vermont? Tak? Wiesz, mam jeden pokój urządony zupełnie tak samo!”

Te rozmowy wstępne nigdy nie brzmiały zupełnie przekonująco. Nie mógł znaleźć odpowiedniego sposobu na zwabienie jej do swego domu. Więc szedł dalej, pomijając ten fragment sztuki. Ma dość czasu, żeby się nad tym zastanowić.

Teraz wchodzi do kuchni. Tu nic się nie zmienia, żeby pokój jeszcze bardziej ją zaskoczył. Zatrzyma się na progu, on stanie za nią, rozłoży ręce, pchnie drzwi. I oto jest pokój, raczej ciemny, ale pełen przyćmionych świateł. Ogień w kominku, niby szeroki strumień, światło lamp odbija się w podłodze. Można już dostrzec połyskliwe, kretonowe zasłony i tłustego tygrysa na makatce z juty wiszącej nad kominkiem. Cynowe naczynia lśnią bogato, lecz dyskretnie. Ciepło tu i przytulnie. Pierś Pata wzbiera dumą.

Więc ona stoi w drzwiach i... Co powie? No cóż, jeśli czuje to samo co on, to nic nie powie. Może omal się nie rozplacze. Dziwne jest to dobre, pełne uczucie, kiedy zbiera się na łzy. Będzie stała tak minutę lub dwie, nic, tylko patrząc. A potem Pat powie: „Nie weszłabyś, żeby chwilę posiedzieć?”

I wtedy, naturalnie, minie pierwsze oczarowanie. Ona zacznie mówić o tym pokoju łamiącym się z zachwytu głosem, urywanymi zdaniem. Pat będzie o nim mówił, jak o czymś najzupełniej normalnym.

– Owszem, nawet lubię ten pokój – powiedział to głośno, zajęty pracą. – Tak. Zawsze myślałem, że jest niebrzydki. Któregoś dnia przyszło mi do głowy, że może chciałabyś go sobie obejrzeć.

Sztuka kończyła się tak: Mae siedzi w wolterowskim fotelu przy ogniu. Pulchne, ładne ręce złożyła na podolku. I gdy tak siedzi, oczy jej patrzą gdzieś w dal... Pat nigdy nie posuwał się dalej, bo w tym miejscu ogarniało go wielkie zmieszanie. Gdyby układał dalej tę sztukę, byłoby to jak podglądanie dwojga ludzi, którzy chcą być sami. Chwila pełna emocji, ten elektryzujący moment następował wtedy, gdy otwierał drzwi, gdy ona zatrzymywała się w progu oszołomiona pięknym pokojem.

Po trzech miesiącach, kiedy wszystko już było gotowe, Pat schował ilustrację do portfela i pojechał do San Francisco. W biurze firmy meblowej rozłożył ją na stole.

– Chcę takie meble – powiedział.

– Chyba nie z epoki?

– Co to znaczy „z epoki”?

– Stare meble, prawdziwe antyki. Nie dostałby ich pan taniej jak za trzydzieści tysięcy dolarów.

Twarz Pata wydłużyła się. Miał wrażenie, że cały jego pokój się wali.

– Och, nie wiedziałem.

– Ale możemy panu dostarczyć kopie wszystkiego, co tu jest.

– Ależ, naturalnie. Dobrze. Doskonale. Ile by takie kopie kosztowały?

Wezwano pracownika z działu zakupów. We trzech sporządzili listę wszystkich przedmiotów uwidocznionych na ilustracji: okrągły stół z barierką wokół blatu; stół z kłapami, na prostych nogach; krzesło z poręczami i zaokrąglonym, wygiętym oparciem; krzesło z wiklinowym siedzeniem i drabinkowym oparciem; fotel wolterowski; ławeczka przed kominek; barwne szmaciane dywaniki; zasłony z błyszczącego sztywnego kretonu; lampy z kloszami z matowego szkła i kryształowymi wisiorami; wysoki, otwarty kredensik; barwne fajansowe talerze; cynowe świeczniki i naczynia.

– Wszystko razem około trzech tysięcy dolarów, panie Humbert.

Pat zamyślił się i zmarszczył czoło. Ale po co ma oszczędzać?

– Kiedy moglibyście mi to dostarczyć? – zapytał.

Czekał na zawiadomienie, że meble przybyły już do Salinas, a tymczasem froterował posadzkę, aż błyszczała jak tafla jeziora. Z pokoju wychodził tyłem zacierając lekkie ślady stóp froterką. Aż w końcu przybyły oczekiwane skrzynie na stację towarową. Cztery razy obrócił swoją ciężarówką do Salinas, zanim zwiózł wszystko. Zawsze jeździł tam nocą, w sekrecie. Wszystkie jego działania otaczała intrygująca atmosfera tajemniczości.

Pat wypakowywał skrzynie w stodole. Wnosił do pokoju krzesła, fotele i stoły i wiele razy przyglądał się swej ilustracji, zanim je poustawiał na właściwych miejscach. Tego wieczoru zapłonął na kominku ogień. Światła matowych lamp odbijały się w podłodze, tłusty tygrys z makatki nad kominkiem zdawał się drzeć w migotliwym blasku płomienia.

Pat wszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi. Po chwili bardzo wolno znowu je otworzył i stanął w progu patrząc. Pokój przepojony był ciepłem, ciepłem zapraszającym i przytulnym. Cynowe naczynia wyglądały okazalej, niż przypuszczał. Krawędzie talerzy na półkach otwartego kredensiku odbijały błyski ognia. Stał w drzwiach i starając się nadać właściwe brzmienie

słowom, powiedział w sposób jak najbardziej niedbały.

– Owszem, nawet lubię ten pokój. Przyszło mi kiedyś do głowy, że może chciałabyś go sobie obejrzeć.

Przerwał, bo nagle naszała go okrutna wątpliwość. „Przecież ona nie będzie mogła sama tu przyjść! Dziewczyna nie może przychodzić wieczorem do domu nieżonatego mężczyzny. Ludzie zaczęliby gadać, a poza tym nigdy by tego nie zrobiła!”

Był gorzko rozczarowany. „Matka z nią przyjdzie. Może nie będzie przeszkadzała. Niech sobie stanie gdzieś tu, z tyłu”.

Teraz, kiedy wszystko już było gotowe, ogarniał go bezwład, nie mógł uczynić dalszego kroku. Mijał wieczór za wieczorem, a on wciąż odkładał zaproszenie jej do siebie. Ciągłe próbował swoją sztukę i najdokładniej już wiedział, gdzie Mae przystanie, jak będzie wyglądała, co powie. Przygotował nawet dla niej zapasowe kwestie, które mogłaby powiedzieć. Przeszedł cały tydzień, a Pat odwlekał wizytę do Munrów, która sprowadziłaby ją do czekającego pokoju.

Któregoś popołudnia zebrał w sobie całą silną wolę i całą odwagę.

– Nie mogę wciąż odkładać. Pójdę tam dziś wieczór. – Po kolacji włożył najlepsze ubranie i wybrał się do domu Munrów. Tylko ćwierć mili drogi. Nie będzie mógł jej zaprosić na dzisiejszy wieczór. Ogień powinien płonąć w kominku, lampy powinny się palić, kiedy przyjdzie. Noc była chłodna i bardzo ciemna. Pat potykał się na piaszczystej drodze i martwił się, jak będą wyglądały jego wyglansowane buty.

W domu Munrów płonęły światła. Przed bramą stały zaparkowane samochody.

„Mają gości – pomyślał. – Zaproszę ją któregoś innego dnia. Nie mogę tego robić przy ludziach”.

Zastanowił się, czy nie zawrócić.

– Wyglądałoby dziwnie, gdybym ją zaprosił przy pierwszym spotkaniu, po tym, jak nie widzieliśmy się tyle czasu. Mogłaby coś podejrzewać”.

Kiedy wchodził, Bert Munro chwycił go za rękę.

– Pat Humbert! – wykrzyknął. – Co się z tobą działo, Pat?

– Uczyłem się wieczorami.

– Świetnie, żeś przyszedł. Miałem być jutro u ciebie. Pewnie domyślasz się po co?

– Nie.

– Jak to? Mae i Bill Whiteside pobierają się w przyszłą sobotę. Chciałem cię prosić, żebyś pomógł przy urządzaniu wesela. Będzie tylko takie zwykłe, domowe przyjęcie zaraz po ślubie. Zawsze przecież pomagałeś przy zabawach w szkole, zanim dostałeś tej manii uczenia się.

Trzymał Pata za ramię i chciał go przeprowadzić przez sień. Z pokoju dolatywał gwar wielu głosów.

Pat oparł mu się stanowczo. Przydała się jego zaprawa w nonszalancji:

– Doskonale. W sobotę, powiadasz? Pomogę z przyjemnością. Nie, teraz nie mogę zostać. Spieszę się do sklepu.

Potrząsnął mu rękę i szybko wyszedł.

W swej niedoli chciał ukryć się gdzieś, zagrzebać w jakimś ciemnym kącie, gdzie nikt go nie zobaczy. Szedł mechanicznie w stronę swojej farmy. Stary dom był ciemny i ponury nie do zniesienia. Wszedł do stodoły, wdrapał się po drabinie i położył na sianie. W głowie miał pustkę, mózg jak skurczony rozczarowaniem. Za nic nie pójdzie do domu. Bał się, że znowu mógłby zamknąć na klucz drzwi. Potem, przez te wszystkie lata, co mają nadejść, dwa zdumione duchy żyłyby w tym pięknym pokoju. A Pat w swojej kuchni rozumiałby, czemu wpatrują się z melancholijnym zamyśleniem w cień nie płonącego na kominku ognia.

11

W latach osiemset pięćdziesiątych Ryszard Whiteside przybył na Daleki Zachód, zobaczył z bliska, jak wygląda praca poszukiwaczy złota, i orzekł, że nie w tym kierunku pójdą jego wysiłki.

– Ziemia raz tylko daje plon złota. A gdy obdzielili nim tysiące właścicieli działek, nie na długo tego każdemu starczy. To jest zła gospodarka.

Ryszard wędrował po wzgórzach i dolinach Kalifornii w określonym celu: chciał założyć dom dla swych jeszcze nie narodzonych dzieci i dla ich dzieci. W owych czasach mało kto w Kalifornii miał poczucie odpowiedzialności wobec swych potomków.

Pewnego pogodnego wieczoru wjechał ' dwoma kasztanami na grzbiet wzgórz otaczających Pastwiska Niebieskie. Wstrzymał konie, spojrzął na zieloną dolinę i wiedział już, że znalazł swój dom. Wiele oglądał pięknych miejsc w czasie swej włóczęgi, ale nigdy nie doznał takiego poczucia doskonałości. Przypomnieli mu się ateńscy i lacedemońscy kolonizatorzy, szukający nowych ziem opiewanych w mglistych prorocत्वach; myślał o Aztekach, którzy wędrowali za wiodącym ich orłem.

– Brak tylko jakiegoś znaku na niebie czy na ziemi – rzekł do siebie Ryszard. – Wiem, że to jest to miejsce, ale gdyby jeszcze ukazał mi się jakiś proroczy znak, jakiś szczęśliwy omen, miałbym co opowiadać moim dzieciom.

Spojrzął na niebo, ale nie było na nim ani chmur, ani ptaków. Nagle powiał wietrzyk, który zwykle wieczorem przewiewa wzgórze. Drzewa nieznacznymi, ukradkowymi gestami wskazały dolinę, a lekki podmuch poderwał liście, które zawirowały po stoku. Ryszard zaśmiał się:

– Oto odpowiedź! Niejedno miasto zostało założone dzięki mniej wyraźnej wskazówce bogów!

Po chwili zszedł ze swego wozu i wyprzągnął konie. Spętał im nogi i ruszyły drobnymi, nierównymi skokami ku przydrożnej trawie. Ryszard zjadł chleb z szynką i położył koce na murawie stoku.

W dolinie gęstniał już szary zmierzch, gdy leżał w swym legowisku patrząc na Pastwiska Niebieskie, które miały być jego domem. Na dalekim krańcu, przy kępie pięknych dębów, tam jest to wybrane miejsce; tam, gdzie zaczyna się stok wzgórze, gdzie zarosła krzewami fałda – pewnie strumień. Światło było teraz niepewne i magiczne. Ryszard ujrzał piękny dom, a przed nim dobrze utrzymany ogród i białą wieżę wodociągu, i żółte światelka w oknach, małe punkciki zapraszających lamp. Otworzyły się szerokie frontowe drzwi i gromadka dzieci wybiegła na werandę – co najmniej sześcioro. Spojrzały w gęstniejący mrok i na wzgórze, gdzie Ryszard leżał na swych kocach. Po chwili wróciły do domu, drzwi się za nimi zamknęły. I wraz z zamknięciem drzwi zniknął dom, ogród i biała wieża. Ryszard westchnął z zadowoleniem i położył się na wznak. Niebo było pokłute gwiazdami.

Przez tydzień Ryszard z zapalem jeździł po całej dolinie. Kupił dwieście pięćdziesiąt akrów gruntu w Pastwiskach Niebieskich, był w Monterey, żeby uzyskać tytuł własności i założyć hipotekę, a kiedy ziemia już niezaprzeczalnie należała do niego, wybrał się do architekta.

Sześć miesięcy przeszło, zanim stanął dom, nim go wyposażono i umebłowano, nim wykopano studnię i wzniesiono nad nią wieżę wodociągu. Cały pierwszy rok tylko murarze i cieśle pracowali na nowo nabytej farmie Whiteside'a. Ziarno nie dotknęło jeszcze ziemi.

Sąsiad, którego niepokoiła tego rodzaju procedura, zajął się wybadaniem nowego właściciela.

– Sprowadza pan rodzinę, panie Whiteside?

– Nie mam rodziny – rzekł Ryszard. – Moi rodzice umarli. Nie mam żony.

– Więc po kiego diabła stawia pan taki wielki dom?

Twarz Ryszarda spoważniała.

– Tu będę żył. Przybyłem tu, by zostać. Moje dzieci i dzieci moich dzieci, i ich dzieci będą mieszkać w tym domu. Wielu tu się narodzi Whiteside'ów i wielu pomrze. Ten dom może stać i pięćset lat, jeśli się będzie o niego dbało.

– Rozumiem, co pan ma na myśli – rzekł sąsiad. – To bardzo pięknie brzmi, ale my tutaj inaczej robimy. Najpierw stawiamy małą chatę, a dopiero jak ziemia zaczyna przynosić dochód, budujemy coś więcej. Niedobrze jest od razu za dużo łożyć. Może się panu zechce stąd ruszyć?

– Nie ruszę się stąd! – wykrzyknął Ryszard. – Właśnie przeciw temu się bronię. Wznoszę budowlę tak mocną, że ani ja, ani moi potomkowie nie będą mogli stąd odejść. Żeby temu zapobiec, każę się tu pochować, gdy umrę. Ludziom ciężko opuszczać groby ojców. – Twarz mu złagodniała. – Nie rozumiesz, człowieku, do czego zmierzam? Zakładam dynastię. Zakładam rodzinę i buduję gniazdo rodzinne, które przetrwa może nie na zawsze, ale co najmniej kilkaset lat. Stawiam ten dom i cieszy mnie myśl, że ci, co się ze mnie zrodzą, będą chodzić po jego podłogach, że dzieci tych, których pradziadkowie jeszcze się nie urodzili, tu przyjdą na świat. Wbuduję załóżek tradycji w ten dom.

Oczy Ryszarda błyszczały, gdy to mówił. Uderzenia stolarskiego młotka akcentowały jego słowa.

Sąsiad pomyślał, że ma do czynienia z szaleńcem, ale czuł coś w rodzaju szacunku dla jego szaleństwa. Chciał jakoś mu to wyrazić. Gdyby nie był Amerykaninem, może by dotknął swego kapelusza dwoma palcami. Trzysta mil stąd dwaj dorośli synowie tego człowieka ścinałi drzewo, córka wyszła za mąż i przeniosła się do Nevady. Jego rodzina rozpadła się, zanim jeszcze naprawdę powstała.

Ryszard zbudował swój dom z kalifornijskiej sosny, która nie próchnieje. Nadał mu styl pięknych, wiejskich dworów Nowej Anglii, ale, jako ustępstwo dla klimatu Pastwisk Niebieskich, otoczył go szeroką werandą. Dach tymczasem pokryto gontem, lecz gdy jego zamówienie doszło do Bostonu i gdy statek wrócił, Zerwano gonty i zastąpiono łupkową dachówką, jakiej się używa na wschodnim wybrzeżu. Dach był ważny, miał dla Ryszarda znaczenie symbolu. A dla ludzi w dolinie był czymś, co warto pokazywać, czym warto się chwalić. Ten właśnie dach, bardziej niż co innego, 'i uczynił Ryszarda Whiteside'a pierwszym obywatelem doliny. To był człowiek, na którym można polegać, jego dom stał tutaj. Nie zamierzał stąd uciekać na złotodajne pola. No bo – tu miał dom kryty dachówką. I był człowiekiem wykształconym. Skończył Uniwersytet imienia Harvarda. Miał pieniądze i miał dość wiary, by postawić sobie duży, wspaniały dom w tej dolinie. Będzie tu rządził. Jest założycielem i patriarchą rodu i ma dom kryty dachówką. Ludzie bardziej odtąd cenili i szanowali Pastwiska Niebieskie, bo stał tam dom kryty dachówką. Gdyby Ryszard był politykiem ubiegającym się o jakieś stanowisko, nie mógłby zrobić mądrzejszego posunięcia, jak pokryć dach swego domu dachówką. Ciemno lśniła w deszczu; w słońcu błyszczała jak lustro ze stali.

Wreszcie dom był gotowy i dwóch parobków zajęło się zakładaniem sadu i szykowaniem ziemi do przyjęcia ziarna. Stadko owiec szczypało trawę na stoku za domem. Ryszard uznał, że wszystkie przygotowania są zakończone. Był gotów na przyjęcie żony. i gdy nadszedł list od dalekiego krewnego, że właśnie przyjechał do San Francisco z żoną i córką i że miło by mu było zobaczyć Ryszarda – Ryszard zrozumiał, że nie potrzebuje dalej szukać. Zanim wyjechał do San Francisco, wiedział już, że ta córka zostanie jego żoną. To był właściwy wybór. Nie byli

wspólnej krwi z tą dziewczyną.

Chociaż zachowali wszystkie pozory zalotów, sprawa została ustalona, jak tylko się spotkali. Alicja była zadowolona, że wyrwie się spod matczynych rządów i założy własne domowe imperium. Dom był jak dla niej stworzony. Nie przebywała w nim nawet dwudziestu czterech godzin, a już zdążyła wyłożyć półki spiżarni papierem z ażurowym, wyciętym w ząbki brzegiem, zupełnie takim samym, jaki był kiedyś w spiżarni matki Ryszarda. Zarządzała domem na stary sposób, wygodny, niezmienny i cykliczny – pranie w poniedziałek, prasowanie we wtorek i tak dalej; dywany zdejmowano i trzepano dwa razy do roku; każdej jesieni smażono powidła i pomidory, robiono marynaty, które ustawiano na półkach w piwnicy. Farmą rozwijała się, przybywało owiec i krów, a w ogrodzie co roku kwitły centurie, groszek pachnący, goździki i malwy. I Alicja spodziewała się dziecka.

Ryszard wiedział, że wszystko to się zdarzy. Dynastia została założona. Wyloty kominów były już osmolone. Kominek w bawialni dymił tyle, co trzeba, by wypełnić dom słodką wonią palonego drzewa. Wielka, piankowa faja, którą dostał od teścia, zmieniła kolor z kredowobiałego na ciepły kremowożółty.

Teraz, kiedy dziecko miało się narodzić, Ryszard traktował Alicję jak obłożnie chorą. Wieczorem, gdy siadali przy ogniu, otulał jej nogi pledem. Bał się, że coś złego może się przytrafić jej albo oczekiwaniem dziecku. Wspólnie zastanawiali się, na co powinna jak najczęściej patrzeć, żeby mogło to wpłynąć na urodę ich pierworodnego. Chcąc sprawić jej niespodziankę, Ryszard sprowadził z San Francisco posążek z brązu, kopię rzeźby Michała Anioła przedstawiającą Dawida. Alicja rumieniła się patrząc na jego nagość, ale wkrótce już zaczęła uwielbiać tę małą figurkę. Gdy kładła się spać, stawiała posążek na nocnym stoliku. W ciągu dnia, podczas swych gospodarskich zajęć, przenosiła Dawida z pokoju do pokoju, wieczorem stawiała w bawialni na kominku. Często, gdy patrzyła na jego kształtne, jędrne ciało, lekki, znaczący uśmiezek pojawiał się i znikał z jej twarzy. Była całkiem pewna, że jej dziecko będzie podobne do Dawida.

Ryszard siedział przy niej i głaskał jej rękę. Lubiła, kiedy gładził jej dłoń mocno, żeby nie łaskotać. Rozmawiali cicho i spokojnie.

– Kłątwa została już zdjęta – mówił Ryszard. – Czy wiesz, Alicjo, moja rodzina, a zarazem twoja dalsza rodzina, żyła w jednym domu sto trzydzieści lat? To była jej siedziba, jej ognisko domowe i tam nasza krew mieszała się z czystą, dobrą krwią Nowej Anglii. Mój ojciec kiedyś opowiadał, że siedemdziesiąt troje dzieci narodziło się w tamtym domu. Nasz ród rozmnażał się szybko, aż do pokolenia mojego dziadka. Ale już mój ojciec był jedynym dzieckiem i ja też nie miałem rodzeństwa. Mój ojciec bardzo nad tym bolał. Miał tylko sześćdziesiąt lat, gdy umarł, a ja byłem jego jedynym dzieckiem, Alicjo. Kiedy miałem dwadzieścia pięć lat i byłem dopiero u progu życia, nasz stary dom spłonął doszczętnie. Nie wiem, z czego powstał ogień.

Ułożył jej rękę na oparciu swego fotela, tak delikatnie, jakby ta ręka była małym słabym zwierzątkiem. Rozżarzony węgielek potoczył się z ceglanego paleniska. Pchnął go z powrotem w ogień i znów ujął dłoń Alicji, która z uśmiechem patrzyła na posążek Dawida.

– Istniał w czasach starożytnych obyczaj... – mówił dalej Ryszard. Jego głos stał się cichy i oddalony, jakby dochodził z tamtych, dawnych czasów. Z biegiem lat Alicja nauczyła się poznawać po brzmieniu jego głosu, po pochyleniu głowy, kiedy zacznie mówić o starożytności. Bo czasy starożytne, czasy Herodota, Ksenofonta, Tucydysesa były mu najbliższe, były dla niego czymś osobistym. Na nieuczonym Zachodzie opowiadania Herodota brzmiały nowością, jakby Ryszard sam je wymyślił. Każdego roku na nowo czytał o wojnach perskich, „Wojnę Peloponeską” i „Anabazę”. Teraz gładził dłoń Alicji trochę mocniej.

– W czasach starożytnych, gdy jakieś miasto stale nawiedzały nieszczęścia, jego mieszkańcy wierzyli, że ciąży nad nim klątwa lub nienawiść bogów. Wówczas ładowali cały swój dobytek na okręty i płynęli szukając miejsca, gdzie mogliby założyć nowe miasto. Zostawiali swoje dawne siedziby puste i otwarte dla każdego, k. to chciałby je zająć.

– Czy mógłbyś mi podać posążek? – poprosiła. – Lubię go trzymać w ręku.

Zerwał się i położył jej na kolanach figurkę Dawida.

– Słuchaj, Alicjo. W ciągu dwu pokoleń tylko dwoje dzieci urodziło się w tym domu, zanim spłonął. Załadowałem wszystko, com miał, na okręt i pożeglowałem na Zachód, żeby założyć nowy dom rodzinny. Musisz to dobrze pojąć, że trzeba było stu trzydziestu lat, aby tamten dom stał się taki, jakim był, zanim go straciłem. Nie mogłem go odbudować. A wzniesienie nowego domu na miejscu, gdzie stał tamten, byłoby dla mnie zbyt bolesne. Gdy tylko ujrzałem tę dolinę, wiedziałem już, że to jest właściwe miejsce, że tu założę moje nowe gniazdo rodzinne. A teraz już rodzi się tutaj nowe pokolenie. Jestem bardzo szczęśliwy, Alicjo.

Wyciągnęła rękę, aby ścisnąć mu dłoń w podziękę za to, że może go uczynić szczęśliwym.

– Wiesz – powiedział nagle. – Kiedym przybył do tej doliny, ujrzałem nawet znak dany mi przez bogów. To był szczęśliwy omen, Alicjo. Zapytałem bogów, czy to jest wybrane dla mnie miejsce, i otrzymałem odpowiedź. Prawda, że to dobrze? Chcesz, żebym ci opowiedział o tym szczęśliwym znaku i o pierwszej nocy, jaką spędziłem na tym wzgórzu?

– Jutro mi o tym opowiesz – odparła. – Lepiej pójdę teraz i położę się.

Wstał i pomógł jej odwinąć pled z kolan. Alicja opierała się ciężko na jego ramieniu, gdy prowadził ją po schodach.

Dzieje się coś tajemniczego w tym domu, coś cudownego. Pojawia się nowa dusza. Rodzi się pierwszy z nowego plemienia.

– Będzie taki jak ten posążek – rzekła Alicja.

Ryszard otulił ją kołdrą, żeby się nie zaziębiła, i wrócił do bawialni. Słyszał dzieci w całym domu. Biegały tupiąc nóżkami po schodach, to w górę, to w dół, figlowały rozdmuchując popiół w kominku. Słyszał ich przyciszone nawoływania dochodzące z werandy. Zanim poszedł spać, położył swoje trzy grube księgi na górnej półce biblioteki.

Poród był bardzo ciężki. Kiedy już było po wszystkim i Alicja blada i wyczerpana odpoczywała w łóżku, Ryszard przyniósł jej maleńkiego synka i położył obok. , – Tak – powiedziała z przekonaniem – wygląda zupełnie jak nasz posążek. Naturalnie wiedziałam, że tak będzie. I naturalnie będzie miał na imię Dawid.

Wezwany z Monterey doktor zszedł na dół i siadł z Ryszardem przy kominku. Miał chmurne, zmarszczone czoło i wciąż okręcał swój masoński pierścionek wokół trzeciego palca. Ryszard otworzył butelkę koniaku i nalał dwa kieliszki.

– Chcę wypić toast za mojego syna, doktorze.

Doktor przytknął swój kieliszek do nosa i wciągnął powietrze jak koń.

– Dobry trunek – powiedział. – Lepiej niech pan wypije za swoją żonę.

– Oczywiście.

Wypili.

– A teraz, za mojego syna!

– Ten też za pańską żonę.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony Ryszard.

Doktor wetknął prawie cały nos do kieliszka.

– Coś w rodzaju podzięk. Diabło mało brakowało, a byłby pan wdowcem.

Ryszard szybko wlał sobie koniak do gardła.

– Nie wiedziałem... Myślałem... Nie, nie wiedziałem. Zdawało mi się, że zawsze jest ciężko przy pierwszym dziecku.

– Niech mi pan jeszcze naleje – dopominał się doktor. – Pan nie będzie już miał więcej dzieci.

Ryszard wstrzymał rękę, którą nalewał koniak.

– Co pan opowiada? Naturalnie, że będę miał.

– Nie. Nie z tej żony. Jeszcze jedno dziecko – i nie będzie pan miał żony.

Ryszard siedział bez ruchu. Cichy, dziecinny rozgwar, który od miesiąca słyszał w tym domu, nagle zamilkł. Zdawało mu się, że słyszy jeszcze ukradkowy tupot nówek wymykających się przez wejściowe drzwi i na dół po stopniach.

Doktor zaśmiał się gorzko.

– Czemu się pan nie upije, jeśli to dla pana taki cios?

– O nie, nie. Chyba nie mógłbym się upić.

– W każdym razie, niech mi pan jeszcze naleje kieliszek, zanim odjadę. Będzie zimno w drodze do domu.

Dopiero po sześciu miesiącach powiedział żonie, że nie będzie już mogła mieć dzieci. Chciał, żeby odzyskała dosyć sił, aby znieść lak wstrząsającą wiadomość. Kiedy w końcu zdecydował się to jej powiedzieć, sekret ciążył mu jak wina. Trzymała dziecko na kolanach i od czasu do czasu pochylała się, żeby przytknąć usta do jego rozcapierzonych paluszków. Dziecko uśmiechało się do niej niepewnymi oczkami i zaślinionymi ustami i wyciągało rączki do jej warg. Słońce zalewało okno. Z oddali dochodziło monotonne, jak piosenka, pokrzykiwanie parobka, który łąał orzący zaprząg. Alicja uniosła głowę i zmarszczyła się lekko.

– Czas, żebyśmy go ochrzcili, nie myślisz, Ryszardzie?

– Tak – zgodził się. – Załatwię to w Monterey.

Walczyła z jakąś ważką myślą.

– Czy za późno by było zmienić mu imię?

– Nie. Jest jeszcze czas. Ale czemu chcesz je zmienić? I jak chciałabyś go nazwać?

– Chcę, żeby się nazywał John. To imię z Nowego Testamentu. – Spojrzała szukając jego aprobaty. – A poza tym tak ma na imię mój ojciec. Sprawiłoby mu to radość. A poza tym nie wydaje mi się słuszne, żeby otrzymał imię po posążku, nawet jeśli to posążek Dawida. Gdyby on miał coś na sobie...

Ryszard nawet nie usiłował zrozumieć jej logiki. Zamiast tego, szybko zrzucił z siebie ciężar swego sekretu. Trwało to ledwie sekundę. Nie zdawał sobie sprawy, że tak mało zabierze czasu. Alicja uśmiechała się teraz dziwnym, zagadkowym uśmiechem, który go zdumiał. Jakkolwiek dobrze zdołał ją poznać, ten uśmiech trochę zagadkowy, trochę smutny, pełen ukrytej mądrości odcinał go od jej myśli. Kryła się za tym uśmiechem, który mówił:

„Jakże jesteś głupi. Znam takie rzeczy, wobec których cała twoja wiedza wydałaby się śmieszna, gdybym chciała o nich mówić. ”

Dziecko wyciągało ku jej twarzy niecierpliwe paluszki, a ona zginała je i prostowała.

– Poczekaj trochę – powiedziała. – Doktorzy nie wszystko wiedzą. Poczekaj trochę, Ryszardzie. Będziemy jeszcze mieli dzieci. – Wsunęła rękę pod pieluszkę chłopczyka.

Ryszard wyszedł z jej pokoju i siadł na frontowych stopniach. Za nim dom znowu pulsował życiem, a jeszcze kilka minut temu zdawał się cichy i martwy. Tysiące rzeczy było do zrobienia. Bukszpanowy żywopłot, który utrzymywał ogród w ryzach, nie był strzyżony od sześciu miesięcy. Dawno już temu przygotował pod trawnik ziemię, która czekała nasienia. Nie wybrał jeszcze miejsca na suszenie bielizny. Tuż przy nim była poręcz frontowych schodów. Położył na niej dłoń i gładził ją, jakby była wygiętą szyją konia.

Whiteside'owie stali się w Pastwiskach Niebieskich pierwszą rodziną niemal od dnia, gdy się tu osiedlili. Byli wykształceni, mieli dobrą farmę i choć niezbyt bogaci, nie odczuwali braku pieniędzy. A co najważniejsze, żyli wygodnie w pięknym domu. Ten dom był symbolem ich rodziny – przestronny, zbytkowny jak na tamte czasy, ciepły, gościnny i biały. Jego rozmiary dawały wrażenie solidności, ale jego biały, zawsze czysty i świeży kolor wywyższał go ponad inne domy w dolinie i górował nad nimi, podobnie jak nadreński zamek góruje nad przyległą wioską. Rodziny żyjące w Pastwiskach zawsze podziwiała ten biały dom, a także czuły się pewniejsze, bezpieczniejsze, bo tu był. Zawierał w sobie autorytet i kulturę, zdrowy sąd i dobre obyczaje. Sam widok tego domu był dla sąsiadów zapewnieniem, że Ryszard Whiteside jest dżentelmenem, że nie postąpi nigdy w sposób niski, okrutny lub nie przemyślany. Byli dumni z tego domu, jak drobni dzierżawcy w jakimś księstwie bywali dumni z książęcej siedziby. Choć niektórzy sąsiedzi wzbogacili się bardziej niż Whiteside, to jednak zdawali sobie sprawę, że nie mogliby zbudować takiego domu, nawet gdyby go najdokładniej skopiowali. I głównie z powodu tego domu Ryszard stał się w Pastwiskach wyrocznią obyczajów, a z biegiem czasu również jakby nieoficjalnym sędzią we wszelkich drobnych sporach. Zaufanie, jakim się cieszył, zrodziło w Ryszardzie ojcowskie uczucie dla całej doliny. Gdy się postarzał, zaczął uważać wszystkie sprawy doliny za swoje własne i ludzie dumni byli, że tak się stało.

Przeszło pięć lat, zanim intuicja powiedziała Alicji, że może mieć drugie dziecko.

– Zawołam doktora – rzekł Ryszard, gdy mu się z tego zwierzyła. – Doktor będzie wiedział, czy to jest bezpieczne, czy nie.

– Nie, Ryszardzie. Doktorzy nie wiedzą. Mówię ci, kobiety lepiej się na tym znają niż doktorzy.

Ryszard posłuchał jej, bo bał się tego, co doktor może powiedzieć.

– To jest boskie ziarno – tłumaczył sobie. – Natura zaszczerpiła w kobiecie tę wewnętrzną wiedzę po to, żeby gatunek mógł się rozmnażać.

Przez sześć miesięcy wszystko było dobrze, potem w domu zapanowała choroba. Doktor, gdy go w końcu wezwano, był tak rozgniewany, że nie chciał mówić z Ryszardem. Czas porodu był czasem grozy. Ryszard siedział przy kominku ściskając poręcz fotela i nasłuchiwał słabego krzyku dochodzącego z sypialni na górze. Twarz mu poszarzała. Po wielu godzinach krzyk ucichł.

Ryszard był tak przytłoczony lękiem, że nawet nie podniósł oczu, kiedy doktor wszedł do bawialni.

– Niech pan wyciągnie butelkę – rzekł zmęczonym głosem doktor. – Napijmy się za pana, głupcze! Niech pana wszyscy diabli...

Ryszard dalej na niego nie patrzył i nie odpowiadał. Doktor wymyślał mu jeszcze przez chwilę. Potem złagodniał.

– Pańska żona nie umarła. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. To, przez co przeszła, zabiłoby pluton żołnierzy. Te słabe kobiety! Mają niespożytą żywotność. Ale dziecko nie żyje. – Nagle poczuł chęć ukarania Ryszarda. za to, że nie usłuchał jego zaleceń. – Nie zostało nawet tyle, żeby pochować.

Odwrócił się i szybko wyszedł, bo złościło go, że mu tak bardzo jego żal.

Alicja stała się kaleką. Mały John nigdy jej nie znał innej. Odkąd pamiętał, zawsze ojciec wnosił ją po schodach na górę i znosił na dół. Alicja rzadko się odzywała, ale coraz częściej zagadkowy i mądry uśmiech zjawiał się w jej oczach. Lecz mimo swej słabości, dobrze zarządzała domem. Nieokrzesane wiejskie dziewczyny, które służbę w domu Whiteside'ow traktowały jako najlepsze przygotowanie do małżeństwa, przychodziły do niej przed każdym posiłkiem po dyspozycje. Alicja ze swego łóżka lub fotela na biegunach prowadziła cały dom.

Co wieczór Ryszard zanosił ją do sypialni.

Gdy leżała na białych poduszkach, przysuwał krzesło, siadał przy łóżku i gładził jej dłoń, póki nie zasnęła. Co wieczór pytała:

– Jesteś zadowolony, Ryszardzie?

– Jestem zadowolony – mówił.

Opowiadał jej o farmie i o ludziach z doliny. Był to raport ze zdarzeń dnia. Gdy mówił, na jej twarzy pojawiał się uśmiech i trwał, aż oczy jej się zamknęły. Ryszard zdmuchiwał lampę. Taki był codzienny rytuał.

Kiedy John skończył dziesięć lat, rodzice wyprawili mu urodzinowe przyjęcie. Przyszły wszystkie dzieci z doliny i krążąc na palcach po całym domu przyglądały się wspaniałościom, które znały dotąd ze słyszenia. Alicja siedziała na werandzie.

– Nie musicie się tak cicho zachowywać – powiedziała. – Biegajcie sobie i bawcie się swobodnie.

Ale one nie potrafiły biegać i krzyczeć w domu Whiteside'ów. Byłoby to jak biegać i krzyczeć w kościele. Kiedy obeszły już wszystkie pokoje, nie mogły dłużej wytrzymać. Przeniosły się do stodoły, skąd ich wrzaski dochodziły na werandę, gdzie siedziała uśmiechnięta Alicja.

Tego wieczoru, leżąc w łóżku, zapytała:

– Jesteś zadowolony, Ryszardzie?

Na jego twarzy wciąż jeszcze było rozbawienie.

– Jestem zadowolony – powiedział.

– Nie powinieneś martwić się o to, czy będą jeszcze dzieci – mówiła dalej. – Poczekaj trochę. Wszystko obróci się na dobre. – To była ta jej wielka, wszystko obejmująca wiedza. – Nie ma takiej troski, której by nie przytłumił upływający czas.

I Ryszard wiedział, że Alicja posiadała większą niż on mądrość.

– Niedługo będziesz na to czekał – mówiła dalej.

– Na co?

– Pomyśl o Johnie. Już ma dziesięć lat. Przejdzie jeszcze dziesięć lat i ożeni się, a potem... nie rozumiesz? Naucz go tego wszystkiego, co sam umiesz. Nasza rodzina przetrwa, Ryszardzie.

– O naturalnie, wiem o tym. Będę mu czytać Herodota. Już jest dosyć duży.

– Myrtle powinna jutro posprzątać we wszystkich pokojach gościnnych. Od trzech miesięcy nie były wietrzone.

John Whiteside zawsze pamiętał, jak ojciec czytał mu trzech wielkich autorów: Herodota, Tucydydesa i Ksenofonta. Piankowa faja stała się przez ten czas czerwonawobrazowa, zabarwiona równo i delikatnie.

– Tu jest zawarta cała historia – mówił Ryszard. – Wszystko, do czego ludzkość jest zdolna, zapisano w tych trzech księgach. Miłość i prześladowania, bezmyślna podłość, krótkowzroczność i bohaterstwo, szlachetność i smutek rodzaju ludzkiego. Na podstawie tych książek można wyrobić sobie sąd o przyszłości, bo nic się nie może zdarzyć, co się już nie zdarzyło i czego by nie zanotowano w tych książkach. W porównaniu z nimi Biblia jest zapisem bardzo niedokładnym, dokonany przez ludzi ciemnych.

John zachował też w pamięci cały uczuciowy stosunek ojca do domu, który był dla niego symbolem rodziny, świątynią zbudowaną wokół rodzinnego ogniska.

John był ostatni rok na Uniwersytecie imienia Harvarda, kiedy jego ojciec umarł nagle na zapalenie płuc. Matka napisała do niego, że musi skończyć studia, zanim wróci. „Nie mógłbyś

pomóc mi w niczym, bo wszystko, co trzeba, zostało już załatwione – pisała. – Ojciec twój życzył sobie, żebyś skończył uniwersytet".

Gdy w końcu przyjechał do domu, zobaczył, że jego matka bardzo się zestarzała. Nie opuszczała już łóżka. John siadł przy niej i słuchał o ostatnich dniach ojca.

– : Chciał, żebym ci jedną rzecz powtórzyła. Mówił: „Niech John zrozumie, że musimy przetrwać. Chcę żyć w następnych pokoleniach". Zaraz potem stracił przytomność.

John patrzył przez okno na kopiaście wzgórze za domem.

– Był nieprzytomny przez dwa dni. I cały czas mówił o dzieciach, tylko o dzieciach. Słyszał je, jak biegają w górę i w dół po schodach. Czuł, jak szarpią jego kołdrę. Chciał je pieścić i tulić do siebie. Później, na chwilę przed śmiercią, opuściły go te sny. Był-szczęśliwy. Powiedział: „Widziałem przyszłość. Będzie dużo, dużo dzieci. Jestem zadowolony, Alicjo".

John oparł głowę na dłoniach. I nagle jego matka, która nigdy dotąd na nic nie nalegała, zawsze zdając się na działanie czasu, uniosła się w łóżku i zaczęła gwałtownie mówić:

– Ożeń się! Zanim umrę! Ożeń się! Chcę, żebyś miał silną kobietę, która może rodzić dzieci. Ja nie mogłam, potem, gdy ciebie urodziłam. Umarłabym, gdybym jeszcze miała dziecko. Szybko znajdź sobie żonę, chcę ją jeszcze zobaczyć.

Znowu opadła na poduszki. Jej oczy były pełne smutku, wszystkowiedzący uśmiech znikł z jej twarzy.

Minęło sześć lat, a John wciąż się nie zenił. Matka schła ze starości, został z niej nieledwie szkielet obciążony niebieskawą, prawie przezroczystą skórą. Ale wciąż trzymała się życia. Jej pełen wyrzutu wzrok szedł za synem. Wstydził się, gdy na niego patrzyła. Aż kiedyś szkolny kolega Johna przybył na Zachód, żeby się rozejrzeć, i przywiózł ze sobą siostrę. Ich wizyta na farmie Whiteside'ów trwała miesiąc, a pod koniec tego miesiąca John oświadczył się Willi i został przyjęty. Kiedy powiedział o tym matce, wezwała do siebie Willę i zażądała, żeby zostawić je same. W pół godziny później Willa wyszła zaczerwieniona z pokoju chorej.

– Co się stało, kochanie?

– O, nic. Wszystko w porządku. Twoja matka pytała mnie o wiele rzeczy, a potem długo mi się przyglądała.

– Ona jest bardzo stara – tłumaczył John. – Umysł ma stary.

Wszedł do pokoju matki. Wyraz gorączkowego niepokoju znikł z jej twarzy. Wrócił dawny zagadkowy, wszystkowiedzący uśmiech.

– Już dobrze, John – powiedziała. – Chciałabym poczekać, żeby jeszcze ujrzeć dzieci, ale już nie starczy mi sił. Trzymałam się życia, dopóki mogłam. Już jestem zmęczona.

Niemal widać było, jak jej uparta wola rozluźniła uścisk, w którym trzymała ciało. Tej nocy straciła przytomność i w trzy dni później umarła tak cicho i spokojnie, jakby zasnęła.

John Whiteside myślał o domu niezupełnie w taki sam sposób jak jego ojciec. Jeszcze bardziej go kochał. Dom stał się jakby zewnętrzną skorupą jego ciała. Niby myśl, która może opuścić ciało, by wędrować gdzieś daleko, tak on mógł opuścić dom, ale wracał do niego, jak myśl musi wrócić do ciała. Co dwa lata odświeżał jego białe mury, sam dbał o ogród i przycinał bukszpanowy żywopłot. Nie zajmował w dolinie tak poczesnego miejsca jak jego ojciec. Nie miał jego skupionej uwagi ani jego pewności sądów. Gdy musiał rozstrzygnąć jakiś spór, zbyt łatwo poddawał się argumentom każdej ze stron. Wielka piankowa faja bardzo już pociemniała, stała się prawie czarna, rozświetlały ją tylko od wewnątrz czerwone światełka, gdy ją palił.

Willa Whiteside od razu pokochała dolinę. Alicja była spokojna i zachowywała dystans, budziła obawę. Ludzie z doliny rzadko ją widywali, a przy spotkaniach z nimi była uprzejma i zyczliwa i starała się ich nie urazić. Czuli się przy niej jak wieśniacy zachodzący do pałacu.

Willa lubiła odwiedzać kobiety w dolinie. Lubiała przesiadywać w ich kuchniach, popijać

cierpką herbatę i gwarzyć o ważnych sprawach związanych z gospodarstwem domowym. Z zapałem wymieniała rozmaite przepisy. Kiedy szła kogoś odwiedzić, zawsze zabierała ze sobą notes, w którym zapisywała' przekazane jej tajemne formuły. Sąsiadki były z nią po imieniu i często zachodziły do niej rano na herbatę. Być może, że częściowo pod jej wpływem John stał się towarzyski. Nie zachował pozycji, którą miał jego ojciec, dzięki swej rezerwie. John lubił sąsiadów. W gorące, letnie popołudnia siedział w ogrodowym krześle na werandzie i podejmował tych mężczyzn, którzy mogli oderwać się od pracy. Odbywały się tam polityczne dyskursy, małe zebrania przy szklance lemoniady. Budowano na tej werandzie społeczną i polityczną strukturę doliny, a zawsze odbywało się to na wesoło. John patrzył na płynące obok niego życie z rozbawieniem i ironią i może właśnie dzięki takiemu spojrzeniu przestała istnieć w dolinie ta religijna i polityczna zaciekleść, która zwykle zatruwa życie na wsi. Kiedy omawiano jakieś ważne wydarzenie czy nieszczęście o znaczeniu lokalnym lub narodowym, John przynosił swoje trzy księgi i czytał z nich głośno opis podobnej sytuacji w czasach starożytnych. Bo był jak jego ojciec rozmiłowany w antyku.

W niedzielę Whiteside'owie często zapraszali na obiad sąsiadów, a czasem jakiegoś wędrownego kaznodzieję. Kobiety zwykle pomagały w kuchni gotować obiad. Zdarzało się, że pastor czuł, jak płonący w nim święty ogień religijnego powołania zaczyna podczas obiadu wygasać i ulatuje w atmosferę łagodnej tolerancji, a gdy podano deser i wypito jabłecznik, nawet najbardziej zapalczywy baptysta już śmiał się szczerze z żarciku na temat chrztu w sadzawce.

Johna bawiły tego rodzaju rzeczy, ale ośrodkiem jego istnienia był pokój bawialny. Kryte skórą fotele, których wgłębienia i wypukłości ukształtowały wygodnie rozparte ciała, stały się częścią jego samego. Na ścianach ciągle wisiały obrazy, wśród których wzrastał: staloryty przedstawiające sarny i alpejskich wspinaczy, i górskie kozice. Te obrazy tak ściśle były związane z jego życiem, że już ich właściwie nie widział, ale gdyby któryś z nich stracił, odczułby to tak boleśnie, jakby mu odcięto nogę lub rękę. Wieczór przynosił przyjemność największą. Na kominku z czerwonej cegły palił się ogień. John siadał w swoim fotelu pieszcząc wielką piankową fajkę. Od czasu do czasu, żeby ją wypolerować, pocierał ją gładkim cybuchem o bok nosa. Czytał „Georgiki” lub dzieła Marka Terencjusza Varro o rolnictwie. Willa siedziała pod swoją lampą i zaciskając usta wyszywała kwiatowe desenie na serwetkach, które wysyłała jako prezenty gwiazdkowe krewnym ze Wschodu, od których takie same serwetki otrzymywała na Gwiazdkę.

John zamykał książkę i podchodził do biurka. Zasuwana pokrywa zawsze się zacinała i wymagała czynnej zachęty. Wówczas nagle ustępowała, odmykając się z trzaskiem. Willa rozchyłała wargi. Z jej twarzy zniknął wyraz napiętej męki, jaki zwykle przybierała wykonując coś starannie.

– Co tam, na Boga, robisz?

– Och, muszę coś sprawdzić.

Przez godzinę pracował przy biurku, wreszcie odzywał się:

– Posłuchaj, Willa.

Napięta twarz Willi znów się odprężyła.

– Wiedziałam z góry. Wiersz.

Odczytywał swój utwór i czekał zawstydzony. Willa taktownie milczała. Cisza przedłużała się, aż przestawała być taktowna.

– Zdaje się, że nie za bardzo dobry – mówiła Willa.

Śmiał się trochę żałośnie.

– Nie, nie za bardzo dobry – wrzucił zmiętą kartkę w ogień. – Przez chwilę myślałem, że będzie dobry.

– Co czytałeś, John?

– Przeglądałem Wergiliusza i pomyślałem sobie, że sam spróbuję ułożyć wiersz, ale nie chciałem, żeby... Och, czasem trudno samemu nie spróbować, jak się czyta takie piękne rzeczy. Nie ma o czym mówić.

Zasuwał pokrywę biurka i wyciągał nową książkę z biblioteki.

Ten pokój był jego właściwym domem. Tu był szczęśliwy, zupełny, był sobą. Tu, w bawialni, pod lampami, wszystkie najodleglejsze, rozproszone cząstki jego osobowości gromadziły się w określonej i zdecydowanej całości.

Życie przeważnie przebiega po linii krzywej. Wzrastająca ambicja, szczytowy łuk dojrzałości, łagodny spadek rozczarowań i w końcu – płaska linia czekania na śmierć. Życie Johna Whiteside'a biegło po linii prostej. Nie miał wygórowanych ambicji, farma nie tylko zapewniała mu wygodne życie, ale i przynosiła tyle, że mógł wynająć ludzi, którzy na niej pracowali. Nie chciał niczego więcej ponad to, co miał lub mógł łatwo uzyskać. Należał do tych nielicznych, którzy umieją smakować chwilę, gdy jeszcze trwa. I wiedział, że dobre wiedzie życie, niezwykle dobre.

Jedno tylko zakłócało mu spokój. Nie miał dzieci. A pragnął ich prawie tak samo gorąco, jak ojciec. Willa nie mogła mieć dzieci, choć również o nich marzyła. Nigdy nie poruszali tego tematu, bo wstrzymywało ich zakłopotanie.

W ósmym roku małżeństwa jakiś przypadek – natury nadprzyrodzonej czy chemicznej – sprawił, że Willa zaszła w ciążę. Przeszła cały jej okres bezboleśnie i normalnie i urodziła zdrowe dziecko.

Ten przypadek nigdy się więcej nie powtórzył, lecz Willa i John byli za niego wdzięczni zabobonną niemal wdzięcznością. I w Johnie odezwało się z siłą tłumione dotąd pragnienie, żeby coś po sobie zostawić. Przez kilka lat rozrywał ziemię pługiem, szarpał broną, gniótł walcem. Dotychczas był tylko przyjacielem swej farmy, rozbudzone poczucie obowiązku wobec przyszłych pokoleń przemieniło go teraz w jej pana. Zagrzebywał ziarno w ziemi i łakomie czekał na zielony plon.

Willa nie zmieniła się tak, jak jej mąż. Przyjęła jako rzecz normalną pojawienie się na świecie Williama, nazwała go Bill i nie dała się unieść zachwytem nad synem. John od razu dopatrzył się w chłopcu podobieństwa do swojego ojca, choć nikt inny tego nie zauważył.

– Czy myślisz, że to bystry chłopak? – pytał swoją żonę. – Przebywasz z nim więcej niż ja. Czy uważasz, że jest trochę inteligentny?

– W miarę. Jest po prostu normalny.

– Wydaje mi się, że tak się wolno rozwija – powiedział John niecierpliwie. – Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniesz rozumieć pewne rzeczy.

W dniu dziesiątych urodzin Billa John otworzył gruby tom Herodota i zaczął mu głośno czytać. Bill siedział na podłodze patrząc tępo na ojca. Odtąd co wieczór John czytał mu kilka stron. Po tygodniu, kiedy pewnego wieczoru podniósł wzrok znad książki, zobaczył, że Willa śmieje się z niego..

– Co się stało? – zapytał.

– Zajrzyj pod swój fotel.

Pochylił się i zobaczył, że Bill zbudował już cały dom z pudełek od zapalek. Był tym tak zajęty, że nie zauważył, jak ojciec przestał czytać.

– On w ogóle nie słuchał?

– Nie. Od razu przestał słuchać. Stracił całe zainteresowanie już pierwszego wieczoru, po pierwszym zdaniu.

John zamknął książkę i odłożył ją do biblioteki. Nie chciał okazać, jak dotkliwie go to

zraniło.

– Może jest jeszcze za młody. Poczekam rok i znowu spróbuję.

– Nigdy nie będzie tego lubił. Nie jest taki, jak ty i twój ojciec.

– Więc co go interesuje? – zapytał z trwogą.

– To, co innych chłopców w dolinie. Strzelby i konie, krowy i psy. Wymknął ci się, John, i chyba go nigdy nie przychwycisz.

– Powiedz mi prawdę. Czy on jest głupi?

– Nie – odparła z namysłem. – Nie, nie jest głupi. W pewnym sensie jest bystrzejszy i bardziej twardy niż ty. Nie jest jednak z twojego gatunku, John, i im wcześniej zdasz sobie z tego sprawę, tym lepiej.

John Whiteside czuł, że traci zapach do swojej farmy. Nic jej nie grozi. Bill będzie ją kiedyś uprawiał. Dom też jest bezpieczny. Bill nie jest głupi. Od najmłodszych lat interesował się mechaniką. Sam sobie robił małe wagoniki, a zawsze na gwiazdkę domagał się lokomotywy. John zauważył w nim jeszcze inne cechy różniące go od Whiteside'ów i obce im. Był nie tylko bardzo skryty, ale i sprytny, umiał dbać o swoje interesy. Sprzedawał kolegom swoje zabawki, a gdy im się znudziły, odkupywał je po niższej cenie. Drobnie pieniądze, jakie czasem dostawał, powiększały się w jego rękach w tajemniczy sposób. Dużo upłynęło czasu, zanim John uświadomił sobie, że nie ma między nim a synem porozumienia. Kiedy dał Billowi jałówkę, a on ją natychmiast przehandlował za miot prosiaczków, które podchowwał i sprzedawał – John śmiał się sam z siebie. – Na pewno jest sprytniejszy ode mnie – rzekł do Willi. – Kiedyś dostałem od ojca jałówkę i trzymałem ją, póki nie zdechła ze starości. Bill nie wiadomo po kim odziedziczył charakter. Może po jakimś piracie? Jego dzieci jednak na pewno będą Whiteside'ami. To mocna krew. Ale wolałbym, żeby nie był taki skryty.

Skórą obity fotel, czarna piankowa faja i książki znów oderwały Johna od farmy. Został wybrany sekretarzem Rady Szkolnej. Znów w jego domu zbierali się farmerzy na rozmowy. Włosy mu siwiały i w miarę jak się starzał, jego znaczenie w dolinie umacniało się.

Dom Whiteside'ów był najściślej związany z osobowością Johna. Ludzie z doliny myśląc o Johnie nigdy nie widzieli go samego – w polu, na wozie czy w sklepie. Wyobrażenie o nim było niekompletne, jeśli nie obejmowało jego domu. Siedział w fotelu obitym skórą, uśmiechając się do swoich książek, albo na krześle ogrodowym na obszernej, miłej werandzie, albo z koszykiem i sekatorem ścinał kwiaty w ogrodzie, lub też jako głowa domu krajał pieczeń z artystyczną starannością.

Na Zachodzie, jeśli rodzina żyje w jednym domu przez dwa pokolenia, uważa się, że dom ten jest stary, a rodzina – pionierska; budzi to rodzaj szacunku pomieszanego z niechęcią dla starych domów. Mało jest takich domów na Zachodzie. Ci niespokojni Amerykanie, którzy decydowali się osiedlić na ziemi, nigdy nie byli w stanie pozostać dłużej na jednym miejscu. Stawiali byle jakie domy i wkrótce przenosili się do nowych ziem obiecanych. Stare domy są prawie nieodmiennie zimne i brzydkie.

Kiedy Bert Munro wprowadził się wraz z rodziną na farmę Battle'ow, już po krótkim czasie zrozumiał, jaką pozycję w Pastwiskach Niebieskich zajmuje John Whiteside. Szybko też przyłączył się do mężczyzn zbierających się na jego werandzie. Farma Berta przylegała do ziemi Whiteside'ow. Wkrótce po przybyciu do doliny Bert został wybrany członkiem Rady Szkolnej i w ten sposób zaznajomił się bliżej z Johnem. Któregoś wieczoru, podczas zebrania Rady, John przytoczył jakieś zdanie z Tuczdydesa. Bert zaczekał, aż inni członkowie Rady pójdą do domu.

– Chciałem zapytać o tę książkę, o której mówił pan dzisiaj, panie Whiteside.

– „Wojna Pelopopeska”?

Przyniósł książkę i podał ją Bertowi.

– Chciałbym ją przeczytać, gdyby pan mógł mi pożyczyć.

John zawahał się przez sekundę.

– Oczywiście, proszę bardzo. To książka po moim ojcu. Jak pan ją skończy, mam inne, które może chciałby pan przeczytać.

Od tego momentu zawiązała się pewna zażyłość między obu rodzinami. Zapraszali się nawzajem na obiady i zachodzili do siebie, Bert pożyczał narzędzia rolnicze od Johna.

Pewnego wieczoru, w półtora roku po przybyciu Munrów, Bill wszedł sztywno do bawialni i stanął przed swymi rodzicami. Był zdenerwowany.

– Żenię się – rzekł szorstko.

Zachowywał się tak, że zabrzmiało to jak zła nowina.

– Co takiego? – wykrzyknął John. – Dlaczego nic nam nie mówiłeś? Z kim?

– Z Mae Munro.

John zdał sobie nagle sprawę, że była to dobra wiadomość, a nie przyznanie się do popełnionej zbrodni.

– To... dobrze! Bardzo się cieszę. To przyjemna dziewczyna, prawda, Willa?

Żona unikała jego wzroku. Tego ranka była u Munrów.

Bill, niewzruszony, tkwił pośrodku pokoju.

– Kiedy to ma być? – zapytała Willa. Jej głos wydał się Johnowi niemal wrogi.

– Już niedługo. Jak tylko będzie gotowy nasz dom w Monterey.

John podniósł się z fotela, wziął z kominka piankową faję i zapalił. Potem znowu wrócił na fotel.

– Trzymałeś to w ukryciu – powiedział spokojnie. – Czemu nic nam nie mówiłeś?

Bill się nie odzywał.

– Powiadasz, że będziecie mieszkali w Monterey. To znaczy, że nie chcecie żyć w tym domu? Nie chcesz tu mieszkać i nie chcesz uprawiać tej ziemi?

Bill potrząsnął głową.

– Czy ty nie ukrywasz czegoś, Bill?

– Nie, ojciec – rzekł Bill. – Niczego nie ukrywam, ale nigdy nie lubiłem mówić o swoich sprawach.

– A czy nie są to również nasze sprawy? – zapytał z goryczą John. – Należysz do naszej rodziny. Twoje dzieci będą naszymi wnukami.

– Mae wychowała się w mieście – przerwał Bill. – Wszystkie jej przyjaciółki mieszkają w Monterey. Wie ojciec – jej koleżanki ze szkoły. Nie podoba jej się tutaj, gdzie nie ma nic do roboty.

– Rozumiem.

– Więc jak powiedziała, że chce mieszkać w mieście, kupiłem udział w przedstawicielstwie Forda. Zawsze chciałem prowadzić jakiś interes.

John powoli skinął głową. Jego pierwszy gniew ustępował.

– Myślisz, że nie zgodziłaby się żyć z nami, Bill? Mamy tu tyle miejsca. Moglibyśmy przebudować część domu według jej gustu.

– Ale ona nie lubi wsi. Wszystkie jej przyjaciółki są w Monterey.

Twarz Willi była zacięta.

– Spójrz na twego ojca, Bill – rozkazała.

John nagłym ruchem podniósł głowę i uśmiechnął się smutno.

– No cóż, jakoś to będzie. Masz dosyć pieniędzy?

– O tak. Dosyć. Posłuchaj, ojciec. Będziemy mieć dość duży dom. Dość duży jak na dwie

osoby. Mówiliśmy o tym z Mae, może ty i matka chcielibyście z nami zamieszkać?

John dalej się uśmiechał – uprzejmie i ze smutkiem.

– A co się wtedy stanie z tym domem i farmą?

– O tym też mówiliśmy. Można by to wszystko sprzedać i starczyłoby wam do końca na spokojne życie w mieście. Podejmę się w tydzień to załatwić.

John westchnął i zagłębił się w poduszki fotela.

– Kijami bym cię biła – odezwała się Willa.

John zapalił fajkę i ugniatał tytoń w cybuchu.

– Nie odejdziesz stąd na długo – powiedział łagodnie. – Któregoś dnia tak zatęsknisz, że się nie oprzesz. To miejsce jest w twojej krwi. Będziesz miał dzieci i wtedy zrozumiesz, że tylko tu mogą rosnąć. Odejdziesz stąd na jakiś czas, Bill, ale nie na zawsze. A jak będziesz w mieście, my tu zostaniemy, będziemy czekać, będziemy dbać o dom, ogród utrzymywać w porządku. Wrócisz tu. Twoje dzieci będą się tu bawiły. Poczekamy, aż ten czas nadejdzie. Mój ojciec marzył o dzieciach, kiedy umierał. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Prawie o tym zapomniałem.

– Mogłabym go walić kijem – mruknęła Willa.

Bill wyszedł z pokoju zmieszany.

– Wróci tu – powtórzył John.

– Wróci – zgodziła się chmurnie jego żona.

Podniósł gwałtownie głowę i spojrzał na nią podejrzliwie.

– Naprawdę tak myślisz, Willa? Nie powiedziałaś tego, tylko żeby mnie pocieszyć? Poczuję się wówczas bardzo stary.

– Naturalnie, że tak myślę. Nie mówiłabym na próżno.

Bill ożenił się późnym latem i zaraz potem wyjechał do Monterey do swego nowego domu ze stiukowymi ornamentami. Przyszła jesień i Johna Whiteside'a znowu zaczął ogarniać niepokój, jak wtedy, kiedy Bill miał się urodzić. Odmalował dom, chociaż nie bardzo to było potrzebne. Bezlitośnie przycinał krzewy w ogrodzie.

– Moja ziemia nie daje tyle, ile by mogła – zwierzył się Bertowi Munro. – Za długo ją zaniedbywałem. Mógłbym z niej mieć znacznie większy plon.

– Tak – rzekł Bert. – Nikt z nas nie wyciąga z ziemi tyle, ile by mógł. Zawsze dziwiłem się, dlaczego nie trzymasz owiec. To twoje wzgórze wypasłoby całkiem duże stado.

– Za mojego ojca mieliśmy owce. To wydaje się tak dawno temu. Ale, jak ci mówiłem, zaniedbałem farmę. Cały ten stok zarósł krzakami i chwastami.

– Spal je – rzekł Bert. – Jak w tę jesień wypalisz, będziesz miał na wiosnę gotowe pastwisko.

– Dobra myśl. Tyle że krzaki podchodzą pod sam dom. Trzeba by mi ludzi do pomocy.

– Ja mógłbym pomóc z moim Jimem. Ty masz tu dwóch ludzi, tak że razem z tobą byłoby nas pięciu. Moglibyśmy zabrać się do tego któregoś ranka, jak nie będzie wiatru, a gdyby deszcz przedtem trochę popadał, to nie byłoby żadnego niebezpieczeństwa.

Jesień była wczesna. Przyszedł październik i wierzby nad strumieniem w Pastwiskach Niebieskich stały się żółte jak płomienie. Wysoko, ledwo dostrzegalne dla oka, wielkie eskadry dzikich kaczek leciały na południe, a na ziemi swojskie kaczki trzepotały skrzydłami, wyciągały szyje i tęsknie zawodziły. Kosy kołowały za swym przywódcą nad polami. Czuć już było w powietrzu wczesne przymrozki. John Whiteside narzekał na zbliżającą się zimą. Całe dnie pomagał w sadzie przy ścinaniu gałązek.

Którejś nocy obudził go szept deszczu na dachówkach i krople miękko padające w ogród.

– Nie śpisz, Willa? – zapytał cicho.

– Nie, nie śpię.

– To pierwszy deszcz. Chciałem, żebyś go słyszała.

– Nie spałam, kiedy się zaczął – powiedziała zadowolona z siebie. – Nie słyszałeś, jak z początku lało. Chrapałeś wtedy.

– Nie potrwa długo. To tylko taki pierwszy deszcz, żeby splukać kurz.

Rano słońce świeciło przez rozbłyszczone wilgocią powietrze, mieniające się jak kryształ. Zaraz po śniadaniu Bert Munro i Jim zaszurali nogami na tylnych schodach i weszli do kuchni.

– Dzień dobry pani! Dzień dobry, John! Pomyślałem sobie – akurat pogoda, żeby wypalić te twoje chaszczki. Porządnie padało tej nocy.

– Doskonała myśl. Siadaj i napij się kawy.

– Właśnie skończyliśmy śniadanie. Nic bym nie przełknął.

– A ty, Jim? Filiżanka kawy?

– Nic bym nie przełknął.

– To zabierajmy się, póki trawa nie wyschła.

John zszedł do piwnicy, której pochyłe drzwi znajdowały się przy kuchennym wejściu. Po chwili wrócił z bańką nafty. Jego dwaj ludzie przyszedli z sadu. John wszystkich zaopatrzył w mokre, jutowe worki.

– Nie ma wiatry – rzekł Bert. – Pogoda w sam raz. Stąd zaczynaj, John! Ustawimy się między ogniem a domem. Będziemy pilnować, aż wypali się większy kawałek. Nie ma co ryzykować.

John wetknął nasyconą naftą pochodnię w gęste zarośla i wytyczył linię ognia wzdłuż ich skraju. Pierwszy krzak zatrzeszczał, po chwili zahuczał ogniem. Płomień pełzał po ziemi między żywicznymi pędami. Mężczyźni szli za ogniem pod górę.

– Tu mniej więcej starczy! – zawołał Bert. – Już dość daleko od domu. Dwóch z nas mogłoby teraz podpaść od szczytu.

I razem z Jimem ruszyli pod górę omijając gęste chaszczki. W tej samej chwili słaby jesienny wir zakotłował w dół po stoku, okręcając się i kołysząc w swym tanecznym ruchu. Zaczepił kokieteryjnie ogień, chwycił iskry i tłące się gałązki i rzucił w biały dom. I zaraz kolumnienka wiatru opadła, jakby zmęczona zabawą. Bert i Jim już biegli z powrotem. Wszyscy razem przeszukali grunt przed domem, gasząc każdą tłącą się iskierkę podeszwami butów.

– Szczęście, żeśmy w czas zauważyli – powiedział John. – Takie głupstwo, a cały dom mógłby spłonąć.

Bert i Jim znowu obeszli zarośla i podpalili je od szczytu. John i jego dwaj pomocnicy posuwali się pod górę trzymając się między domem a linią płomieni.

Powietrze było niebieskie i gęste od dymu. W kwadrans stok wzgórza był niemal całkowicie wypalony.

Nagle doszedł ich krzyk od strony domu. Ledwo go było widać poprzez dym. Mężczyźni zawrócili i zaczęli biec. Gdy zbliżyli się na tyle, że warstwa dymu była już rzadsza, ujrzeli gruby szary kłęb unoszący się z górnego okna. Willa pędziła ku nim przez wypaloną ziemię. John zatrzymał się przy niej.

– Usłyszałam trzask w piwnicy! – krzyczała. – Otworzyłam drzwi na dół i ogień tylko przemknął koło mnie. Teraz jest w całym domu.

Bert i Jim rzucili się do nich.

– Czy węże są przy wodociągu? – krzyczał Bert.

John oderwał wzrok od płonącego domu.

– Nie wiem – rzekł niepewnie.

Bert chwycił go za ramię.

– Ruszaj się! Na co czekasz? Można jeszcze coś ocalić! Przynajmniej część mebli!

John wyrwał mu się i wolno ruszył w kierunku domu.

– Nie chcę nic ratować – powiedział.

– Człowieku! Zwariowałeś? – krzyczał Bert.

Pobiegł do wodociągu szukać węży.

Dym i płomień buchały teraz z okna. Z wnętrza domu szedł wściekły huk. Stary budynek walczył o życie.

Do Johna podszedł jeden z jego ludzi.

– Żeby tylko to okno było zamknięte, można by coś zrobić – rzekł, jakby się usprawiedliwiał. – Suchy jest ten dom. A ciągnie w nim jak w kominie.

John siadł na koźle do piłowania drzewa. Willa zajrzała mu w twarz, potem stanęła spokojnie przy nim. Płoneły teraz ściany zewnętrzne, dom huczał jak wichur.

I stała się rzecz dziwna i okrutna. Boczna ściana opadła jak dekoracja w teatrze i odsłoniła dwanaście stóp nad ziemią pokój bawialny nie tknięty przez ogień. Na ich oczach długie języki płomieni wtargnęły do środka. Skórzane fotele drgnęły, jakby nagle ożyły, i skurczyły się od żaru. Rozprysło się szkło obrazów, staloryty skrzyły się w ciemne płyty. Jeszcze tylko zobaczyli czarną, piankową fajkę wiszącą nad kominkiem. Potem ogień objął cały pokój i zasłonił go. Łupkowy dach runął miążdząc ściany i podłogi swym ciężarem. Dom stał się wielkim płonącym, bezkształtnym stosem.

Bert wrócił i bezradnie stanął przy Johnie.

– To ten wiatr – powiedział. – Pewnie iskra wleciała do piwnicy i padła na naftę. Tak, tak. To ta nafta.

John spojrział na niego z uśmiechem okrutnego rozbawienia.

– Tak, tak. To ta nafta – powtórzył jak echo.

Ogień płonął spokojniej – teraz, kiedy już odniósł zwycięstwo. Płachta płomieni szła wysoko w powietrze. Nic nie przypominało, że był to dom.

John Whiteside podniósł się, rozprostował ramiona i westchnął. Jego oczy przez chwilę zatrzymały się na tym miejscu wśród płomieni, gdzie kiedyś był pokój bawialny.

– Po wszystkim – rzekł. – I chyba już rozumiem, co odczuwa dusza, gdy patrzy, jak grzebią w ziemi ciało, z którego wyszła, i wie, że traci je na zawsze. Chodźmy do was, Bert. Chcę zatelefonować do Billa. Może znajdzie dla nas miejsce u siebie.

– Dlaczego nie zostaniecie z nami? Mamy mnóstwo miejsca.

– Nie. Pojedziemy do Billa.

Raz jeszcze obejrzał się na płonący stos. Willa wyciągnęła rękę, żeby wziąć go-pod ramię, ale cofnęła ją. Zauważył jej gest i uśmiechnął się.

– Szkoda, że nie ocalałem mojej fajki – powiedział.

– Tak, tak – przyznał wylewnie Bert. – Nigdy nie widziałem fajki piankowej, która by miała taki doskonały kolor. Po muzeach mają podobne fajki, ale żadna nie ma tego koloru. Pewnie ją palono od bardzo dawna.

– Tak – potwierdził John. – Od bardzo dawna. I wiesz, miała bardzo dobry smak.

12

O drugiej po południu wycieczkowy autobus ruszył z Monterey na objazd półwyspu. Gdy jechał drogami reklamowanej Trasy Siedemnastu Mil, turyści oglądali zbyt wysokie domy bardzo bogatych ludzi. Patrzyli na nie przez zakurzone okna z odrobiną nieśmiałości, bo było to trochę tak, jakby podglądali, choć zarazem czuli się do tego upoważnieni. Autobus pełził przez miasteczko Carmel i poprzez wzgórze do brązowego kościoła misyjnego z jego garbatą kopułą. Tam młody kierowca zatrzymał autobus przy skraju szosy i wyciągnął nogi na tablicę rozdzielczą, pasażerów zaś zaprowadzono do ciemnego, starego kościoła.

Kiedy wrócili na swoje miejsca w autobusie, usunięte zostały bariery, jakimi się otaczają ludzie w podróży.

– Państwo słyszeli? – mówił zamożnie wyglądający mężczyzna. – Przewodnik powiedział, że ten kościół zbudowano jak statek i że ma pod sobą kamienną stępkę i głęboko osadzony kadłub. To na wypadek trzęsienia ziemi – niby coś jak statek w czasie burzy. Nie na wiele by się to przydało.

Młody ksiądz o gładkiej, różowej cerze, dumny z nowego sukiennego surduta, odezwał się ze swego miejsca w tyle:

– A jednak się przydało. Bywały tu trzęsienia ziemi, a kościół ciągle stoi. Zbudowano go z gliny i mułu, a jednak stoi.

Do rozmowy włączył się jakiś stary człowiek – stary, ale czerstwy, o żywym spojrzeniu.

– Zdarzają się zabawne rzeczy – powiedział. – Zeszłego roku straciłem żonę. Byliśmy małżeństwem więcej niż pięćdziesiąt lat.

Popatrzył z uśmiechem dokoła, czekając na jakiś komentarz, i zapomniał, co tak zabawnego się zdarzyło.

Para w podróży poślubnej siedziała ramię przy ramieniu. Dziewczyna przysunęła się bliżej. – Spytaj kierowcę, dokąd teraz jedziemy.

Autobus sunął powoli doliną Carmel – mijał sady, pola karczochów, minął czerwoną skałę pożyczowaną zielonymi pnączami. Popołudnie już nikło i słońce zatapiało się tam, gdzie dolina uchodzi ku morzu. Droga odsunęła się od rzeki Carmel i pełzła stokiem wzgórza, aż na jego wąski grzbiet. Tam kierowca ostro skręcił w bok szosy, czterokrotnie cofał autobus i podjeżdżał do przodu, w końcu zawrócił, zgasił silnik i powiedział do pasażerów:

– Dalej już nie jedziemy. Zawsze tu trochę prostuję nogi przed powrotem. Może kto chce wysiąść i pospacerować?

Sztywno podnieśli się z miejsc, wysiedli, stanęli na szczycie wzgórza i ujrzeni na dole Pastwiska Niebieskie. Powietrze w ostatkach słońca było niby złota gaza. Pod nimi leżała szachownica zielonych sadów, żółtego zboża i fioletowej gleby. Z krzepkich farmerskich domów, oprawnych w ogrody, dym wieczornych ogni dryfował w górę, póki go nie rozwiął wietrzyk wzgórz. W dolinie pobrzękiwały ciche dzwonki krów; zaszczekał pies gdzieś tak daleko, że jego głos doszedł podróżnych niby kilka urwanych szeptów. Poniżej grzbietu wzgórza, tuż pod nimi, stado owiec skupiło się pod dębem.

– To się nazywa Las Pasturas del Cielo – objaśnił kierowca. – Znaczą, Pastwiska Niebieskie. Hodują tu dobre warzywa i dobre owoce, wcześniejsze niż gdzie indziej.

Pasażerowie patrzyli na dolinę.

Zamożny pan odchrząknął i zaczął mówić, jakby wygłaszał prorocstwo: – Gdybym mógł przewidzieć przyszłość, powiedziałbym wam: kiedyś staną w tej dolinie domy, założą tu wielkie

ogrody i tereny do golfa, a przy domach będą żelazne, kute bramy. Bogaci ludzie będą tu mieszkali, ludzie znużeni pracą w mieście, którzy się dorobili i szukają spokojnego miejsca, żeby osiąść, wypoczywać i cieszyć się życiem. Gdybym miał dosyć pieniędzy, kupiłbym to wszystko. Pottrzymałbym i kiedyś rozparcelował. – Przerwał i zrobił ręką nieznaczny, zgarniający ruch. – Tak. I, na Boga, sam bym tu zamieszkał.

– Ciiii – szepnęła jego żona.

Popatrzył dokoła z miną winowajcy i spostrzegł, że nikt go nie słucha.

Fioletowe cienie wzgórz pełzły ku środkowi doliny; gdzieś na dole Świnia gniewnie kwiknęła. Młody człowiek oderwał wzrok od doliny i uśmiechem wyznał swoje myśli młodej żonie, a ona odpowiedziała mu roześmianym spojrzeniem. Jego uśmiech mówił: „Sam zacząłem o tym myśleć. Dobrze by nam tu było, ale, naturalnie, nie ma mowy”.

A jej uśmiech odparł: „Naturalnie, że nie ma mowy. Gdzie nasze ambitne plany? Ludzie czegoś po nas oczekują. Musisz sobie wyrobić nazwisko, żebym mogła być z ciebie dumna. Nie wolno uciekać od odpowiedzialności i zaszywać się w takim miejscu. Ale dobrze by nam tu było”.

I oba uśmiechy złagodniały i pozostały w ich oczach.

Młody ksiądz spacerował samotnie. Szeptał modlitwy, ale rutyna nauczyła go modlić się i jednocześnie myśleć o czymś innym. „Mógłby tam stanąć mały kościółek – myślał. – Nie ma tu biedy, brzydoty, kłopotów. Moi parafianie wyznawaliby mi swoje małe, normalne grzeszki, które ulatniają się wraz z pokutą kilku Zdrowaś Maria. Spokojnie by się tu żyło, żadnych brudów ani wstrząsów, nic, co by mogło mnie zmartwić, pograżyć w wątpliwościach, zawstydzić. Ludzie z tych domów kochaliby mnie. Mówiliby do mnie ojczy i byłbym dla nich sprawiedliwy, bo przyjemnie jest być sprawiedliwym, gdy można być łagodnym. – Zmarszczył się i potępił siebie za tę myśl. – Nie jestem dobrym kapłanem. Biedacy, ich smród, ich kłótnie to będzie mój bicz. Nie wolno mi uciekać od tragedii zesłanych przez Boga. – I jeszcze pomyślał: – Może po śmierci dostanę się gdzieś, gdzie jest tak jak tutaj?”

Stary człowiek patrzył na dolinę bystrym wzrokiem i w jego głuchnących uszach szumiała cisza jak wietrzyk w cyprysach. Niewyraźnie widział dalsze wzgórza, ale mógł zobaczyć złote światło i fioletowy mrok. Zachłysnął się oddechem i łyzy nabiegły mu do oczu. Bezradnie klepał rękami po udach:

„Nigdy nie miałem czasu pomyśleć. Zawsze były jakieś kłopoty i nad niczym nie mogłem się zastanowić. Gdybym zszedł w dół i został tam chociaż na krótko, miałbym czas na rozmyślanie o wszystkim, co mnie spotkało w życiu. I może udałoby mi się znaleźć w tym jakiś sens, bo przecież to wszystko musi mieć jakiś sens. Może mógłbym zobaczyć to jako jedną całość, a nie jako nie powiązane ze sobą, nie dokończone wątki. Nic by mi tam nie przeszkadzało i mógłbym myśleć”.

Kierowca wypluł papierosa na drogę i zgasił go nogą.

– Czas już! – zawołał. – Trzeba wracać.

Pomagał pasażerom przy wsiadaniu i zatrzasnął za nimi drzwi, a oni skupili się przy oknach i dalej patrzyli w dół na Pastwiska Niebieskie, gdzie błękitne powietrze rozciągnęło się teraz jak jezioro i farmy stały zanurzone w ciszy.

– Wiecie – rzekł kierowca – zawsze sobie myślę, że dobrze by było mieć tam jakiś domek. Człowiek trzymałby krowę, kilka świń, miałby psa albo i dwa psy. Można by tam wyżyć na małej farmie.

Kopnął starter i silnik ryczał przez chwilę, póki go nie ściszył.

– Możecie się śmiać, ale zawsze lubię popatrzeć tam na dół i pomyśleć sobie, jak spokojnie i łatwo można żyć w takim miejscu.

Włączył bieg, autobus nabrał szybkości i sunął ku podłużnej dolinie Carmel i ku słońcu – tam, gdzie zanurzało się w ocean u ujścia doliny.